

4

Wołodymyr Drozd
KATASTROFA



Wołodymyr Drozd

KATASTROFA

Wołodymyr Drozd

KATASTROFA

Przełożyła Tatiana Hołyńska

WYDAWNICTWO LITERACKIE KRAKÓW—WROCŁAW

Tytuł oryginału *Katastrofa*

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo
Literackie Kraków—Wrocław 1984

ISBN 83-08-01157-8

NOC

Niech sobie ludzie mówią, co chcą, ale to jedno sprawa mi prawdziwą satysfakcję: o Iwanie Kyryłowyczu Zahatnym wiedziałem więcej niż cała Terechówka. Nie w tym rzecz, żebym się chełpił, ale i nie chcę się oszukiwać: to czysty przypadek, Iwan potrzebował słuchaczy — i trafił na mnie.

Swego czasu wśród terechowskiej elity głośno było o jego wrodzonym talencie aktorskim. W gruncie rzeczy, któż nie lubi przeglądać się w zachwyconych oczach bliźniego? Rzadko, bo rzadko, ale przecież zdarzało się, że ta samotna dusza szczerze szukała zbliżenia, ludzie zaś odsuwali się, nie mogąc znieść jego usposobienia. Iwan żądał oddania całkowitego, bez reszty, do ostatka.

Jego pokrętne wyznania trochę uleciały mi z pamięci, zatraciły ciepłą dotykalność, zupełnie jakbym już całkiem stetryczał i wspominał lata własnej młodości. Tak naprawdę, to od tamtego czasu minęło dopiero sześć lat, teraz idzie na siódmy. Zapach zleżałych gazet miesza się z zastarzałym odorem nikotyny, pod sufitem żółta bańka żarówki... Ostatni raz — co dzień definitywnie rzucał palenie — Zahatny prosi o papierosa: „Jesiennie wieczory w Terechówce takie smętne, że nie idzie wytrzymać... Ale to już naprawdę ostatni. Klnę się na niebiosa!” Przypada do granatowego okna, jak do kufła z odurzającym napojem, ręce w kieszeniach spodni, po szybie skacze rozżarzony czerwony punkcik. Niepewny, głęboki głos jeszcze raz przywołuje minione dni.

Prawdę mówiąc, czasem nachodzą mnie wątpliwości: czy brać za dobrą monetę wszystko, co on tu nagadał? A jeśli zmyślał siebie? Mogło tak być? Mogło. W pewnych sprawach przesadzał świadomie, rozumo-

wanie sprowadzał do absurdu, uczuciom nadawał temperaturę wrzenia. Dlatego wcale nie upieram się, że zapis jest dosłowny: jak kupiłem, tak sprzedaję.

W Kijowie było jeszcze normalnie: autobus, pełny komfort. Romantyczność zaczęła się w Knutach: osiem kilometrów wyboistego bruku, śmierdząca ciężarówka, telepiące się beczki ze śledziami. Jeszcze długo z sarkastycznym uśmiechem wspominał słonawostęchły rybi odór, niskie burty ciężarówki, przez które strzykał gęstą od kurzu śliną. W centrum Terechówki, obok drewnianej altany, samochód przyhamował, po czym skręcił do magazynów spółdzielni spożywczej. Iwan zastukał w dach szoferki. Łysy fryzjer z wytłuszczonym i postrzępionym piśmem satyrycznym „Pereć” na kolanach chrapał przed swoim zakładem, zastygłe w oficjalnej pozie rejonowe urzędy drzemały w zakurzonej słońcu pod wystrzępionymi firanami wyblakłych plakatów i haseł. Nad pobielonymi z okazji 1-majowego święta płotami zwisały przyduszone upałem akacje (redaktorzy zechcą mi wybaczyć ten niezbyt optymistyczny pejzaż, ale tak go odbierał mój bohater, czytałem gdzieś, że krajobraz powinien być podbarwiony psychologią).

Wcisnął kierowcy napiwek i dał nura w nęcącą ciemność parku. Ławki ani na lekarstwo: kilka dni temu w rejonie zainaugurowano dekadę umoralniania młodzieży i jeden z terechowskich prominentów kazał ogłosić park z ławek, bo o zmroku nieświadomiony, a kochliwy element przenosił je w różne zakamarki, byle dalej od światła. Wzdłuż głównej alei stały szeregiem szare gipsowe figury sportowych idoli zakrzepłe w patetycznych pozach. Z zarośli wyzierało „spiżowe” popiersie Gorkiego, z którego gdzieniegdzie oblażyła brązowa farba. Zbocze, na którym założono park, opadało ku zarosłej szuwarami rzece. Przez srebrzystoszare pnie młodych jesionów prześwitywał rynek; pośrodku królowała masywna trybuna z czerwonej cegły. Nie opodał brzegu, gdzie drzewa były nieco rzadsze, wznosił się trawiasty pagór, niczym jakiś opasły postument. Iwan postawił walizkę pod drzewem i rozsiadł się wygodnie. Szukajcie, a znajdziecie — pomyślał.

Tu stanie jego pomnik. Szary granit, złocisty napis: „Pod tym niebem od (dokładna data: dzień, miesiąc, rok) do (plus minus rok później) żył i tworzył...” Rzeź-

biarz wprowadzić z niego żaden, co dopiero architekt, ale ten pomnik byłby na pewno jedyny w swoim rodzaju. Specjaliści lubią wyłącznie patos — resztę robią byle zbyć. A on właśnie nie cierpi patosu. Te jakieś postumenty, monumenty, kapliczki, wszystko, czym lud zwykle czci swoich trybunów, w ogóle nie wchodzi w rachubę. Z nieforemnej bryły granitu wychylać się będzie ledwie zarysowane popiersie: czoło wsparte na dłoniach, oblicze naznaczone piętnem cierpienia i męką wiecznego poszukiwania. Z czasem czarne topole rozrosną się, rzekę się ureguluje, oczyści, brzegi elegancko obmuruje. Środkiem popłyną białe statki pozdrawiając myśliciela przeciągłym rykiem syreny. A on: — mądre spojrzenie utkwione w rzeczną toń, na granitowym czole pieczęć geniuszu...

Tak pojawił się w Terechówce Iwan Zahatny. Niczego nie zmyślam ani nie dodaję, niemniej w jego ustach brzmiało to bardziej realistycznie i jakby nieco smutno. Iwan umiał dotrzeć do tej granicy śmieszności, za którą czają się lzy. A moja opowieść jakaś trochę niepoważna.

...odsuwa dłonią chmury (jak odgarnia się ze źródelka żdźbła trawy lub poźótkłe liście), hen, w dole wyłania się ziemia, z tej wysokości chaty przypominają żabi skrzek tu i ówdzie przetykany złotogłowiem większych budynków, wśród tego skrzeku żółci się kwadratowy rynek, z rynku wypływają wąskie potoczki ulic, ulicami snują się mikroskopijne ludziki, ludziki wyglądają jak czarne kropki, maszerują nie widząc nic dokoła siebie, on patrzy z góry na całe to ludzkie mrowie, pochłonięte swoimi sprawami, ta mrówcza krzątania zdaje mu się śmieszna i bezsensowna... „Zakład! Amerykański! Bierz ołówek, liczymy minimum!...” nie może pojąć tych małych, przyziemnych namiętności w sam raz na miarę tych karzełków, w oczach migocze jeszcze feeria kolorów bezkresnego wszechświata, a tam, w dole, szarzysta, skąpo okraszona pojedynczymi promieniami słońca, słyszy w sobie jeszcze... „Na wiosnę opisywali w gazetach: rybacy delfina uratowali, a on ich za to naprowadzał na ławice ryb...” słyszy w sobie jeszcze tajemniczą harmonię sfer: szelest planet i brzęczenie gwiazd, wargi wy-

gina mu wyniosły uśmiech, unosi głowę i rozmiłowanym wzrokiem obejmuje błękitne niebo, pod tym spojrzeniem niebo otwiera się, do diabła, przegadane to i nadęte, trzeba jakoś inaczej, bardziej precyzyjnie, żeby w tym opisie każdy terechowianin rozpoznał swoje miasteczko, choćby potem, jak przeczytają to w druku, mieli się wściec ze złości, kasujemy to unoszenie ku niebu, nic z tych rzeczy, ta mrówcza bieranina też interesuje go tylko dlatego, że taka pozbawiona sensu, a więc ściera z warg wyniosły uśmiech... „Królicza co miesiąc rodzi co najmniej sześć, razy dziesięć, sześćdziesiąt, po dwa kilo sztuka, sto dwadzieścia kilo dietetycznego mięsa, do tego jeszcze...” „Ja tam nie wierzę w te wszystkie ćmoje boje. Wędkarz nie wyżyje, żeby nie zełgać, wiem po sobie...” ściera z warg wyniosły uśmiech i myśli: jak to właściwie jest z tym światem? w takim natchnieniu go tworzyłem, a tak głupio się miota, tak prymitywnie wegetuje, a ci ludzie! sami nie wiedzą, czego chcą, a raczej chcą tylko mieć pełny brzuch, jeszcze przed chwilą siedzieli w urzędach wśród stosów niepotrzebnych papierów i już mrowią się wśród tego żabiego skrzeku, który jest ich schronieniem, wpętają do środka, nurzają się w oparach barszczu i smażonego mięsa, i oto znów biegną tymi samymi ulicami, zadowolone oblicza lśnią sytością, zaraz zasiądą za biurkami i będą dalej marnować papier, kiedyś to były piękne smukłe drzewa, tyle serca w nie włożył, dumny, bezkresny las gwarzył sobie z niebem jak równy z równym, więc jeśli to tak, jeśli to ludzkie mrowie rzeczywiście jest takie, jak wygląda z góry, to on daremnie trudził się w natchnieniu przez całe sześć dni, może nie trzeba było siódmego dnia odpoczywać, tylko całe to mrowisko „...do tego jeszcze po dwa ruble za skórę, sto dwadzieścia rubli...” tylko całe to mrowisko zburzyć, spalić żywym ogniem, żeby nawet śladu nie zostało... „to małpy, a teraz delfiny...”

Przekłety przechodni pokój! Domknął z trzaskiem drzwi od gabinetu naczelnego, odcinając się od matematycznych obliczeń Pędziwiatra.

— Co wyście wszyscy z tym delfinem! Zwierzak jak inne, ani lepszy, ani gorszy...

Wszedł do księgowości i wsadziwszy ręce w kieszenie zaczął się kiwać nad biurkiem Wasyla Mołochwy.

— Ale ten zwierzak, jak przed chwilą raczyliście go nazwać, ma mózg jak półtora ludzkiego, a zwojów w nim więcej niż w moim i waszym razem wziętych.

— Możliwe. Ja tam ich nie liczyłem. Ale jak powszechnie wiadomo, cywilizację stworzyła wyłącznie ludzkość.

— Wasza zakochana w sobie ludzkość zdążyła ku zagładzie. Stoi u progu wojny nuklearnej. Rozwijaliśmy się, mądrzyli i wymądrzyli samozagładę. Powiedzcie sami, czy ta haniebna historia ma choć odrobinę sensu?

Jak opętany rzucił się do hali maszyn, oparł się plecami o drzwi, drżącymi palcami wyszarpnął z kieszeni papierosa. — Ty idioto, znów nie potrafiłeś się opanować — szepnął do siebie, krztusząc się dymem. — Co dzień przysięgi, obietnice, decyzje. I co? Chwiejna trzcina. Z tobą można tylko po barbarzyńsku: za każde niepotrzebne chlapanie kara. Dziesięć... nie, piętnaście sekund... — Obnażył rękę po łokieć, zaciągnął się i przytknął do skóry rozżarzonego papierosa. Na ramieniu widniały już trzy czerwone blizny. — Raz, dwa — nie dyskutuj z byle kim, trzy — nie wymieniaj poglądów, bo możesz na tym tylko stracić, cztery, pięć, sześć — mentalności stada nie zmienisz, siedem, osiem, dziewięć — bądź wyższy ponad nich, dziesięć, jedenaście... grymas bólu, czerwone kręgi przed oczami, swąd spalenizny... piętnaście...

Na parapecie piętrzył się stos bladożółtych dojrzałych papierówek. Z otwartego okna padał snop światła, cień Iwana kołysał się jak wahadło.

— Częstujcie się, towarzyszu sekretarzu — powiedziała Priśka.

— Nie lubię papierówek.

W rzeczywistości aż mu język uciekał. W ogrodzie terkotał redakcyjny agregat. Duchowa martwica zaczyna się od drobiazgów. „Morzu zawierzysz, duszę zaprzędasz” — Hryhorij Skoworoda. — M-m-mhuuu — kołysał się obserwując swój cień. — M-m-huuu — pomrukiwał przez zaciśnięte wargi. Niezmienny, wypróbowany repertuar, sygnał, że w sercu chłód. W akademiku pokój pustoszał w mgnieniu oka; chłopakom mózg stawał od tego buczenia. — M-m-m-m...

— Grzmi gdzieś czy co? — obłudnie docięła Priśka. („Pyskata, warto by cugli przykrócić...”)

Zamilkł. Śmierdziało naftą, metrapaź przemywał czwartą kolumnę. Drewniany młotek głucho pukał w ołowiane sztabki. „Nie powiesz, to ona jeszcze z nim chodzi?” „Mowa...” „A Hałyna z kontroli głowę dawała, że już dawno się rozlecieli”. „Coś takiego!” „W zeszłym tygodniu na własne oczy widziałam! Pamiętacie, jakoś wcześniej numer skończyliśmy. Dajcie no mi winkielak. Akurat on wyszedł z redakcji, ona już czekała na rogu i on...” *po raz pierwszy żałował, że stworzył świat, bo ten świat to także Terechówka, trzeba tę myśl tak zakamuflować, żeby żaden redaktor się nie połapał, ale każdy terechowianin od razu zrozumie, nawet nie tyle zrozumie, co wyczuje, cała ta gawiedź wyczuwa w nim swego wroga, może nawet skasować to spojrzenie z góry, redaktor, nawet jeśli nie będzie czepialski, od razu znacznie coś węszyć, terechowianie natomiast pomyślą, że on, Zahatny, utożsamia się z Bogiem, to jasne, dobrze by było dać także obraz Terechówki w upalny dzień, całą tę szarość, zwyczajność, zaduch, potem jednak Bóg nie wytrzymuje (nie zapomnieć na początku: Bóg też jest samotny, zaczyna go interesować ta mrówcza krzątanina, na chwilę wciela się w zwykłego śmiertelnika, chodzi po zakurzonych ulicach, terechowianie myślą, że Bóg jest taki sam jak oni, że też jest śmiertelny), potem jednak Bóg nie wytrzymuje ich prymitywności i ulatuje hen, w górę, swobodny jak wiatr i niedosiężny, to można by ładnie przedstawić, swobodny lot nad splądrowaną przez człowieka ziemią, ostatnie wzgardliwe spojrzenie na Terechówkę, wreszcie... niezłe by to było — myśli — ale na pewno nie przejdzie, teraz wszyscy ateiści, ani się człowiek nie obejrzy, jak mu przylepia jakąś etykietkę, a powieść musi się koniecznie ukazać, inaczej te prostaki niczego się nie nauczą, trzeba ich postawić przed faktem dokonanym, te pospolitaki mają jeszcze szacunek dla słowa drukowanego, może nawet nie tyle szacunek, ile bezmyślną pokorę wobec czegoś, co jest poza ich zasięgiem, trzeba skasować Boga, chyba koloryt lokalny będzie wystarczająco czytelny, to robi większe wrażenie niż piekło Dantego, tam jest chociaż jakieś życie, a tu próżnia, pustka, podkreślić: samotny człowiek, człowiek przez duże C, który dusi*

się z braku świeżego powietrza, nie zapomnieć: stałe uczucie duszności, lejtmotyw całego utworu...

— Towarzyszu sekretarzu, wstępniak dwa wiersze za długi...

— Wstępniak naczelnego.

— Dla dwóch wierszy naczelnego szukać?

— Jest u siebie.

— Towarzyszu sekretarzu...

— Nie skracam materiałów szefa, co wyście, pierwszy dzień w pracy? — zaczyna krzyczeć. — Nie obrażajcie się, ale...

— Kto by się na stukniętych obrażał — trzaska drzwiami Priśka.

Znów nie zdzierzył. Jak nerwy poniosą, człowiek mimo woli stacza się do ich poziomu. Zapamiętać, wyciągnąć wnioski. Nie spoufalać się, chłodna uprzejmość stwarza dystans, bez którego niemożliwa jest praca w zespole. Uczyć się. Cały czas mieć się na baczności... *niedziela, upał, w redakcji ani żywego ducha, jakże jej nienawidzi, ale gdzie się podziać, tylko tutaj można w taki dzień być samemu, na dworze letnia duchota, słońce jakby spowite żółtą suchą mgłą, rozluźnia krawat, żadnej ulgi, pić, pić, z każdą minutą robi się bardziej gorąco, duszący upał, duszący — to właściwe słowo, nawet cień nie przynosi ratunku, wszędzie zastarzały smród nikotyny i pożółkłego papieru, szyby szare od kurzu, żółtoszare, opiera głowę na stole, goły lakierowany blat, ale i blat gorący, w rozpacz wali czołem o stół, głuche echo ginie w zszywkach gazet, warto by się napić, ale karafka u szefa w gabinecie, woda ciepła i stęchła, nawet woda śmierdzi starymi gazetami... Za plecami narasta gwar, trzaskają drzwi, dudni podłoga, śpieszny, energiczny krok naczelnego, kosmiczne ilości marnowanej energii, przyroda jest irracjonalna, dobra definicja: Pędziwiatr — akumulator bezpłodnej energii, najważniejsze: podkreślić, że on, że jego bohater o głowę przerasta otoczenie, całą tę przeciętność, to już inny problem, ale w podtekście: albo istnieć jako geniusz, albo w ogóle nie istnieć, Hamlet, rozwiązanie odwiecznego problemu, czyli nie istnieć, nie, może jakoś inaczej, nie tak po prostu...*

— Proszę cię, Kyryłyczu, przykróć to trochę, ja skoczę wrzucić coś na ruszt, od rana nic w ustach nie miałem, słowo daję...

Po co on tak źle? Żeby choć miał z tego jakąś korzyść — pomyślał smętnie i znów naszała go ochota za-produkować coś z żelaznego repertuaru. — Po co udaje, że taki zawalony pracą, bez przerwy przesiaduje tylko w komitecie, łązi od gabinetu do gabinetu, a jak już pojawi się w redakcji, to tylko kawały opowiada. Bez-wład... W zasadzie człowiek żyje siłą bezwładu, jak au-tomat, nie zastanawiając się nad sobą. Podkreślić: nie człowiek, ale miernota...

Skinął głową, wziął od Priški odbitkę. Za oknem pyrknął motor. W uliczce zawarczało, puszysta żółta ki-ta ominęła księgarnię i bank, zawadziła o spółdzielnię na rogu.

— Niech cię cholera! Nie chce mu się tych kilku kroków ogrodami przejść.

— Co chcesz, naczałstwo.

Nie czytając przekreślił ostatni akapit wstępniaka, z lubością wpatrując się w szkarłatny krzyż na szarych rządkach liter.

Zauważyli państwo, że w dwóch poprzednich rozdziałkach próbowałem zobaczyć świat taki, jakim go widział Iwan. Jeśli mi się to choć częściowo udało, zasługa to nie tyle mojego skromnego talentu, ile pewnego podobieństwa naszych charakterów. Może Zahatny też to wyczuł. Fakt: nie urodziłem się w Terechówce i już to starczyło, żeby mu zaimponować. Niemniej — z góry zastrzegam — podobieństwo dotyczy tylko niektórych, raczej mało znaczących cech charakteru. Nie posądzacie mnie państwo chyba, że od razu po przyjeździe do Terechówki poleciałem wybierać miejsce pod swój pomnik. Nie pomyślałem nawet, czy potomni zechcą się o to zatroszczyć. Człowiek ze mnie zwyczajny, nie żaden tam geniusz.

Często wspominam siebie z tamtych lat. Rozklekotany autobus, na tylnym siedzeniu waliza, obok niej chłopak. Siedzi spięty, milczący. Na każdym wyboju rzuca nim aż pod dach. Za każdym razem nerwowo łapie się za kieszeń, w której spoczywa świadectwo ma-

turalne i „kapitał” na pierwsze dni w nowym miejscu. Sytuacja, można by rzec, banalna. Jednak już wtedy coś mi mówiło: jedziesz na spotkanie ze swym przeznaczeniem. Pamiętam tę historyczną, jak mawiał Iwan, chwilę: autobus wjechał na mostek, przed moimi oczyma rozpostarła się zielona dolina przybrana w srebrny naszyjnik wyschniętej rzeczułki. Dolina przepoławiała miasteczko na dwie części, barwne chusty ogrodów przechodziły w rwącą oczy zielen łąk. Przymknąłem powieki. Wyobraźnia podsunęła mi obraz schludnego domku, obrosłej dzikim winem altanki, stojących w młodym sadzie uli, studni na podwórzu... Nie chcę się chwalić, ale upłynęło zaledwie osiem lat i wszystko stało się rzeczywistością: i domek, i altanka, i studnia... Nie należę do bezkrytycznych wielbicieli wiejskiego życia, jestem daleki od całej tej romantycznej sielankowości. Ale wielkomiejski gwar i ruch też nigdy mnie nie nęcił; znałem to od dziecka, bo rodzice przenieśli się do miasta obwodowego, jeszcze jak chodziłem do szóstej klasy. Od dawna kombinowałem, żeby osiąść w jakiejś cichej miejscinie w rodzaju Terechówki: jeszcze nie miasto, już nie wieś, ale zalety jednego i drugiego.

Przeglądałam te zapiski i uśmiecham się gorzko: nie-lichy żer dla krytyków: patrzcie — zakrzykną — na tę gębę! Mieszczuch, drobny posiadacz. Modne słówko. Powoli, kochani, piszę to właśnie po to, aby nie utożsamiano mnie z Zahatnym. W przeciwieństwie do Iwana, moja egzystencja miała zawsze bardzo prozaiczną, przyziemną podstawę. Daleko mi do inteligenckiego patosu i duchowych cierpień, z którymi on się wszędzie obnosi. Żyję jak inni i póki co, nie narzekam.

Ale, wracając do podobieństw. Właśnie te zapiski stanowią najlepszy dowód, że materiał, z którego skrojono nasze charaktery, ma sporo identycznych splotów. Spytajcie na przykład, po co piszę? Żona wyrzuty robi: w powszedni dzień z biblioteki go nie wyciągniesz — funkcja, jak by nie było, kierownicza, odpowiedzialność spora — a wieczorami nad zeszytem ślęczy, zamiast trochę między ludzi iść, po rynku czy po parku pospacerować, we dwoje, jak się należy. Fakt, za nieśmiertelnością jak Zahatny się nie uganiam, pensji też jakoś starcza. Ale, przyznaję, kiedyś takie numery potrafiłem odstawiać, że teraz aż się w głowie nie mieści.

Chyba jeszcze nie wspomniałem o ogromnej wadze, jaką Iwan przywiązywał do symboli. Choćby taki płaszcz: to był dla niego symbol chandry i jakiejś mefistofelesowskiej pogardy dla marności tego świata. Nawet w największy upał nie rozstawał się z trenczem, z nadejściem chłodów otulał się w czarną jesionkę. Faktycznie, w jego wysokiej, surowej sylwetce było coś niecodziennego. Wkrótce po jego przyjeździe nawet w mojej trzeźwej na ogół głowie coś się poprzestawiało: zachciało mi się fajkę palić. Widocznie w atmosferze, jaką roztaczał, było coś zaraźliwego. Widziałem się już za redakcyjnym biurkiem z fajką w zębach i rozplywałem się z zachwytu. Powiem krótko, jak się to wszystko skończyło. Z góry przepraszam: nie będzie to ani barwna, ani zajmująca opowieść, aż przykro wspomnieć, jaki byłem głupi.

Na wiosnę machnąłem się do Kijowa przewąchać, jakie mam szanse na dziennikarkę. Na sławnym Chreszczatyku - moje marzenie stało się ciałem. W jednej z witryn królowała najprawdziwsza wiśniowa faja, cybuch elegancko wygięty, a na główce, jak żywa, długonosa twarz Mefista. Kosztowała, bagatela, trzydzieści pięć rubli (jeszcze przed wymianą). Moja finansowa dyscyplina prysła jak bańka mydlana. Drżącymi palcami sięgnąłem do portmonetki modląc się w duchu, żeby nikt nie sprzątnął mi szczęścia sprzed nosa. Fajkowego tytoniu nie było w sprzedaży, kupiłem więc „Kazbeki” i poświęciłem od razu trzy. Z fajką w zębach kroczyłem chodnikiem, przed każdą wystawą ukradkiem sprawdzając swój dystyngowany wygląd. „Kazbeki” za cholere nie chciały się palić. Zaciągnąłem się z wysiłkiem, niedbale wydmuchując ciężki żółtawy dym. Nadchodził wieczór. Chreszczatyk rozjarzył się światłami. Ostatkiem sił dopełziłem jeszcze na Górkę Włodzimierską, W ustronnym zakątku pod kasztanami zemdlilo mnie i z godzinę mordowało nielitościwie. Do północy leżałem na ławce jak wycięta szmata, przeklinając wszystkie tytonie, fajki, a najbardziej własną głupotę. Ale zwróćcie, państwo, uwagę: byłem wtedy osiemnastoletnim żółtodziobem, a Iwanowi niedawno stuknęła trzydziestka...

Sporo zdarzeń z tamtych lat pokrył pył zapomnienia, teraz rozbłyskują tylko przed oczyma oderwane sekwencje, jak w supernowoczesnej sztuce telewizyjnej.

Lubię teatr, w szkole należałem do kółka dramatycznego. Pewnie zauważyli państwo, że oba poprzednie fragmenty bardziej przypominają sztukę niż poważną, nadającą się do czasopisma prozę. Cóż, taki już mam styl, jeśli to państwa interesuje. Gdybym dawniej w ten sposób spróbował napisać esej albo reportaż, Pędziwiatr ani chybi wlepiłby mi nagane. A w tym zeszycie mogę robić, co mi się podoba.

Nie mam zamiaru „myślą rozplywać się po drzewie”*, jak to celnie określił poeta. Przeszło rok pracowaliśmy razem, Iwan i ja, ale na ekranie pamięci jaśniej rozbłyskuje tylko jedno zdarzenie z tamtych lat, jedna doba, samotna wysepka w morzu codzienności. Historię owych dwudziestu czterech godzin chcę opisać jak umiem najlepiej. Wybaczcie, jeśli coś umknęło pamięci. Oczywiście, te dwadzieścia cztery godziny to już tylko logiczne podsumowanie wielu miesięcy, właściwie trzeba by opowiedzieć, co było przedtem. Boję się jednak zanudzić i siebie, i ewentualnych czytelników. Chociaż, powtarzam, wcale nie marzę o druku. Pobory kierownika biblioteki są zupełnie wystarczające, żona pracuje w ambulatorium, no i jeszcze ogródek: cebulka, ziemniaczki, owoce — wszystko swoje, nie trzeba kupować.

Nadal wolałbym nie mówić za dużo o sobie. W zespole redakcyjnym, a przede wszystkim w rozgrywce Zahatnego z Memłakiem byłem tylko pionkiem. Niech to diabli, nareszcie przypomniałem sobie, jak on się nazywał! Śmieszne, prawda? A przecież zdarzają się takie przypadki, że wszystko pasuje do siebie: nie dość, że łajza pechowa, to jeszcze nazwisko — prawdziwa gratka dla satyryka. Takie dziwadło musi budzić litość. Pamiętam, jak zjawił się u nas. Przedtem próbował zahaczyć się jako nauczyciel w jakiejś zapadłej dziurze, ale usłyszawszy, że nasza gazeta zwiększyła zasięg, że trzeba nowych ludzi, wysłał do naczelnego łzawą epistolę: marzeniem mojego życia jest praca w redakcji, czy coś w tym rodzaju. Poszło wezwanie. Przyjechał, w ręku jakaś siata na zakupy. Podał każdemu trochę lepka dłoń:

* Cytat ze „Słowa o wyprawie Igora”, przekład J. Tuwima (przyp. tłum.).

— Memłak Andrij Sydorowycz...

— Me... co? — Iwan od razu zwierzył zdobycz.

— Mem-łak.

— A, a, a, towarzysz Mem-łak... Miło poznać, towarzyszu Mem-łak.

Czasem Zahatny potrafił się zachować jak prawdziwy potwór. Jego kpiące „a, a, a, towarzysz Mem-łak” długo kursowało po całej redakcji.

Do pokoju weszła Marta z dzieckiem na ręku. Podróżna krzątająca nieco ustała, przedmioty straciły swą szorstkość, nawet przestrzeń i czas wyraźnie złagodniały. Świat obłaskawił się i rozjaśnił. Memłak uśmiechnął się, jego szeroka gęba rozciągnęła się jeszcze bardziej. Dla kogoś, kto widział go pierwszy raz, wyglądało to głupio i bezmyślnie. Nieporadnie miotał się po pokoju, zbierał rzucone bezładnie walizki, kosze, tobołki, ale co chwilę przysiadał obok dziecinnego łóżeczka i ogłupiały od natłoku dotychczas nie znanych uczuć, wlepił wzrok w drobniutką buzię niemowlęcia. Oksana pokręciła główką przez sen. Pewnie przeszkadza jej światło — pomyślał. Wygramolił się na stołek i owinał żarówkę kawałkiem papieru. Na policzki Oksany padł cień długich, równiutkich rzęs.

— Popatrz, jakie rzęsy.. — szepnął, niezdarnie odwracając się do żony, i omal nie rymnął na ziemię.

— Uważaj! — poderwała się Marta. Była naprawdę przestraszona. Z poczuciem winy zlązł ze stołka. Rzeczywiście, oferta jedna, mógł przewrócić łóżeczko. Stał nieruchomo, bojąc się nawet odetchnąć, by nie zaszkodzić dziecku.

— Zobacz, znowu się rusza...

Nie mógł się doczekać. Naprawdę mogłaby się wreszcie obudzić. Przez ostatnie dwa miesiące może z tydzień był w domu, nie zdążył się nawet napatrzeć, zresztą na początku to była taka kruszynka, ot, różowy robaczek.

— Lepiej byś wanienkę wyciągnął, kąpać trzeba...

Rzucił się do kąta, zębami rozsypywał splątane sznurki. Dziecko zapłakało.

— No i patrz, obudziłeś. — Marta schyliła się i wzięła Oksanę na ręce. — Niech tam, będzie lepiej spać w nocy.

— Daj... — poprosił nieśmiało.

— Tatko chce nam szyjkę skręcić, tatko jeszcze nie umie nas trzymać, a my tu mamy mokro, podaj nam, tatku, suchą pieluszkę — mówiła śpiewnie Marta.

Znalazł pieluszki i stanął obok łóżeczka. Upojna, cieleca radość zapierała mu dech. Dziwne. Wszystko, co go dotychczas martwiło i nie dawało spokoju, nagle zupełnie przestało być ważne. Przez chwilę pomyślał o reportażu, który pośpiesznie kończył rano, czekając na samochód. Materiał jeszcze dziś powinien być w redakcji. Borys Pawłowycz czeka, przecież to ważny temat, drugie żniwa, do najbliższego numeru na rozkładówkę. Redakcja, reportaż, rozkładówka, wszystko było teraz jak szron na szybie: starczy chuchnąć i śladu nie ma. Marta podała mu dziecko: w białym kokonie różowiała mała plamka buzi. Wyciągnął drżące ręce.

— Uważaj na główkę... Nie upuść nas, tatku. Mama przyszykuje kąpiel.

Andrij poczuł w ramionach kłębuszek żywego ciepła. Tuż przy policzku zamrugwały czarne oczki. Skrzypnęły drzwi, Marta poszła do gospodyni po ciepłą wodę. Nasłuchiwał cichnących w sieni kroków. Miał surowy zakaz całowania dziecka: łatwo o infekcję. Ulegając przemożnej, słodkiej pokusie musnął wargami ciepły policzek. Nawet obojętny widz musiałby zauważyć, jak pod wpływem uczucia jego chuda, długonosa twarz rozjaśnia się wewnętrznym blaskiem i staje się niemal piękna.

Marta stała na progu, wzruszona do łez.

...pociąga łyk ciepłej, stęchłej wody, spluwa na podłogę, znów wędruje przez puste pokoje jak lunatyk, wsysany przez Terechówkę, wpływ próżni na wyrastającego ponad przeciętność ducha, wlecze się przez puste pokoje, potyka się o progi, obija o stoły, w gardle straszliwa suchość, której nie ma czym ugasić, dokoła upał, od którego nie ma ucieczki, nie zapomnieć: najgorsze są niedziele i święta, na co dzień upaja się pracą, w święta zostaje sam na sam z Terechówką... „To, mówisz, na własne oczy?” — „No...” — „Całowali

się?” — „Ciii... Też coś. Albo to takie waźniaki mogą się całować?” ...w święta zostawał sam na sam ze sobą, nie zapomnieć: rozpalone zamglone niebo — symbol jego samotności, ziemia nie daje ukojenia, ziemia go odrzuca, bo on trochę nie z tej ziemi, stanowi jej własność, ale nie wyłączną, przynależy także do nieba, bardziej nawet do nieba niż do ziemi... — przecież oni mówią o mnie i o Ludzie, ohyda! oni wszystko wiedzą, wiedzą więcej, niż on sam wie o sobie — ...łazi po pustych pokojach, kopie w drzwi, ale gdy rozpacz sięga granicy, poza którą jest już tylko wieczna cisza i spokój, gdy rozpacz przewyższa chęć istnienia, a raczej instynkt życia, który ma w sobie zakodowany, gdy zdaje się, że tylko patrzeć, a ucieknie na zawsze od tego dusznego oparu za oknami, od tej samotności, wtedy w głębi duszy zaczyna wibrować ledwie słyszalna struna nadziei, oczekiwania na spotkanie z Człowiekiem, który tak samo jak on przypadkiem znalazł się w tym mrowiu miernoty (podkreślić: geniusz jest zawsze samotny, ale w gruncie rzeczy miernota lęka się geniuszy, to jest jedyna rekompensata za samotność), odwieczne marzenia geniusza: spotkać w ludzkim stadzie Człowieka... przypomina sobie wczorajszą rozmowę z Huźwą, patrząc gdzieś w bok Huźwa oznajmił, że do domu towarowego przyjęto nową dziewczynę, ładniutka, warkocz długachny, oczy duże, zasypiając myślał o niej, tu, gdzie człowiek zna wszystkich z widzenia, gdzie wszystkie twarze są równie znane jak pierwsza strona gazety, znane i do znudzenia takie same, świeża twarz jest jak łyk zimnej wody na pustyni, może to właśnie ona, ta, o której marzył przez całe życie, jedyna, która go zrozumie, wolnym krokiem wychodzi na dwór, przysiada na murowanym ganku, tu jest cień, od ceglanych murów ciągnie wilgotny chłód, opiera głowę na rękach, myśli krążyć wokół dziewczyny... ta Priśka działa mi na nerwy, po mnie od razu widać, że wszystko słyszę. „Długo spacerowali po ulicy, on wymachiwał rękami jak wiatrak...”

— Szłam właśnie na kolację, patrzę, naprzeciw idzie towarzysza agronom — głośno zaczęła Priśka. „Dokąd to?” — pytam. „Do komitetu, nocny dyżur”. „Uważaj — mówię — żeby cię kto w nocy nie ukradł!”. A ona jak się nie zacznie śmiać, mówię wam, aż się zanosila...

Wyszedł cicho z zecerni, nawet drzwiami nie trzasnął. Ręce niedbale założone do tyłu, ale palce przez koszulę zagłębiają się w rany. Smakował swój ból jak cierpkie wino. Jednak nie zniżył się do nich. Wielkie triumfy wyrastają z małych zwycięstw. Chwilami człowiek zaczyna mieć szacunek dla siebie. Wyrobić w sobie fizjologiczną odragę do paplaniny. Ale skąd oni w s z y s t k o wiedzą? Smętnym spojrzeniem omiótł szare ściany redakcji. Czuł się w Terechówce jak pod celą, argusowe oko dozorczy, wiecznie paląca się żarówka, och, żeby choć minutę ciemności. Zamknięta przestrzeń, nieustanna obserwacja wyklucza nieskrępowaną miłość. Powiedzieć o tym Ludzie. Miłość królików doświadczalnych. Powiedzieć jej wszystko. Koniec z odkładaniem z dnia na dzień. Brak odwagi. Jej dzisiejszy dyżur to dar losu. Bodziec. Wszystko, co mogę, to kierować się rozsądkiem. Przez zaporę własnej słabości przebić się do celu. Wielkość wymaga ofiar. Umieć zdobyć się na ofiarę. Ucieczka od tłumu i ziemskich spraw, lekceważenie bogactwa, post i asceza, pogarda dla ciała wywyższa ducha. Skoworoda. Miernoty nie są żdolne do ofiar. A teraz praca, praca. Do upadłego. Póki pióro nie wypadnie z ręki.

Przeszedł przez sekretariat. Ożywione rozmowy korektorów zwiędły pod jego chłodnym spojrzeniem, nosy utknęły w wilgotnych szpałtach. Zamknął się w gabinecie naczelnego. Ależ tu smród. Szarpnął firankę, pchnął na oścież jedyne okno. Oczywiście „Kazbeki”. Pędziwiatr zawsze trzymał na biurku „Kazbeki” dla miejscowych notabli i przyjezdnych prominentów, sam palił tańsze. Prosty fotel z wysokim oparciem, istny tron kacyka rządzącego jakimś nędznym, marionetkowym państwkiem. Powoli podniósł słuchawkę, dwoma palcami ujął korbkę, pokręcił i prawie szeptem rzucił telefonistce: „Z komitetem, proszę...” Owego pierwszego wieczoru Luda także miała dyżur w komitecie, długo siedzieli na ganku i rozmawiali, w tamten wieczór wszystko się zaczęło, dziś dobiegało końca. Naucz się być silny...

— Słucham, komitet, halo, słucham...

Ledwie powstrzymał się, by nie powiedzieć: „Dobry wieczór, Ludo”. Jakby wiedziony przecuciem na drugim końcu rozległ się głos: „Halo, halo...” Iwan na-

cisnął palcem widełki. Szukał w sobie głębokiego, wewnętrzznego bólu, ból byłby jakimś usprawiedliwieniem. Naucz się być silny. Skorowoda. Ale cierpienie nie przychodziło. Robiło się nieprzyjemnie. Ścisnął głowę rękami i rzucił się do pracy.

Najpierw trzeba dokładnie uświadomić sobie, o czym chcesz pisać. Swoimi słowami opowiedzieć treść powieści, nakreślić linię tematyczną. W procesie twórczym sama obrośnie w szczegóły.

...jakaś przeżarta biurokracją miescina, ot, na przykład stolica rejonu (nazwa musi być wymyślona, oczywiście nie Terechówka, od razu zaczną się czepiać), niedziela, kompletna martwota jakże różna od codziennej krzątanimy, nieliczni przechodnie pełzną leniwie, nawet idąc ulicą obywatele Terechówki drzemią, nieodparte wrażenie: jedyny żywy człowiek w tym śpiącym królestwie; upał, zaduch, zamglone słońce; drgające od żaru powietrze, jakiś urząd administracyjny, raczej redakcja, lepiej nie precyzować, opustoszałe pokoje, stojący odór starych papierzyk, poźółkłych gazetowych zszywek, letnia woda w karafce, smak stęchłej wody, chyba nigdy nie zmienianej, muchołapka, w środku szklanego klosza pełzają na pół uduszone muchy — atmosfera: stęchła woda i muchołapka, i na tym tle samotnik o niebo przewyższający całą resztę, ale nie prorok, choć z takich właśnie samotników wyrastają prorocy; on już nie wierzy w żadne idee, nie przepowiada więc nadejścia królestwa niebieskiego, jest wyższy ponad wszelkie złudzenia, nie oferuje masom kliwionych mrzonek, wie, że motłoch zawsze pozostanie motłochem, nawet w królestwie niebieskim (według Skoworody: grzeszny motłoch może dotknąć ciała Chrystusowego, ale w swej głupocie nie jest w stanie zaczerpnąć boskiego rozumu), samotny, samotny zawsze, i w dzień powszedni, i w święto, bez chwili przerwy, ale najbardziej w święto, zwykły dzień odurza bezmyślną krzątanimą, wół też nie myśli o swoim losie, pamięta tylko o jarzmie, które trzeba dźwigać w nieskończoność, podczas gdy nad grzbietem śwista bat, w święto brak nawet tej krzątanimy przeciętniaków, samotnik błądzi po opustoszałych pokojach urzędu (niczym nałogowy pijaczek, co nawet kompletnie splukany ciągnie jednak do gospody i staje w progu wdychając luby zapach), uczucie straszliwego pragnienia:

duchowego i fizycznego, pragnienia, którego w Terechówce nie ma czym zaspokoić, znów ten smak stęchlizny, spluwa na podłogę, płacze się po pustych pokojach, kopniakami otwiera drzwi, czarna głęboka rozpacz, rozpacz samotnego wędrowca na pustyni, a może w głuchym lesie, i nagle...

Dzwonek. Banda idiotów, nawet wieczorem przeskadzają... Telefon dzwoni głośno, natarczywie. Sygnał telefonistki. Międzymiastowa albo naczalstwo.

— Słucham, redakcja. Nie, Pędziwiatr wyszedł coś zjeść. Tu Zahatny. Dobry wieczór, Dmytrze Semenowyczu. Kończą składać ostatnią kolumnę. No, dla nas to jeszcze nie żadna katastrofa, zdarza się i później. Tak, tak, poligrafia nie nadaża. Co na tytułówce? „W porę zakończyć podorywki pod oziminę”. Kukurydza zaplanowana na przyszły tydzień. Skądże, wiem, co mówię, mam przed sobą grafik na cały tydzień. „Królowa pól — w troskliwe ręce” i cała rozkładówka. Tak, następny, siódmego. Nie wiem, naczelny nic nie przekazywał, plan układa kolegium, jasne, ale przecież już dziesiąta. Rozumiem, nie, nikt nie pisał. Tak jest, zrobimy, co się da. Dobranoc, Dmytrze Semenowyczu.

Odłożył słuchawkę. Przez chwilę siedział bez ruchu. Miał ochotę zakląć brzydko. Nie miał pretensji do żadnego z kolegów, nawet do naczelnego. Nienawidził wszystkiego i wszystkich. Bierz się teraz do roboty, wyklócaj się z zecerami, dzwoń na pocztę, błagaj me-trampaża, pisz, skrcaj, kombinuj. Jak się wali, to wszyscy do mnie: ratuj, sytuacja podbramkowa. Cóż, poratuję. Który to już raz. Jemu to nie pierwszyczna, zdążył się przyzwyczaić. Nawet czasem miło. Człowiek czuje, co naprawdę potrafi i co jest wart. Wreszcie się przekonają, na czyjej głowie to wszystko. Poderwał się. Krok młody, sprężysty, w głosie ostre nutki, takim głosem wydaje się rozkazy przed bitwą:

— Uła! Leć po naczelnego, alarm. Wstępniaka nie szczytywać, będzie przeskład...

Spięty, jakby za chwilę miał dać nura do zimnej wody, pobiegł stawić czoło zecerom.

— Kto robił tytułówkę? Wy, towarzyszeko Sklarowa? Będzie nowy tekst. Dzwonili z komitetu. Już posłałem po naczelnego. Bądźcie w pogotowiu.

Chłodny spokój tego komunikatu zdusił w zarodku

placzkliwy głos, który podniósł się znad kaszty z czcionkami.

— Choćby mnie mieli zastrzelić, palcem nie kiwnę — darła się Priśka rozsypując szufłę z gotowym wstępniakiem. — Człowieku, rano się trzeba w głowę pukać, a nie o północy na komitet zwać. Całymi dniami w szachy rzną i zęby szczerzą. Pójdę jutro do komitetu, powiem...

— Od świtu do nocy dźwigaj ten ołów, jak katorżnik — mrucał z kąta stary metrampaż. — Napiszę, gdzie trzeba...

— Płacą wam nadgodziny? Jutro możecie sobie pisać nawet tysiąc zażaleń, nie moja sprawa, ale dziś musicie skończyć robotę, bo jak nie... — złość w nim wezbrała, złapał się za poparzoną rękę, ale już było za późno. — Sami będziecie sobie winni...

— Co ty, straszyc nas będziesz? — zaczął metrampaż. — Jeszcze cię spod stołu widać nie było...

Zrobiło mu się czerwono przed oczami. Niesubordynacja zawsze doprowadzała go do wściekłości, a tutaj przecież szło o coś więcej.

— Tylko bez tykania, proszę. Ja z wami świń nie pasłem i, mam nadzieję, nie będę.

— Udławcie się tymi kopiejkami, co je tak wyominacie — wtrąciła Priśka.

— Choćby mi nie wiem ile płacili i tak bym nie poszedł z tobą świń paść — odciął się metrampaż.

Do zecerni wbiegł Pędziwiatr.

— O co ten gwałt, po co te krzyki? Towarzysze kochani, proszę o głos. Priśkę aż koło księgarni słyszeć, pali się czy co, myślę sobie. Co się stało, Kyryłowyczu?

— Sekretarz komitetu chce mieć wstępniak o kukuzydzy jeszcze w tym numerze — sucho zaraportował Zahatny.

— Zaraz do nich zadzwonię, spróbuję się wykręcić. Jak się okaże, że nie da rady, wszyscy zakaszemy rękawy, w jedności siła. Wstępniak złożyć, jak splunąć, sam do kaszty stanę, przypomną się uniwersyteckie lata, Josypiwna raz-dwa złamie, złote ręce...

— Da się zrobić — momentalnie udobruchała się Priśka. — Jak podejść po ludzku...

— Takie już to nasze dziennikarskie jarzmo — Pę-

dziwiatr pracował jak pianowa gaśnica, skierowana w płomień rodzącej się kłótni.

— Jeszcze jakby niektórzy mniej komenderowali... — rozległo się z kąta. — Czy to my sami nie rozumiemy?

Umie sobie z nimi radzić ta niezdara — pomyślał zazdrośnie Iwan. Rozżalony podszedł do okna. — Plecie, co mu ślina na język przyniesie, a wszyscy słuchają, nikt słowa nie píše. Czują swojego, a ja co — obcy. Masy lubią przeciętniaków i demagogów...

— Kto w niedzielę na grzyby, niech się zgłosi do rady zakładowej, samochód już załatwiłem. Lecę dzwonić — krzyknął od progu Pędziwiatr.

Ale ze mnie tępak — rozmyślał Iwan. — Tak stracić panowanie nad sobą. Nie daj Boże dowodzić ludźmi. Ktoś pisał, że wielcy humaniści to potencjalni tyrani, ale przecież nikt nie potrafi wyzbyć się złości, zanim się nie rozezna, co w nim złe, a co dobre. Skoworoda. Warto by ich przeprosić. — Bał się utracić kojące poczucie szacunku dla własnej osoby.

— Wszyscyśmy... trochę nerwowi... Człowiek naczyta się tej makulatury, nabiega...

Zecernia milczała.

Myślałeś, że z radości plackiem przed tobą padną. Jakoś nikt nie pada. Pewnie chcą, żebym się na kolanach czołgał? „Zmiłujcie się, wybaczcie...” Co za dużo, to niezdrowo. — Miarowym, twardym krokiem skierował się ku drzwiom, jak gdyby rzucał im wszystkim wyzwanie.

Przez kilka ostatnich miesięcy Memłak nie mieszkał z rodziną i swoje ojcostwo przyjmował trochę jak abstrakcję. Kiedy przyniesiono mu telegram z gratulacjami, zaczął skakać jak szalony, zdawało się, że rozwali podłogę. Wszystko odbyło się trochę za wcześnie, stąd zaskoczenie. Na porodówkę musiał odwieźć Martę jego brat. Andrij uśmiechał się szeroko, ścisnął wyciągające się do niego dłonie, przepijał do każdego, kto znalazł się pod ręką. Oczywiście z radości przebrał miarękę, ale taki to już terechowski obyczaj (zresztą, jeśli mam być szczerzy, nie tylko terechowski). Potem wziął tydzień urlopu, jeździł do miasta po łóżeczko i wanienkę, kupował pieluchy i śpioszki, problemów było tyle, że przez całe sześć dni nawet nie odetchnął. W białym zawiniątku kwiliło coś, czerwone, drobniutkie, nawet przyglądać się zbyt długo nie pozwalano, a co dopiero na ręce brać. Krótkie karteczki od Marty informowały tylko, że ona już kręci główką, uśmiecha się, lubi patrzeć na lampę i na zalane słońcem okno. Czytając pośpiesznie skreślone słowa, uśmiechał się z niedowierzaniem, w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić, że gdzieś tam, o sto kilometrów dalej, żyje człowiek, który jemu zawdzięcza swoje istnienie. Banalne słowa: „Mam córkę. To moja córka”, powodowały słodką burzę w piersi. Ale czas mijał i nużąca codzienność terechowskiej egzystencji w połączeniu z niepowodzeniami zawodowymi niepostrzeżenie gasiły odświeżny nastrój.

Ale dzisiaj istniała tylko jego córka. Nawet reportaży, najlepszy, jaki kiedykolwiek napisał, walał się na stole wśród butelek i smoczków. Obchodził go tyle, co zeszłoroczny śnieg. Spod koronkowego czepeczka zerkały

na Memłaka bystre oczka, malutki człowiek już coś widział, odczuwał i pewnie po swojemu analizował świat.

— Opowiedz jej coś — rzekła Marta, wnosząc parujący garnek. — Ona lubi, jak się do niej mówi.

Zaczął się zastanawiać, co by tu opowiedzieć córce, ale nie potrafił wymyślić nic sensownego. W takiej chwili nie wypadało paplać byle co ani się wygłupiać. A o tym, co człowiek naprawdę czuje, nie można głośno mówić, zresztą w ogóle nie da się tego powiedzieć, słowa wydają się jakieś bezbarwne, wyświechtane. Milczał, kołyszając Oksanę na rękę, ale to milczenie było tak pełne uczucia, że chwilami aż piekły go powieki.

Marta dołała do wanienki zimnej wody, wyścieliła białym gałgankiem, rozwinęła dziecko i posmarowała mu główkę oliwką. Nieporadnie kręcił się dokoła, nie wiedząc, co zrobić z rękami. Oksana nawet w wanience nie przestawała kręcić łebkiem, machać rączkami, śmiać się do światła.

— Lubimy się kąpać, oj, jak lubimy. Potrzyj nam, tato, główkę — przemawiała pieszczotliwie Marta, ochlapując wodą brzusek dziecka. — Niżej, tato, trzymaj, nie lubimy tak wysoko, zaraz będziemy się złościć...

Ostrożnie trzymał brzeg gałganka, żeby nie zamoczyć główki. Dawno nie doznawał tak przejmującego poczucia, że jest komuś naprawdę do czegoś potrzebny. Oksana dała mu wreszcie to, czego mu zawsze brakowało — pewność siebie. Stara Chrystyna, która wynajęła im pokój, podała Marcie garnuszek:

— Zaparzyłam ajeru. Swoje wychowałam, mam doświadczenie: dobry na kosteczki, wzmacnia...

Marta podziękowała i wlała napar do wanienki. W izbie zapachniało rzeką, łąką. Potem trzeba było zawinąć Oksankę. Podniósł się wrzask, bardzo nie w smak jej było to zawijanie. Próbował się wtrącić, ale Marta orzekła, że Oksance czas spać, a tato niech się zajmie swoimi sprawami, i zaczęła cicho nucić kołysankę. W pokoju pachniało jeszcze tatarakiem, za chwilę zapachniało i na podwórzu, trzeba było gdzieś wylać wodę z wanienki.

Złapał reportaż i obiecawszy solennie, że wróci za pół godziny, pobiegł do redakcji. Podwórko, ulica, cały

świat odświętnie pachniały tatarakiem. Tak w dzieciństwie pachniały Zielone Świątki, tak pachniała wiosna.

Sentymentalna szczebiotka nie mogłaby lepiej opisać Memłaka, prawda? Po prostu idylla. Prawdę mówiąc, zależało mi na wywołaniu takiego efektu: chciałem skontrastować tę oazę spokoju i rodzinnego ciepła z kosmicznym chłodem Zahatnego. Może nie wyszło, jak trzeba, pewnie talentu nie stało. Nie sądźcie państwo jednak, że łatwiej kreślić sylwetkę Memłaka niż Zahatnego, że niby Andrij Sydorycz bliższy i lepiej go rozumiem, jak wszystkie proste natury, a Iwan dziwak, kapryśny i trochę nie w moim emploi, jak mówią aktorzy, choć usposobienie też czynne, ruchliwe.

Ale, mówiąc naukowo, on — idealista, ja zaś — prosty materialista, i to nie w filozoficznym, ale zwyczajnym, przyziemnym sensie. Innymi słowy, jemu bliższe są sprawy ducha, mnie zaś — ciała, w myśl wskazań mądrego Skoworody: „Zdobywając wartości duchowe, strzeż się zaprzepaścić cielesnych, jeśli one mogą cię doprowadzić do lepszego”. (O Skoworodzie i jak go s t u d i o w a ł wasz pokorny sługa, odkąd zawarł bliższą znajomość z Zahatnym — patrz niżej). Ale dosyć tych ogólników. Trzeba by jakoś konkretniej. Niechby tak te zapiski trafiły w ręce wyszczekanego krytyka, od terechowskich mieszcuchów nawymyśla, w gazetach obsmaruje, człowiek się nie pozbiera, zwłaszcza po linii służbowej. Gdy się zajmuje takie stanowisko jak ja, do tego jeszcze w małym miasteczku, gdzie wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą, trzeba dbać o nieskazitelne morale.

Chcecie państwo, żebym spręcyzował, w czym naprawdę różniły się, ja i Iwan? Chętnie. Iwan zawsze starał się przerosnąć samego siebie. A ja od dziecka wiem jedno: wyżej głowy nie przeskoczysz. Dlatego poprzestaję na małym. Jeszcze państwo nie kapują? Po prostu zachowuję się jak większość ludzi, a on nie lubi chodzić w stadzie, to indywidualność, osobowość, on musi głębiej, wyżej niż byle miernota, czyli — jak sam się wyraża — szara masa.

Ale do rzeczy. Miało być przecież o Memłaku. Pierwsze, co się u niego rzucało w oczy, to jakieś patologicz-

ne wręcz nieprzystosowanie do życia. Wszyscy od razu byli skłonni się nad nim litować. Pewnie dlatego sympatia żeńskiej części redakcji była po jego stronie. Drażniło mnie to: nie umiem się litować, litość zawsze niepostrzeżenie przechodzi w pogardę. Człowieku, jeśli masz zdrowe ręce i nogi, jeśli nic ci nie dolega, jak możesz pozwalać, aby ktoś się nad tobą litował? Masz swoje lata i wiesz, że żyjąc wśród ludzi trzeba od czasu do czasu pazury pokazać, inaczej cię rozszarpią. Załóżmy, że nie o wszystkim mogłeś sam decydować: w dzieciństwie byłeś chorowity, późno skończyłeś szkołę, późno stanąłeś do poboru, późno wstąpiłeś do instytutu — wszystko z dużym opóźnieniem. Ale czy ktoś ci, łajdaku, kazał na trzecim roku rodzinę zakładać? Ja byłem już dawno na posadzie, a i to jeszcze medytowałem, kalkulowałem: starczy tych szeleszczących papierków, czy nie starczy. Dopiero jak mi wyszło, że tak, rękę i serce, jak to dawniej mawiano, zaproponowałem. Kto Memłakowi kazał zostawić pracę w szkole, zanim się wciągnął, okrzepł, mieszkanie dostał? Lekkomysłnie rzucił się na głęboką wodę — jego pojęcie o dziennikarce było raczej dość mętne. Ja też mógłbym sobie powiedzieć: od jutra jestem, powiedzmy, kosmonautą. Rzucam posadę i hyc do pociągu. A efekt? Trzeba naprawdę być jołopem, żeby zabierać od matki żonę z dzieckiem i przenosić się do wynajętej chałupy, mając do dyspozycji tylko mizerną pensyjkę i mgliste obietniki Pędziwiatra. A już ta historia z pieskiem... Na razie spuśćmy na to zasłonę litościwego milczenia.

No i wyszło szydło z worka, powiecie. Ukazało się prawdziwe oblicze drobnomieszczanina, huzia, łapać go! A ja nawet uciekać nie zamierzam. Materialiści z nas i kwita. Wykształcenia też, chwalić Boga, mi nie brak, choć tylko studia dla zaocznych kończyłem. Człowiek musi jeść, pić, mieć dach nad głową. Nawet najdoskonalsza społeczność nie może wiecznie występować w charakterze niańki. Oczywiście to wspaniała rzecz, że u nas wszyscy dbają o jednego, a jeden o wszystkich, ale nie zaszkodzi, jak ten jeden sam o siebie też zadba. A propos, Iwana także Memłak doprowadzał do furii: ani krztyny rozsądku. Do reszty dobiło go sprowadzenie żony i historia z pieskiem. Okazuje się, że czasem byliśmy jednomyślni.

Zeszłej zimy siedziałem tydzień w Kijowie na seminarium dla kierowników bibliotek. Spotkałem Zahatnego. Spoważniał, teczka modna, elegancka, skronie lekko przyprószone siwizną, trochę co prawda na to za wcześnie, ale wygląda imponująco — zechcą mi państwo wybaczyć to obce wyrażenie. Pracuje w poważnym czasopiśmie, zdaje się, że idzie w górę, krytyka literacka coraz bardziej liczy się z jego zdaniem. Wstąpiliśmy do restauracji — on stawał. Pogadaliśmy o dawnych czasach, przejechaliśmy się zdrowo po Memłaku. Wtedy właśnie przypomniało mi się jedno zdarzenie z nieśczęsnej dziennikarskiej działalności Andrija Sydorycza. Teraz myślę, że ta historia w całej pełni ukazuje — mówiąc ogólnie — łatwowierność Memłaka.

Jakoś zaraz na początku swojej redakcyjnej kariery postanowił opanować sztukę fotografowania — cóż to za dziennikarz, co nie wie, z której strony w aparat fotograficzny się patrzy. W jakimś tanim sklepiku nabył „Amatora” za siedemdziesiąt rubli (jeszcze na stare pieniądze). Po raz pierwszy miał jechać na prawdziwą delegację, wyobrażacie sobie państwo tę niezgrabną figurę na bocianich nogach, z dyndającym na ramieniu czarnym pudłem. Można pęknąć ze śmiechu... Uczepił się Pędziwiatra jak rzep psiego ogona: może coś pstryknąć dla gazety. Naczelnym rzucił na odchodnym:

— Warto by dać fotkę do kącika „Jak spędzać wolny czas?”; może jakieś brzózki...

Za chwilę Pędziwiatr zapomniał już o tych brzózkach. Ale dla Memłaka polecenie — rzecz święta. Miał wrócić następnego dnia rano, zjawił się dopiero pod wieczór Wypompowany; z trudem człapał przez podwórze. Rzuciliśmy się do okien. „Co was tak zatrzymało, towarzyszu Memłak?” — wypyujemy. Westchnął ciężko i zwracając się do naczelnego powiedział: „Nie mogłem wykonać waszego polecenia, Borysie Pawłowyczu. Calutki dzień za tymi brzózkami biegałem, ale u nas lasy sosnowe, zapłakać się można, brzózki ani na lekarstwo. Co teraz damy do naszej rubryki?” Pokładaliśmy się ze śmiechu, zwłaszcza Iwan.

Pełno teraz w telewizji czy w gazetach uczonych dyskusji: jakie czynniki kształtują charakter człowieka? Które elementy są wrodzone, a które nabyte w procesie wychowawczym? Geny jakieś wynaleźli. Jasne, przy-

roda muruje fundament, nie darmo mówi się: charakter to ma po ojcu albo — po matce. Czasem dziedziczy się nawet po dziadku czy babce — sam jestem żywym przykładem. Ale chyba taki fundament nie zostaje przez całe życie bez zmian. Dialektyka mówi wyraźnie: wszystko się rozwija. A więc charakter też. Przyroda dostarcza tylko kruszcu, życie rozżarza go na swoim ruszcie, wali w niego młotem, i tak aż do końca. Przy czym wcale nie przebiega to wolno i równomiernie. Jeśli pozostać przy tym kowalskim porównaniu, to każde uderzenie młota można przyrównać do jakiejś krytycznej, podbramkowej sytuacji. I tak — od przełomu do przełomu — rośnie w naszej duszy diabeł lub anioł.

Wybaczcie państwo tę domorosłą filozofię. Na pewno od dawna o tym wiadomo, ale na prowincji trudno człowiekowi być na bieżąco, zwłaszcza jak się ma rodzinę na głowie. Zresztą nie mam zamiaru oświecać nieuków. Chcę tylko wyłożyć tutaj pewną teorię, która może się okazać pomocna przy analizie wnętrza moich bohaterów. Zadufek ze mnie? Może i zadufek. Wczoraj przejrzałem swoje gryzmoły i pomyślałem: może faktycznie wyjdzie z tego powieść? Ale byłby numer! Słowo daję, niektórych terechowskich prominentów żółć zaleje. A co! Może wyjdzie. Nie święci garnki lepią. Jesień, deszcz o szyby bębni, z gospodarstwem kłopotów mniej: ziemniaki wykopane, brykietów i drewna jeszcze latem nawiozłem. I mecze się skończyły — ale nasi pokazali, nie? — w telewizji nudy na pudy. Trzeba jakoś czas zabić.

Jak więc żył Iwan, zanim zjawił się w Terechówce? Na podstawie danych, którymi dysponuję, trudno w pełni naświetlić to zagadnienie. Fakty są skąpe, a zmyślać niczego nie chcę. Takie już mam zasady. Trochę lepiej, w porównaniu z innymi okresami, znam jego lata uniwersyteckie. Na sesjach dla zaocznych spotykałem czasem chłopaków, którzy go znali, a i jego własne wspomnienia były jeszcze stosunkowo świeże: niektóre dawne namiętności jeszcze nie wygasły i czasem w sprzyjających okolicznościach potrafiły na nowo wybuchnąć. Ale nawet z tego okresu wiem o nim bardzo niewiele. Jedno jest pewne: również na studiach był samotnikiem.

W czasie przerw w wykładach zwykł był przecha-

dzać się po korytarzu, skrzyżowawszy ręce na piersiach i w zamyśleniu pochylając głowę. Ten szczegół zapamiętano tak dobrze, iż nawet ci, którzy studiowali na innych wydziałach, wiele lat potem, wspominając Iwana, mówili: „To ten, co udawał Napoleona?” Kpili oczywiście, ale nie mieli racji. Było w tym coś wielkiego, nawet jeśli zupełnie nie miało to sensu.

Na studiach Iwan dał nura w filozofię. Nie przesadzam, dosłownie — dał nura. Wszystkiemu oddawał się bez reszty. W tym miejscu mogę się podeprzeć dokumentacją: kiedyś, w redakcji, wysłuchawszy kolejnego monologu Iwana zanotowałem sobie te wynurzenia. A nuż się przydadzą. Miałem nosa. Oto owa wypowiedź:

„Z początku byłem ufny jak dziecko, każdą mądrość skłonny byłem traktować jako prawdę. Ale okazało się, że tych prawd jest zbyt wiele. Zakręciło mi się w głowie, filozofowie wydali mi się sprytnymi kupczykami; każdy królował przy swoim straganie i zachwalał własny towar, oczywiście całkowicie oryginalny i w najlepszym gatunku. Zdyszany, umęczony bezsennymi nocami, które spędzałem na jałowych rozmyślaniach, biegałem od straganu do straganu. W końcu pojąłem, że jestem zbyt dociekliwy, nie lubię kupować kota w worku i na tym bazarze nikt mi recepty na życie nie sprzeda... To była moja pierwsza wielka porażka, utrata najbardziej kuszących złudzeń. Zanim poszedłem na studia, wierzyłem naiwnie, że gdzieś pomiędzy płóciennymi okładkami niecierpliwie czeka na mnie prawda, że wystarczy tylko otworzyć książkę...”

Iwan przerwał. Wolałem nie wypytywać, zresztą i tak nic by to nie dało: każda próba wyciągnięcia jakichś szczegółów powodowała, że chował się jak ślimak w skorupę i nieprędko można go było z niej wyciągnąć. A oto co dały informacje z drugiej ręki: Oparzywszy się na filozofii, Zahatny postanowił poznać smak *dolce vita*. Nie była to bynajmniej pokorna ukradkowa danina spłacana własnym namiętnościami. To jeszcze można by zrozumieć i wybaczyć, ostatecznie wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. („Zaprawdę, wszelki pokarm i każdy napój jest użyteczny i dobry” — pisał Skowroda). Ale to, co zaczął wyprawiać Iwan, to było czynnym, agresywnym zaprzeczeniem jakiegokolwiek filozofii. Osobiście nie pochwalam takiego nihilistycznego prze-

rzucania się z jednego bieguna na drugi. Ale oczywiście nie pytał mnie, co o tym myślę, podobnie jak nie radził się w sprawach najnowszej mody (forsy mu nie brakowało: już na uniwersytecie dorabiał sobie pisaniem, miał do tego smykałkę). Zaczęły się spacerować po Chreszczatyku, dziewczyny, opuszczanie wykładów i tęgie popijawy. O mało nie wyrzucili go z uczelni. Jeszcze trochę i stałby się najprawdziwszym bikiniarzem.

Niestety, ani śladu informacji, jak z tego wrzącego tygla namiętności narodził się nowy Iwan Zahatny. Wiem tylko, że ni stąd, ni zowąd wpadł na pomysł napisania wielotomowej sagi, w której jak w lustrze miała się przejrzeć cała nasza epoka. Coś w rodzaju „Komedii ludzkiej”. Dolce vita poszło w ką, zaczęła się tytaniczna praca. Chłopaki z akademika naprawdę bały się o niego: sypiał po trzy godziny na dobę, co jest zupełnie nie-normalne u zdrowego człowieka. W czasie naszego spotkania w restauracji napomknął mimochodem, że swego czasu marzył mu się własny ogromny świat: plan obejmował trzydzieści dwie powieści. W starych notatkach znalazłem nawet taki urywek: „...ja też mógłbym wymyślić sobie królestwo i zostać władcą...” Już nie pamiętam, ale zdaje mi się, że była to aluzja właśnie do tego okresu, o którym mowa.

Wspinając się jeszcze szczebelek wyżej, aby szerzej spojrzeć na uniwersyteckie czasy Iwana, pozwolę sobie, choć nie jest to bardzo etyczne, wykorzystać wspomnienia Ludy. Niedawno pogadaliśmy sobie kilka razy tak szczerze, od serca. Wszystkie rozmowy obracały się wokół jej kontaktów z moim bohaterem (nawiasem mówiąc, Zahatny wywarł na niej bardzo silne wrażenie). Oto, czego się przy okazji dowiedziałem:

„Czy pamiętam wszystkie jego wyznania? Skądże! Perorował całymi wieczorami, to był jeden nieprzerwany monolog, ja mogłam tylko cierpliwie słuchać. Jasne, z nikim w Terechówce nie rozmawiał tak szczerze — tu pozwoliłem sobie na uśmiech — napomykał coś o powieściach, które miał zamiar napisać, ale mówił o tym półgębkiem i jakby niechętnie. Szeroko opowiadał, jak to likwidował nieużytki. Zdecydował się na ten wyjazd, kiedy pomysł napisania sagi spalił na panewce. Nie, nie tak. Pojechał, bo chciał głębiej poznać życie. Tam zdarzył się wypadek, który omal nie skończył się

tragicznie. Nie pamiętam szczegółów, ale zdaje się, że zabłądził w stepie, poranił się o coś, a potem bez wody i jedzenia przeżył wiele dni. Już gotował się na śmierć, gdy przypadkowo odnalazła go ekspedycja jakichś geologów. Lekarze już położyli na nim krzyżyk. Przysięgał, że nie zależało mu na tym, aby wyzdrowieć. Pozer. Bo jak człowiek może chcieć swojej śmierci? Biologiczny absurd. Tam, w stepie, rzucił losowi wyzwanie: jeśli do tego a tego dnia go nie znajdą, to znaczy, że świat spokojnie może się bez niego obejść i jego przyszłe dzieło nie jest nikomu potrzebne. Dzieło rozumiał szerzej, w sensie filozoficznym. No i znaleźli go, ale o wiele później, niż było w tym jego wyzwaniu. Od tej pory dręczyło go podejrzenie, że żyje tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności i że świat nie zmieni się od tego, czy on tę swoją sagę napisze, czy nie, czyli, że nie ma ona dla świata nie tylko absolutnego, ponadczasowego i nadludzkiego, ale w ogóle żadnego znaczenia. Jakoś tak to ujmował. Coś się w nim załamało. Jak wyszedł ze szpitala, wrócił do Kijowa i spalił wszystkie rękopisy. Mówił, że stał nad ogniskiem i śmiał się. Wyobrażam sobie ten teatralny gest. Pamiętacie, jak on potrafił się śmiać?”

Miarowego kroku starczyło zaledwie, aby przejść przez sekretariat. Pchnął drzwi. W ciemnawej hali panował spokój i cisza. Na środku królowała maszyna drukarska, obok stała gilotyna do przycinania arkuszy. Przez szpary w drzwiach wnikały do środka żółte sztylety światła. Przydepnął jedno ostrze — rozległ się suchy urywany trzask. Złamać, unicestwić, a może tylko usłyszeć, jak coś pęka z żalonym trzaskiem. Tam, obok, jakież to wszystko śmieszne i bezsensowne, w końcu nie angażował się na niańkę, w sumie jednak przykro, głupie poczucie winy, ach, rzucić to wszystko w diabły, spakować manatki, wsiąść do pociągu i jechać, byle gdzie, byle dalej... Za ścianą trwał hałaśliwy rozgardiasz, rozlegały się śmiechy, nawoływania, istny jarmark, czyż oni nie rozumieją, że teraz każda minuta jest na wagę złota, niepoważni faceci, niechby tak naprawdę wyjechał, koniec z gazetą, ani jeden numer się nie ukáže, a w końcu i jego cierpliwość kiedyś się skończy. Spróbował podliczyć wszystko, co w redakcji było teraz na jego głowie: ileż to pochłania czasu! Powoli uspokajał się, twarz przybierała zwykły wyraz powagi. Zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę. Sekretariat rzeczywiście przypominał bazar: korektorzy, naczelny, żona naczelnego, Mołochwa, Dziadźko. Na biurku Iwana siedział tłusty uszaty szczeniak. W naiwnych ślepkach gęstniała nuda. Przed nim tkwił Dziadźko zgięty w pół, z dłońmi wspartymi o kolana, z wyciągniętą szyją. Szczeniak gapił się na niego, głowy obu były bliźniutko, jakby za chwilę mieli się stuknąć nosami.

— Witalka! Jeśli nauczysz Dzulbarsa czekać, wycenię ci podwójnie wczorajszy artykuł — krzyknął zapalczywie Pędziwiatr. W sekretariacie zrobiło się cicho

jak makiem zasiał. Wszyscy przyczaili się, czekali, tylko za szafą z książkami chrobotąła mysz. I nagle Dziadźko donośnie, dźwięcznie szczeknął:

— Hau-u-u!

Zaskoczony psiak zerwał się na cztery łapy i uskoczył w bok, jakby był z gutaperki. Witalka nie dawał za wygraną:

— Hau-u-u! Hau-u-u!

W okrągłych ślepkach Dzulbarsa zamigotał lęk. Ślizgając się na sprawozdaniach, brudnopisach, szpaltach za-
legających ciasno zestawione biurka i stoły rzucił się do ucieczki. Za nim jak olbrzymia żaba skakał Dziadźko, zanosząc się młodzieńczym, namiętym skowytom:

— Hau! Hau! Hau!

Psina podwinęła nędzny ogonek i skomląc ze strachu rozpaczliwie miotała się po stołach. Wszędzie jak spod ziemi wyrastała ogromna twarz nielitościwego prześladowcy. Wreszcie, zagnany w kąt, szczeniak przysiadł na tylnych łapach i wyciągając mordkę zaskuczał żałośnie:

— Ha-a-a-u-u!

— Towarzysze! Historyczna chwila! — Pędziwiatr rzucił się do Dziadźki i wylewnie uściskawszy mu dłoń chwycił go w ramiona. — Sami widzicie! Bezczelność niektórych osobników w mieście dochodzi do tego, że twierdzą, iż z Dzulbarsa taki ogar, jak z koziej dupy trąba. No i proszę, dziś wszyscy mogli się przekonać, jaki daje przepiękny, dźwięczny głos! A tobie, Witalko, w imieniu ludu pracującego miast i wsi... Masz u mnie flachę. A swoją drogą... nie da się ukryć, duży z ciebie kozak.

Wargi Iwana wygięły się w nikłym uśmiechu. (Dziadźko faktycznie czekał po mistrzowsku, jakby się urodził w psiej budzie.) Korciło go, żeby dopiec szefowi. Dobrali się jak w korcu maku: głupi prymityw i jego zapasiony kundel. Aż do bólu ścisnął sobie przegub i zdecydowanym krokiem podszedł do swojego biurka. W pokoju powiało trzeźwym racjonalizmem.

— Towarzysze, maszyny stoją, a wstępniaka jak nie było, tak nie ma. — Otworzył teczkę z odbitkami szczerkowymi. — Zaraz będziemy bulić nadgodziny.

Pokój opustoszał. Korektorzy śpiesznie znikali za drzwiami maszynowni. Ani chybi już mieli ozorami:

„Słyszeliście, pies naczelnego, ten, co go przewodniczący spółdzielni spożywców opchnął za stowę, wreszcie zaszczeakał!” Mołochwa z Dziadźką poszli do księgowości. Żona szefa wzięła pieska na ręce i poniosła do domu: nie wolno łamać porządku dnia, szczeniak musi iść spać o swoim czasie. Pędziwiatr zmarszczył brwi i zaczął bawić się leżącym na biurku przyciskiem.

— Późno już, nie uchodzi zawracać głowę Dmytrowi Semenyczowi — mówił, udając, że nie dostrzega lekceważących spojrzeń Iwana. — Porządni ludzie dawno o tej porze śpią. Mam tu jakieś dane na temat kukurydzy, dostałem od towarzyszy z aktywu. Ale z rękawa wstępniaka nie wytrzęsę. Głowę mam jakąś ciężką, zmordowałem się...

„Przy ludziach istny wulkan, a teraz — przekłuty flak. Cóż, może właśnie tak trzeba: optymizm dla mas. Do sekretarza boi się dzwonić nie dlatego, że późno. Przez te swoje pieski i króliki zapomniał o poleceniu i teraz tylko myśli, jak się sianem wykręcić. Znów wszystko spadnie na moją głowę: Zahatny taki, Zahatny owaki, ale z każdej biedy wyciągnie, dla niego to nie pierwszozna. Mógłbym go załatwić, niech siada i pisze, ale będzie marudził do północy, a chciałem jeszcze wstąpić do Ludy, koniecznie, bardziej sprzyjających okoliczności nie będzie, niktzemnik, czeka, żebym się sam podłożył, co za świństwo...”

— Podyktuję tekst. Niech Ula siada do maszyny.

Było to powiedziane takim tonem, że Pędziwiatr zdębiał, ale w porę się pohamował. Nie miał wyjścia. „Szkoda. Wygarnąłbym mu kawę na ławę, tak czy owak mój artykuł wyceni na dwadzieścia rubli, a za swój wzięłby najmarniej trzydzieści”. Zahatny stuknął pięścią w ścianę maszynowni. Obaj siedzieli w milczeniu, głęboko niezadowoleni z siebie nawzajem. W drzwiach stanęła korektorka.

— Proszę do maszyny — powiedział Iwan. — Będę dyktował...

(To będzie przedstawienie, oko wam zbieleje!)

— Papierosa! — rzuca komendę.

Dwie paczki skwapliwie wyciągają się w jego stronę: Pędziwiata i Dziadźki. Bierze jednego od Dziadźki. Palce Ulki spoczywają na klawiaturze maszyny. Mołochwa gładzi leżącą na blacie pękniętą szklaną tafle;

poskładał papiery i schował je do szafy w ścianie, ale jeszcze się nie żegna, może też czeka na przedstawienie, lada chwila powinno się zacząć. Iwan odsuwa z przejścia krzesło: zbędne przedmioty przeszkadzają w myśleniu. Pędziwiatr i Dziadźko tkwią nieruchomo w drzwiach prowadzących do gabinetu. Pusty środek sekretariatu to scena. Iwan zaciąga się głęboko i nieoczekiwanie silnym, wyraźnym głosem zaczyna: „Bez-kresne łany dojrzały złotem. Kropka. Tysiące hektarów królowej naszych pól czeka na pracowite ręce rolnika. Serce dobrego gospodarza nie może bić spokojnie, póki cała kukurydza nie znajdzie się w kołchozowych sąsiękach...”

Maszyna jak zziąjany, dobrze wytresowany ogar pędzi tropem myśli Iwana. Ciemne szyby odbijają świecące kule żarówek. Napięte oczekiwanie widowni ustępuje miejsca podziwowi. Jednym pchnięciem otwiera okno, kule żółtego światła skaczą gdzieś w mrok, do pokoju wpływają gałązki morwy. Głęboki wdech, potem wydech, trzy razy, jak każe joga, to pobudza krążenie i rozjaśnia umysł. Raptownie odwraca się do maszynistki: „Gospodarne ręce nie zaprzepaszczą ani jednej kolby, ani jednego ziarenka. Akapit. Stoimy u progu wielkiej bitwy o urodzaj. Jeszcze dzień, dwa i na złociste pola wyruszą setki maszyn, dziesiątki tysięcy pracowników. Od naszego przygotowania do tego decydującego momentu zależy zwycięstwo...”

Ręce w kieszeniach, powolny spacer między stołami, z kąta w kąt. Wzrok nieobecny, zamyślony, skupiony wyłącznie na słowach-ideach, które z lekkim szelestem umykają przed ścigającym je stukotem klawiszy. A równocześnie stała świadomość rejestrującego oka kamery. Plan ogólny: pokój, widzowie, nerwowo przechadzający się postawny mężczyzna o wysokim czole; na pierwszym planie: poplamiony atramentem stół, maszyna do pisania, intelektualista podchodzi do kamery; zbliżenie: zamysłona mądra twarz, wyraźne ruchy warg; zbliżenie: na wkręconej w maszynę białej kartce litery wartko wiążą się w słowa; zbliżenie: głębokie, zmęczone spojrzenie intelektualisty...

Co za gamonie, gazetę chyba diabli wezmą, jak jego zabraknie. „Towarzysze kołchoźnicy! Dołożymy wszelkich starań — nie, zaiksować, krótko — niech nikt nie

marzy o spokoju w tym gorącym czasie! Każdy musi żyć tylko jedną myślą: czy zrobiłem i nadal robię wszystko, by szybko i sprawnie zebrać ten obfity plon. Aby wysoko wznieść sztandar socjalistycznego współzawodnictwa w naszych drugich żniwach!" Po ostatnich słowach Iwan zasłania twarz rękami, jakby ostatecznie pokonany przez zmęczenie, potem wolno opuszcza dłonie i dodaje cicho: „Wykrzyknik, koniec... Naczelnemu do podpisu..."

Stojąca w progu Prisia bije brawo. Mołochwa kręci głową: „Ma facet talent!"

Zahatny wybiega z pokoju jak wzruszony aktor ze sceny. Pędziwiatr bez słowa stawia parafę na pierwszej stronie wstępniaka.

Artykuł powędrował do zecerni. Przy kasztach stanęli składacze. Pędziwiatr i Dziadźko pletli jeszcze coś o niedawnej historii z Dżulbarsem. Naczelnny jak zawsze, z przejęciem, Dziadźko — na pozór żartobliwie, ale nie bez ukrytej intencji. Iwan wrócił, usiadł za stołem nastroszony jak wróbel na mrozie: nagle przestało mu się śpieszyć, zgrywa straciła urok. Niedawny występ dla tych trzech prostaków, świadome gierki, poniżająca chęć przejrzenia się w oczach bliźnich jak w lustrze, sztuczny patos wstępniaka — wszystko to piekło głęboko w piersi jak świeża rana. A może po prostu się przepalił? Nie wyjmował papierosa z ust, żeby tylko publiczka miała co podziwiać. Tragiczna sprawa. Prawdziwy aktor nie widzi widowni, nie liczy się z nią, bez reszty oddaje się grze. A on? Cały czas myśli tylko, żeby się przed nimi pokazać, udowodnić, że jest jeszcze lepszy, jeszcze zdolniejszy, niż myślą. Zawsze brzydził go widok skacowanych facetów. Boże, jak tak człowiek w siebie się wsłucha, to okazuje się taki czysty i święty, że tylko po aureoli się głąskać. Oszaleć można. Ten prymitywny entuzjazm Pędziwiatра doprowadza człowieka do pasji. Co byśmy robili na bezludnej wyspie? Zjadali się nawzajem? Wspaniały dar cywilizacji: jedz bliźniego, choć najchętniej pożarłbyś sam siebie. Na surowo.

— No i po co się tak przejmować? Przecież wasz piesek to zwykły kundel. Daleko mi do eksperta, ale każ-

dy, kto ma oczy, może poświadczyć. Bękarci pomiot. Żal mi waszej forsy...

Naczelnego zatkało.

— Przestańcie się wygłupiać, Zahatny — zabrzmiało jak uderzenie młota w kowadło. — Nic w tym nie ma śmiesznego.

— Przecież ja nie dlatego. — Przypomniął sobie niedawną przysięgę, aby nigdy nie wdawać się w jałowe przepychanki, ale był to tylko krótki błysk, który rozplynął się bez śladu. — Ja dla zasady. Ktoś przecież musi wam powiedzieć prawdę. Nacięli was na sto rubli, a piesek złamanego grosza niewart...

Lekko, jakby od niechcienia, wsadzał naczelnemu jedną zatrutą szpilę za drugą; im bardziej markotna stawała się mina Pędziwiatra, tym większą miał frajdę. Czuł, jak po każdym celnym dowcipie w duszy topnieje lód. Zaczęło go ogarniać jakieś chorobliwe, wymykające się spod kontroli podniecenie, znów zachciało mu się papierosa, ale akurat teraz głupio było o niego prosić, rozeźlony prztyczkami Pędziwiatr schronił się w gabinecie, z furją zatrzaskując za sobą drzwi. Po chwili wyleciał, przemknął obok Zahatnego i Dziadźki — stropiony Dziadźko w milczeniu obserwował sprzeczkę swoich szefów — od progu zwrócił do Iwana poszarzałą twarz (co niby miało znaczyć: wcale nie mam zamiaru z wami rozmawiać, spieszę się, ale skoro już o tym mowa...):

— Skoro już o tym mowa, towarzyszu Zahatny, to przyjmijcie do wiadomości, że największe autorytety w rejonie zgodnie twierdzą, że mój Dzulbars to czystej krwi ogar...

— Jakoś nie obilo mi się to o uszy. Widać nie miałem szczęścia.

— Borysie Pawłowyczu — zaczął słodko Dziadźko — niech towarzysz Memłak autorytatywnie rozsądzi. W wojsku przez trzy lata miał pod opieką psy wartownicze, w teorii też jest obkuty. Słowo honoru, sam słyshałem, jak się przechwalał...

— Towarzysz Memłak nie jest tak naiwny, żeby świadczyć przeciwko psu naczelnego — niewinnie zauważył Iwan. — O mieszkanie się stara.

Pędziwiatr podszedł do Iwana:

— Co chcecie przez to powiedzieć?

Skrzypnęły drzwi, a w nich ukazała się na poły przepraszająco, na poły radośnie uśmiechnięta twarz Memłaka.

W miesięczniku „Poradnik Redaktora” prowincjonalnym piśmnom często wytyka się gazeciarską szampę. Do dziś prenumeruję „Poradnik”, uważnie czytam zalecenia, wypisuję sobie cytowane tam „kwiatuszki” i staram się ich unikać. Nie da się ukryć — nie zawsze mi się to udaje. Przez lata dziennikarskiej działalności niektóre zwroty tak się ze mną zrosły, że — mówiąc obrazowo — nawet za uszy ich nie wywleciesz. Dlatego przepraszam, jeśli napotkają państwo tu sporo tych plew. Nie pretenduję, jak niektórzy, do genialności, czasu też mam niewiele; piszę, bo lubię, z doskoku, gdy złapię wolną chwilę, no i, jak mówiłem, wieczorami człowiek nie ma co robić: prowincja, a liga piłkarska już zakończyła boje.

Tyle tytułem wstępu do dalszych rozważań. A teraz poważnie. Chcę jeszcze raz stanowczo odciąć się od Iwana, żeby przypadkiem mnie także nie pomówiono o właściwą mu nietolerancję (ale słowo!) wobec ludzi, a zwłaszcza wobec tych, którzy aktualnie zajmują wysokie stanowiska. Na przykład towarzysz Pędziwiatr wybrał karierę administracyjną (mówiąc między nami, dawno powinien to zrobić, dziennikarz z niego marniutki, ale sza...) i teraz rezyduje w okręgu. Dziadźko też w okręgu, w sekretariacie „Kołchozowej Prawdy”. Bracia Mołochwowie wykierowali się na księgowych w jakichś okręgowych spółdzielniach. Większość zatem moich bohaterów to ludzie dobrze ustawieni, ale wciąż podkreślam, że w niniejszym szkicu staram się patrzeć na wszystkich oczyma Iwana, nie własnymi.

Zahatny widząc człowieka pierwszy raz, z miejsca wyłapywał najbardziej rzucającą się w oczy cechę jego charakteru, oceniał i nigdy już nie zmieniał zdania. To właśnie powodowało swoisty brak obiektywizmu... Świat Iwana prawie nie miał półtonów, wszystko wyraźnie dzieliło się na czarne i białe. I niech mi tego nie pamięta, ale jakoś tak się składało, że większość ocenianych bynajmniej nie paradowała w białych szatach, wręcz odwrotnie. Zahatny miał prawdziwy talent wy-

najdywania w człowieku jego słabych miejsc, a później wykorzystywał to jak wirtuoz. Ot, choćby sprawa z Dziadźką.

Moja wina, że dotychczas nie opowiedziałem o nim dokładniej. Zabawny gość, trochę dziwak, jak my wszyscy zresztą. Przyjechał, załatwił formalności w redakcji, następnego dnia ciągnie mnie na podwórze: „Pogadać chciałem jak z przyjacielem”, oznajmia z powagą, nawet trochę uroczyście. Powtarzam, przed chwilą pierwszy raz zobaczył mnie na oczy, więc jacy tam z nas przyjaciele? No nic, siadamy na ławce pod morwą i tu się zaczyna: kłopot taki, zmartwienie siakie, a żona to, a żona owo... ze szczegółami... Wszystko zresztą sprowadzało się do jednego: „Ona nie rozumie moich ambicji...”

Słucham trochę zażenowany, bo co ja wtedy wiedziałem o życiu rodzinnym, mamrocę jakieś współczujące frazesy, w środku zaś puchnę z dumy, że starszy, dojrzały gość tak mi zaufał. Po kilku dniach stwierdzam, że w całej redakcji nie było człowieka, któremu by się Witalka nie zwierzył, jak przyjaciel przyjacielowi, ze swoich rodzinnych sekretów...

Oczywiście, można faceta znieńawidzić, skreślić go raz na zawsze. Ale w ten sposób człowiek nie miałby w końcu do kogo gęby otworzyć: każdy, jak dobrze poszukać, ma jakiś grzeszek na sumieniu. Cała cywilizacja w szybkich abugach by się rozleciała. W końcu ten sam Skoworoda, u którego Iwan tak chętnie szuka usprawiedliwienia swoich rozmaitych postępków, ten sam Skoworoda pisze: „Błędy przyjaciół trzeba naprawiać lub znosić, jeśli nie są poważne”.

Przejrzałem ostatni rozdziałik i pomyślałem: kogóż to przedstawiam swoim nieskażonym czytelnikom — bisurmana jakiegoś, wilkołaka, wyrodka? Zahatny wyrasta na taki czarny charakter, że aż nie do wiary, iż coś takiego może istnieć w naszym społeczeństwie. Biję się w piersi: odkąd sam próbuję pisać, zacząłem przeglądać artykuły krytyczne w miesięcznikach. Trzeba się przecież orientować, za co literatów ganią, choćby po to, żeby na manowce nie zejść. Ot, na przykład procentowy stosunek pozytywnych i negatywnych cech bohatera. Nie mogłem pojąć dokładnie, ile czego trzeba: jeden mówi to, drugi tamto, trzeci niby wyklada jasno,

ale chyłkiem za siebie zerka, jak główny księgowy w obawie przed kontrolą, a konkretnej wskazówki brak. Dawniej pisarzowi lżej było: jak już negatywny typ — to negatywny, jak pozytywny — to pozytywny. A teraz wszyscy kapryszą, grymaszą i do zgody dojść nie mogą. Oczywiście, rozumiem, pełna demokracja, ale miejcież sumienie, towarzysze gryziپیوری!

Pamiętam, jaki spór rozgorzał swego czasu o szerokość nogawek u spodni; dyskusja przebiegała znacznie spokojniej i jakoś w większym porządku, choć zdarzało się, że tu i ówdzie buchnął płomień namiętności. Jednak dość szybko zgodzono się na złoty środek — dwadzieścia cztery centymetry — i od tej pory już nie słyhać, żeby ktoś się o portki kłócił. A jakby tak na przykład zrobić fifty-fifty; pół bohatera w tonacji pozytywnej, pół w negatywnej — zdaje się, że teraz to najmodniejsze. Ale niech jutro moda się zmieni, niech inny wiatr powieje... Dobrze prawil dziadunio: siekierą lżej niż piórem. I bezpieczniej — dodam od siebie. Czuję, że z moim zamiłowaniem do ładu i porządku niełatwo mi będzie w pisarskim światku. Trudno. Ma rację ludowa mądrość: gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Teorią niech się zajmują uczone profesory, to nie na moją głowę, ja ledwie ten obrzydły uniwersytet wymęczyłem, a i to dla zaocznych.

Nie da się ukryć: Iwan miał także sporo pozytywnych cech. Bieda w tym, że nie świeciły one tak jasnym blaskiem, jak te negatywne. Faktycznie: nie wszystko złoto, co się świeci. Najcenniejsze było jego zawodowe mistrzostwo. Co tu gadać, to był dziennikarz całą gębą. Jak rejon długi i szeroki nie było takich i nie będzie. Faceci z taką głową ładują o wiele wyżej niż nasza Terechówka. Nie pamiętam, aby ślęczał kiedy nad kartką papieru: zawsze dyktował. W ciągu jednego przedpołudnia potrafił wymyślić artykuł wstępny, szkic i felieton, informacje zaś łuskał jak orzechy. Bywały dni, że dyktował prawie tysiąc wierszy i sam wypełniał wszystkie kolumny, mając do pomocy tylko korektorów; ten na urlopie, tamten na naradzie, naczelny, jak zwykle, lata gdzieś jako pełnomocnik. Warto także nadmienić, że w teren wyjeżdżał rzadko. Starczało mu kilka liczb, jakiś charakterystyczny szczegół, jeden, drugi biograficzny detal i już epopeja na pół kolumny gotowa.

Położy przed sobą pudełko zapalek i nawija, nawija, ledwie maszynistka może nadążyć, a wszystko z sensem i ładnie — zasłuchać się można. Były tam i konflikty, i uczucie, i marzenia, słowo daję, diabeł w niego wstępował czy co.

Przeszło rok cała gazeta egzystowała tylko dzięki niemu, bez przesady. Nie tylko napisze, ale i cudzy materiał sczyta, i makietę robi; niektóre numery naczelnego podpisywał do druku przejrzawszy tylko same nagłówki. Pędziwiatr do pięć mu nie dorastał. Zupełnie inna konstrukcja. Borys Pawłowycz zasiadł w fotelu naczelnego od razu po studiach, bo na uniwersytecie redagował jakieś studenckie pismo i w ogóle ogromnie udzielał się społecznie. Aktywność tryskała z niego jak gejzer. Co do mnie, to ucieszyłem się: wreszcie będziemy mieli naczelnego z prawdziwego zdarzenia. Z początku nawet żeśmy się zaprzyjaźnili: uczyłem go jeździć na motocyklu, w dobrej wierze wysłuchiwałem dalekosiężnych planów, jak to nasza gazeta będzie najlepsza w całym okręgu. Imponowało mi to, wszystkich za młodu roznosi ambicja. Pamiętam, zanim jeszcze Pędziwiatr do nas przyszedł, chyba w drugim tygodniu mojego redakcyjnego stażu, w lokalnym programie radiowym nadano przegląd czasopism terenowych. Do stało się tam naszemu organowi, że niby za mało uwagi poświęcamy rozwojowi kolektywnych form hodowli bydła. Tak mnie to zgniewało, że jeszcze tego samego dnia napisałem do rozgłośni pełne oburzenia pismo, w którym wyliczyłem wszystkie materiały z ostatniego półrocza poświęcone hodowli bydła. Ci z radia przekazali mój protest autorowi programu, okazało się, że autorem był instruktor z komitetu okręgowego. Instruktor łap za słuchawkę i dalejże opierniczać Pędziwiatra. Szef mnie wzywa, ja się gorączkuję, przecież, znaczy się, jawne oszczerstwo, trzeba się bronić. Szum się zrobił...

Borysowi Pawłowyczowi starczyło entuzjazmu mniej więcej na dwa miesiące, potem skonstatował, że w dziennikarskim fachu robota „na hurra” nic nie daje; trzeba tyrać systematycznie, z dnia na dzień, z godziny na godzinę, przez całe lata, i spuścić nos na kwintę. Bywało, kolegium trzeba zwołać, robotę na cały tydzień zaplanować, materiały zamówić, a naczelnego po całym

okręgu szukają: kochał być pełnomocnikiem, szum w kołchozach robić. Jeśli nie działa jako pełnomocnik, to na kaczki poluje albo na zające. Wkrótce i króliki zaczął hodować. A jak w końcu psa myśliwskiego sobie zafundował — oj, dolo, ty dolo, ujrzał człowiek Pędziwiatra w redakcji, to własnym oczom nie wierzył. Potem tak przywykliśmy radzić sobie bez niego, że nikomu nie przychodziło do głowy, że może być inaczej.

Wszyscy na tym cierpieli; na całą redakcję były tylko dwa motocykle, z tego jeden stale do dyspozycji Pędziwiatra; dobrze, że do toalety na nim nie jeździł. Prawdę mówiąc, nie było o co się dopadać: spory kawał rejonu leżał nad rzeką, często, w drodze na ryby, szef podrzucał reportera do wsi i wracając zabierał z powrotem. Wpadnie na podwórko przed redakcją, zakręci ostro wokół morwy, aż pasażerowi ciemno w oczach się robi, zajrzy do swojego pokoju, a potem lata po redakcji jak kot z pęcherzem, pokazując z dumą trzy karaski, wszyscy aż cmokają z zachwytu. Zupełnie jak dziecko, choć już trzydziestka na karku. Trudno nawet go winić: to kwestia dziedziczności. Oświeciło mnie, gdy w jakimś czasopiśmie poczytałem sobie o genach. W stolicy okręgu historyjek o Pawle Pawłowyczu Pędziwiatrze opowiadają na kopy. Samem słyszał. Pawło Pawłowycz to rodzony ojciec naszego szefa. Ludzie zaklinali się na wszystkie świętości, że to nie plotki ani anegdota, ale szczerą prawdą.

W ciągu długiego życia Pawło Pawłowycz z niejednego pieca chleb jadał: w okręgu nie było chyba kierowniczego fotela, w którym by nie królował. Typowy produkt nomenklatury według najlepszych minionych recept. Na oko — całkowite zaprzeczenie niepozornego syna. Wysoki, tęgi, z góry patrzący, czupryna srebrzysta, wąs zawieszisty, głos jak dzwon. Na wszystkich uroczystościach z udziałem kroniki filmowej błędnie w kadr trafiał. Malownicza postać.

Opowiem państwu taką jedną anegdotkę. Wygląda na dowcip, ale to szczerą prawdą. Było to w ostatnim okresie jego działalności; kierował wtedy gospodarką komunalną. Budowano nowe osiedle. Pierwsi lokatorzy dostali już klucze i zaczęli się wprowadzać. Dokoła pustynia: ani jednego drzewka. I nagle: komisja z Kijowa. Jakbyś kij w mrowisko wsadził. Pawło Pawło-

wycz postanowił nie tylko przed naczalstwem się pokazać, ale i miejscowym swoją operatywność zademonstrować. W jedną noc caluśka droga do nowego osiedla została wysadzona choinkami, wokół osiedlowego żłobka zazielenił się prawdziwy park. Komisja była ukontentowana: ale troska o człowieka! Właśnie nastąpiła na to moda. Wszystko byłoby cacy, ale pech chciał, że po wystawnym obiedzie w nowej stołówce któremuś z członków komisji zachciało się igłą z choinki w zębach podłubać. Skubnął — choinka się kładzie, pociągnął za gałązkę — całkiem z ziemi wyłazi. Luminarzom miny się wydłużyły. Otoczyli biedne drzewko, patrzą, a ono przy korzeniu ucięte. Pawło Pawłowycz nie stracił kontenansu. Schylił się i nabrał w garść czarnoziem: „Spójrzcie, towarzysze, jaka gleba. Samo złoto: czysta saletra amonowa. Drzewo nawet się nie ukorzenia, szkoda energii, bez korzeni żywotne soki wsysa...”

Mówiono, że potem już żadnych stanowisk nie piasł: sprawa narobiła hałasu u góry. Teraz jest na emeryturze. Wygłasza prelekcje w szkołach i w różnych przedsiębiorstwach: dzieli się wspomnieniami; pisano o tym w gazecie.

A może jeszcze coś w tym guście? Uwielbiam takie historyjki. Stop. Przecież nie piszę o Pawle Pawłowyczu, a anegdoty zaczynam opowiadać jak jego własny synalek. Gdzie Rzym, gdzie Krym. Koncentracja szwankuje, z logiką też nie najlepiej. Chcę pisać o Zahatnym, więc może już lepiej dokończyć o Pędziwiatrze.

Borys Pawłowycz też czasem zamieniał się w wulkan. Powody były przeważnie dwa. Pierwszy, to gdy naczalstwo dało mu dobrze po uszach. Co się wtedy wyprawiało! Nikt nie robił swojej roboty — wszyscy się reorganizowali. Pomysły sypały się z Borysa Pawłowycza jak groch z dziurawego worka. Wszystko trzeba zmienić, ulepszyć, jakby od tego, w którym pokoju będzie stało czyje biurko, nasza gazeta miała być mądrzejsza. W takich chwilach Iwan lubił deklamować znaną bajkę o złej tanecznicy, co to jej przeszkadzał rąbek u spódnicy. Ten jawny sceptycyzm doprowadzał Pędziwiatra do szału. Oczywiście Zahatnemu w to graj. I co to za przyjemność rozwścieczać bliźniego? Do dziś nie mogę tego pojąć. Zamęt trwał kilka dni, po czym powoli przychodził. Wszystko wracało na swoje miejsce, a Borys Paw-

łowycz jechał na ryby. Jedyłą pamiętką gorącego okresu były kolumny gazety pstrzące się od płomiennych apeli, nawoływań i haseł, przeważnie złożonych groteskiem i półfiretową spacją.

Jeszcze gwałtowniejszy wybuch następował, gdy Borysa Pawłowycza dopadało natchnienie; z motocykla przesiadał się wtedy na Pegaza. Zdarzało się to nieporównanie rzadziej niż opieprz od naczałstwa, ale w redakcji robiło się jakby nieco jaśniej i przestronniej. Zaczynało się to przeważnie tak: w środku zwykłego, roboczego dnia na redakcyjne podwórko wpadał nagle wyjący na najwyższych obrotach motocykl. Pędziwiatr w biegu ściągał rękawice, zdejmował gogle, ustępujących mu z drogi kolegów witał krótkim: „Cześć!” i zamykał się u siebie. Po godzinie z kalandra zdejmowano wszystkie terminowe materiały, sekretarka kursowała między gabinetem szefa a swoim pokojem i w pośpiechu wystukiwała coś na maszynie.

Pod wieczór, zadowolony, na luzie i szczęśliwy Pędziwiatr zjawiał się wśród nas. I wtedy dopiero się zaczynało. Dzwoniliśmy po wsiach, zwoływaliśmy w trybie pilnym zebranie kółka literackiego, wertowaliśmy listy od czytelników, szukając wierszy, poematów, nowel. Gazeta upodobniała się do almanachu literackiego. Dolne połówki trzech ostatnich kolumn wypełniały fragmenty kolejnej powieści Borysa Pędziwiatra. Tytuły zawsze były dźwięczne, piękne i wieloznaczne, z reguły kończyły się trzema kropkami i bardzo się podobały paniom w redakcji. Pamiętam trzy: „Zerwę dla ciebie szarotkę...”, „Przylaszczki kwitną na wiosnę...” i „Wiosenne przymrozki...” Nie było wypadku, żeby szef się powtórzył albo napisał dalszy ciąg tego samego utworu. Pomysły epopei rodziły się w niebywałym tempie i równie szybko ulegały zapomnieniu. Krótsze formy, nowele czy opowiadania, naczelny miał w głębokiej pogardzie.

Zarzewiem pierwszego konfliktu między Pędziwiatrem a Zahatnym stała się właśnie owa twórczość artystyczna. Jeszcze zanim Iwan do nas przyszedł, do tradycji należało wywieszanie kolejnych urywków powieściowych na tablicy z najlepszymi materiałami. Państwo rozumieją, nie każde terenowe pismo może się poszczycić taką rubryką: fragment prawdziwej powieści, w dodatku

miejscowego autora. Na jednym z kolegów, bezpośrednio po kolejnym ataku twórczej weny naczelnego, Dziadźko jak zwykle zaproponował, żeby wszystko wywiesić na czerwonej tablicy i podnieść stawkę. Siedziałem naprzeciw Iwana i widziałem, że po każdym słowie Dziadźki podskakiwał, jakby go kto szydłem kłuł. Ale jego replika brzmiała niezwykle spokojnie: „Wymieniony przez towarzysza Dziadźkę materiał nie ma nic wspólnego z prozą artystyczną, a do literatury mu tak samo daleko, jak naszemu pisemku do prawdziwej gazety. Dlatego bez względu na funkcję, jaką piastuje autor inkryminowanego materiału, naszym obowiązkiem jest powiedzieć mu prawdę. Proponuję zakwalifikować te kolumny jako buble...”

Dech nam zaparło. Babki ucichły, wężąc burzę. Mężczyźni sięgali po papierosy i pilnie wpatrywali się w okna, byle tylko nie spotkać się wzrokiem. Pędziwiatr, blady z natury, zbladł do reszty. Wybaczcie państwo wyświechtane porównanie: zbiegał jak ściana, pod którą siedział. Ale klasę pokazał: zmilczał, jakby to nie o niego chodziło, tylko w chłodnych zazwyczaj oczach błysnęły mściwe ogniki. Podwładnym nigdy nie wybacział najmniejszej krytyki. Głowę dam, że już kombinował jakiś rewanż, prędzej czy później okazja się trafi. Ale jak teraz zareagować na docinki Iwana? Wszyscy wiedzieli, że owe „fragmenty większej całości” funta kłaków niewarte. A język — same frazesy, jak gdyby autor przez całe życie pisał przemówienia dla naczelnika wydziału gospodarki komunalnej. Myślę, że grały tu rolę jakieś prawa dziedziczości, których nauka jeszcze nie zdążyła wyjaśnić. W końcu, co my naprawdę wiemy o genach.

„Proponuję głosowanie — z demonstracyjną oficjalnością powiedział Pędziwiatr. — Mamy dwie propozycje. Kto jest za tym, by fragment powieści Borysa Połtawskiego (jego literacki pseudonim) »Przyląszczki kwitną na wiosnę...« wywiesić na czerwonej tablicy i wypłacić podwyższone honorarium, proszę podnieść rękę”.

Wszyscy podnieśli ręce, oprócz Iwana i Pędziwiatra. Nie twierdzę, że sam byłem wtedy całkiem w porządku, ale by demonstrować swoje zasady, miałem jeszcze kupę czasu: najkrótszy staż pracy, wykształcenie żadne, na

uniwerku z trudem pierwszy rok zaliczyłem. Ani mi w głowie się podkładać. Miejcież choć trochę zrozumienia: ma się ten dom, żonę, dzieci, o pracę w Terechówce ciężko, gdzie będę szczęścia szukał? W końcu problem też raczej mikro, niech facet ma frajdę, ludzkości też obojętne, gdzie tę chałę powieszają...

„Kto jest za tym, żeby wyżej wymieniony utwór wywiesić na tablicy bubli, proszę podnieść rękę”.

Wolnym, zmęczonym ruchem podniósł dłoń Zahatny. Było jasne, że już po pierwszym głosowaniu cała sprawa zaczęła mu zwisać. Tępy wzrok utkwiał w okno; od tej pory na wszystkich kolegiach z lubością przybierał taką pozę: mechanicznie wykreślał makietę, notował propozycje, a potem smętnie gapił się w okno, jakby reszta w ogóle go nie dotyczyła. Mam w albumie fotografię zespołu redakcyjnego. Stoimy na ganku, wszystkie oczy, jak przystoi, utkwione w obiektyw, tylko Iwan patrzy gdzieś w bok, odwracając się od kolektywu. Spojrzenie ma chłodne, dumne.

No więc podniósł rękę Zahatny, a za nim — jak państwo myślą? Sam Borys Pawłowycz. Własnego dziecięcia się wyparł. Gęby nam się pootwierały. „Kto się wstrzymał? — pyta. — Nie widzę. Uważam, że fragment można jeszcze poprawić. Lew Nikołajewicz Tołstoj po dwadzieścia razy nie lenił się przepisywać, co dopiero my, grzeszni. Ale poddaję się woli większości. Więc postanowione: fragment wywiesić na tablicy najlepszych materiałów i wypłacić wyższe honorarium...”

Coś tu za dużo tekstu autorskiego: moja zaimprovizowana scena za długo stoi pusta. Ale chcę dokończyć o tych pozytywnych cechach Iwana.

Kiedyś w kwietniu... pamiętam, było pięknie, słonecznie. Jak co dzień, punktualnie z uderzeniem dziewiątej, zjawia się Zahatny. W rękę paczuszka. Na poszerzone kolegium zbierają się wszyscy pracownicy redakcji i drukarni; od czasu do czasu uprawiało się u nas takie wspólne ple-ple. Kolegium wyznaczone na dziesiątą, za trzy dziesiątą wstaje Iwan i zagaja uroczyście: „Pozwalam sobie pozdrowić nasze panie z okazji nadejścia wiosny. Nie kupione, osobiście zbierałem...” I wręcza każdej babce po dwie przeźroczyście, delikatne przyłaszczki. W pokoju zapachniało wiosną. Tylko on mógł zdobyć się na coś takiego. Chłopy pokpiwały sobie po-

tem: za kilkoma przylaszczkami cały wolny dzień zmar-
nował, łażąc po okolicznych lasach. Ale paniom bardzo
przypadło to do serca; przez kilka dni, aż do kolejnego
krótkiego snu, były wprost oczarowane swoim se-
kretarzem.

Nie wiem, czemu przyszło mi na myśl słowo „ubó-
stwiał”. Chciałem napisać: „Zahatny ubóstwiał przyro-
dę”. Ale to nie całkiem tak. Lepiej: „uczłowieczał przy-
rodę”. Przelewał na nią całą czułość i dobroć, której tak
skąpił ludziom. Z nabożeństwem pochylał się nad każ-
dym źdźbłem, każdym robaczkiem, dostrzegał tajemnicę
życia tam, gdzie myśmy już dawno przestali ją dostrze-
gać. Wybuchał, widząc, że ktoś bezmyślnie oskubuje
listki, gdyby mógł, chyba poćwiartowałby winowajcę.
Nawet komara nie zabijał, tylko leciutko zdmuchiwał.
Wlatujące do pokoju osy łowił i wynosił na dwór.
Dziwne, żadna nigdy go nie użądliła. Kiedyś zebrałem
się na odwagę i powiedziałem: „Iwaniu Kyryłowyczu,
czasem mam wrażenie, że bardziej współczuje pan zwie-
rzętom i roślinom niż ludziom...”

Zmieszał się i długo nie odpowiadał. Żałowałem już,
że wyskoczyłem jak Filip z konopi; teraz skończą się
pewnie jego wieczorne zwierzenia. Po chwili uśmiechnął
się niewesoło: „Zwierzęta i rośliny są niewinne, nie są
zdolne do autoanalizy. Zupełnie jak dzieci. A dorosły
ma świadomość tego, co robi...”

.. Więcej do tego nie wracaliśmy.

Całkiem jak w kiepskich sztukach: nocna sceneria, efektowne wejście bohatera. Na widok nowej ofiary Zahatny uśmiechnął się z zadowoleniem:

— No, co tam w domu, towarzyszu Memłak?

Andrij Sydorycz z radosnym, trochę zażenowanym uśmiechem uściśnął wyciągające się ku niemu dłonie, po czym bezradnie opuścił rękę ze zwitkiem zapisanego papieru. Tkwił przed nami jak rozebrany do rosołu poborowy przed komisją lekarską: chuda glista z długim nosem i malutkimi, głęboko osadzonymi oczyma. Uśmiechał się miło, wyraźnie w stronę Zahatnego, ale bardziej ufnie i przyjaźnie niż tamten.

— Wszystko w porządku, tylko pech chciał, że chłopaki brata rękopisem mojej powieści chatę ogaciły. Zapłakać się można.

— O, święta naiwności prostaczków — Iwan zerknął na Pędziwiatra i Dziadzkę. — Zatem literatura ukraińska w żałobie...

— Proszę? — nie chwycił pochłonięty swoimi sprawami Memłak.

— Znaczy się, ukraińskie piśmiennictwo kirem spowite.

— A... — wymamrotał Andrij, do którego dotarło wreszcie, że sobie z niego dworują. Spojrzał pokornie na Zahatnego, jakby prosząc o przebaczenie, że stał się obiektem niewybrednej złośliwości. (Zechcą państwo wybaczyć, że przerywam dialog, ale w takich chwilach prawie nienawidziłem Memłaka. Jego wszechogarniająca, wszystko wybacząca dobrotliwość przyprawiała mnie o mdłości. Pluńże mu w pysk, pluń i zabieraj się stąd do szkolnych zeszytów w kratkę, do wymarzonych

wieczorów w rodzinnym gronie...) — Przyniosłem reportaż — powiedział zwracając się do Pędziwiatra. — Przepraszam, że tak późno, ale zanim się człowiek po podróży rozpakuje...

— Jaki reportaż? — podniósł brwi Borys Pawłowycz.

— O brygadziście, z Piszczanego...

— Planowaliśmy coś takiego? — rzucił w przestrzeń naczelny, nie chcąc zwracać się wprost do Zahatnego. Ale odpowiedzi się nie doczekał. — Jutro się rozejrzemy, tymczasem dajcie sekretarzowi. Mamy tu do was pytanie, towarzyszu Memłak. Jesteście znanym specjalistą. (Też niezły typ: niby nienawidzi Zahatnego, a jak przyjdzie co do czego, choćby z tym nieszczęsnym Andrijem, tańczy, jak sekretarz zagra. Przepraszam...)

— Słucham — Memłak przysiadł boczkciem na krześle. Twarz miał skupioną, wzrok uważny. Naprawdę chciał przydać się szefowi! Reportaż uwierał i parzył dłonie, w piersi rósł nieprzyjemny ciężar: zawsze tylko zawraca głowę, ludzie są zmęczeni, co ich obchodzi pisanina jakiegoś tam Memłaka, a on tu leciał jak głupi...

— Widzieliście mego Dżulbarsa?

— Oczywiście.

— Wynikł pewien pryncypialny spór. Niektórzy, nie będziemy wymieniać nazwisk, nie chcą przyznać, że to czysta rasa. Jesteście ostatnią instancją.

Ilekoć przychodziło podjąć natychmiastową decyzję, Andrij Sydorycz tracił głowę. Zawsze musiał mieć czas do zastanowienia. I ten rozkazujący ton naczelnego — w głowie się kićka. Z niedowierzaniem spojrzął na pełne napięcia twarze obecnych: może to kolejny pomysł Iwana Kyryłowycza? Co się dziwić, taki talent! Duszno mu tu, w powiecie, ciasno, to i żarty się go trzymają.

— Z myśliwskimi niewiele miałem do czynienia. Ale jestem w posiadaniu odpowiedniej literatury. Jutro rano zajrzę, przypomnę sobie. W wojsku były same owczarki, dwa lata się nimi opiekowałem i tak żeśmy do siebie przywykli, ja do nich, a one do mnie, że dowódca chciał mnie zostawić w jednostce, ale ja wolałem iść na nauczyciela...

Zdawał sobie sprawę, że plecie bzdury, ale pytlował jak najęty, niech się choć pośmieją; szef patrzy jakoś

tak wyczekująco, przykro zawieść czyjąś nadzieję. Czuł, że dopóki gada, wszystko jest jakby w stanie nieważkości, jest spokojne, bezpieczne. Zaciągając się papierosami, spoglądali na niego: Iwan obojętnie, jakby patrzył przez szklaną taflę, Borys Pawłowycz z rozczarowaniem. Dziadźko, jak zwykle, przyjaźnie uśmiechał się do wszystkich.

Nagle Zahatny wstał i wyszedł do sekretariatu; poczuł się zmęczony tym codziennym kieratem, zapragnął czegoś wielkiego i prawdziwego. Na czym to stał? jakaś okręgowa instytucja, samotna postać blakająca się po pustych pokojach, głębia rozpaczy genialnego samotnika, który wśród tłumu miernoty czuje się jak na pustyni, i nagle, jak błysk, wczorajsze słowa Hużwy: „Iwanie Kyryłyczu (wymyślić inne imię), do domu towarowego jakąś nową przyjęli. Nawet ładniutka. Czyścioszek. Warkocz długi, a te oczyska... jakby trochę zdziwione”, coś wspaniałego; że też ktoś ma jeszcze siłę i ochotę dziwić się światu, „troszkę zdziwione”, coś wspaniałego, w tej dziurze wszyscy już dawno odczyli się dziwić, tak rzadko zjawia się ktoś nowy, zwłaszcza dziewczyna, właśnie: dziewczyna, z którą można zamienić parę słów, przed którą możesz otworzyć duszę, bo ona cię zrozumie, raczej — odczuje, czasem odczuć trudniej, niż zrozumieć, mało kto to potrafi, faktycznie wspaniałe, że ona jest zdolna do głębokich i subtelnych odczuć, od dawna śnił o takiej dziewczynie, marzył o niej przez całe życie, w dodatku przepada za dziewczętami o długich warkoczach i z dużymi oczyma, człowiek czasem nie wie, co mu los ześle za chwilę, chociaż coś mu w środku mówiło, oczywiście podświadomość, jak tylko usłyszał o tej nowej z domu towarowego, poczuł się tak, jakby ktoś żarem na niego sypnął, to sprawa jakiejś wewnętrznej dyspozycji, ale wrócić do właściwego tematu, nie rozpraszać się, w końcu przecież to nie autobiografia, choć każdy terechowianin musi rozpoznać siebie w tej magmie, otóż ten samotnik (czasem nawet ten okropny przechodni pokój staje się oazą ciszy; arka Noego w oceanie nieważnych drobiazków, żeby tak jeszcze korektorów wysiedlić: zbrzydła mu ta pulchna Wenus z vis-à-vis, na którą musiał gapić się dzień w dzień; skupić się, skupić), więc ten samotnik, w którym żyje dojmująca potrzeba nowych twarzy,

świeżego powietrza, zjednoczenia i wzajemnego porozumienia się ze światem, a tu, w tej Terechówce (telefon, zawsze jak tylko człowiek się skupi — telefon; to na pewno ona, jeszcze nigdy nie zawiodła go intuicja, ależ parno, Ula zauważy, że jego głos jest jakiś zmieniony, jutro cała Terechówka będzie bębniła tylko o jednym: rozmawiali przez telefon, jak Bożię kocham, była prawie północ, umawiali się na randkę, aha, przecież ona miała dyżur w komitecie, przez całą noc, kapujecie? A jemu głos od razu się zmienił, jak temu słowikowi, jak Bożię kocham...)

— Ulu, odbierzcie.

— Hallooo, tu redakcyjna warta pracy, to ty, Lu-deczko? Pewnie do rana posiedzimy, dla nas to nie nowina, nawet wesoło, e, nie, gdzieś za godzinę, a co, jeździłaś, naprawdę? U nas jest tylko satyna, przydałoby się coś na jesień, tu każdy fason zepsują...

Chce wiedzieć, czy nie poszedłem do domu, omijając komitet. Boi się, że nie przyjdę, że się przestraszę albo rozmyślę. Mówić jasno i otwarcie. Wielkie uczucie wymaga wielkich słów. Nie dać się pomniejszyć otaczającym drobiazgom. Na dodatek jeszcze Memłaka przyniosło. Doprawdy nie wiadomo, śmiać się, czy płakać z litości nad ludzką głupotą, przecież Memłak w końcu też człowiek, tu mimochodem: Memłak równa się człowiek, sylogizm, ubóstwo wewnętrzne równa się zewnętrznemu, i jeszcze to nazwisko... Nawet żałować go nie można. Zresztą z jakiej racji. Litość budzi ktoś, kto żąda mniej, niż potrafi zdobyć. A Memłak powieści pisze. Też chce być nieśmiertelny. Czysta komedia: miernota i nieśmiertelność. A może to materiał na tragedię? ...a tu, w tej Terechówce, facet do faceta podobny, siedzą tu chyba od Adama i Ewy, twarze jak spod sztancy, przeciętne, o martwych, pustych oczach, fizjonomie jak nagłówki w okręgowej gazecie, gęby jak nekrologi albo programy telewizyjne, oblicza jak witryny terechowskich sklepików, puste i popstrzone przez muchy, twarze jak miejskie parki pełne martwych gipsowych postaci, pyski jak jadłospisy w barze czy restauracji, mordy jak nazwy ulic i placów, zmieniają się tylko numery porządkowe, wśród tej taśmowej produkcji każde oko, w którym błyska iskierka życia, urasta do jakiegoś zjawiska nie z tej ziemi, podkreślić: prawdziwa trage-

dia Terechówki polega na braku indywidualności, ale sformułować to inaczej; od tego momentu wszystkie myśli samotnika krążą wokół tej nowej, która zjawiała się w domu towarowym, pewnie ekspedientka, a może stażystka na praktyce, Huźwa nie mówił, a Zahatnemu niezręcznie było wypytywać, gotowi pomyśleć, że interesują go dziewczęta, chociaż Zahatny z powieści oczywiście nie ma nic wspólnego z nim, w powieści jest tylko silna indywidualność, bohater, który przerasta wszystkich dokoła i dlatego jest samotny, samotny jak władca, władca jest zawsze osamotniony; opuszcza redakcję i kroczy po rozpalonym bruku głównej ulicy, oszołomiony przeczuciem CZŁOWIEKA, ale nie pędzi prosto do domu towarowego, opóźnia chwilę radości, chce nacieszyć się myślą o kimś, kto jeszcze umie się dziwić, dziewczyna ożywa w jego wyobraźni, na razie to wystarczy, wyobraża sobie nie tylko ją, wyobraża sobie, jak się spotykają, to spotkanie zakochanych od urodzenia ma w sobie coś mistycznego („Znam cię”, powie on, „i ja ciebie znam”, powie ona, i ani jedno, ani drugie nie będzie tym wcale zdziwione, tak przecież być musiało), a potem długie wspólne życie, zakończone dalekimi jak horyzont słowami: „i w tym samym momencie serca ich przestały bić na zawsze”; szczęście, którego nadejście przeczuwał, było tak wielkie, że chwilami miał ochotę rozplakać się, znikło gdzieś zwykle opanowanie, gestykulował, uśmiechał się do siebie, ale to nie przestało jasności spojrzenia, widział Terechówkę taką, jaka była w rzeczywistości: duszące bagnisko, porośnięte kępami karłowatych domów, których dachy nie sięgają mu nawet do kolan, kroczy przez terechowski rynek niczym Guliwer przez kraj Liliputów; słońce praży nietościwie, rozpalone niebo przygniata ramiona, widok budki, gdzie sprzedaje się lemoniadę miejscowej produkcji, przypomina mu, że zdycha z pragnienia, wsuwa w okienko pieniądze, otrzymuje lepką butelkę, zatkaną czarnym gumowym korkiem, ulepek jest ciepły i także podjeżdża stęchlizną,omal go nie zemdlilo, ostatkiem sił wsuwa z powrotem flaszkę w okienko i spluwa, ale obrzydliwy smak nie ustępuje: smak letniej stęchłej wody i jakiejś dziwnej metalicznej słodyczy, jakby napój robiono z zardzewiałego złomu, z trudem kieruje się w stronę parku, dom towarowy jest otwarty do siódmej,

wystarczy być tam o wpół do siódmej, mija gipsowe postacie z patetycznie wzniesionymi rękami, zagłębia się w gęstwinę porastającą brzegi mulistej rzeczki, tu jest chłodniej, znów zaczyna rozmyślać o swojej dziewczynie, już nazywa ją swoją, kocha ją, no, prawie kocha, czuje się lekki i spokojny, bo przecież ona istnieje, jest gdzieś całkiem blisko, wystarczy przejść dwieście metrów... poczucie, że nie jest sam na dobrowolnym zesłaniu, że w tym tłumie jest ich już dwoje, dodaje mu siłę, ma ochotę znaleźć się wśród ludzi, by na oczach wszystkich jeszcze raz ukazać siebie (przeanalizować dokładniej, nie zapomnieć: podczas gdy on siedząc nad rzeką, rozmyśla o niej, w parku rozpoczynają się zwykłe niedzielne imprezy kulturalno-rozrywkowe dla ludzi pracy, dolatują stamtąd wybuchy śmiechu, okrzyki; opisać tanie, hałaśliwe namiętności gawiedzi, cała dalsza akcja ma w tle ten rozgardiasz, wirujący tłum; nie zapomnieć: on się nie spieszy, nie chce się rozczarować, w głębi duszy tkwi podświadomy lęk przed rozczarowaniem), wstaje i idzie w kierunku hałaśliwej gromady, jeszcze tylko pięć godzin, można podrażnić się trochę z tą miernotą, te ich zabawy na poziomie dzikusów, ale teraz on nie rejteruje, przecież ma ją; polana, kłębowisko terechowian, między dwoma drzewami sznur, ze sznura na długich nitkach zwisają owinięte w papier nagrody, właśnie trwa konkurs zręczności: kolejny ochotnik z oczami przewiazanymi chustką usiłuje przeciąć nitkę, nożyczki ze szczękiem tną powietrze, nawet w tej banalnej loteryjce miernota wypada nędznie, też mi sztuka: przejść prosto kilka kroków i pościnać to barachło jak leci, ciekawe, jaka byłaby reakcja facetów wystrychniętych na dudka przez samotnego indywidualistę, jak zareagowałby tłum nagle pozbawiony rozrywki i nadziei, pozostawiony z pustymi rękami, warto by spróbować, na pewno będą szaleć, umierać z żalu za fantami, które im przeszły koło nosa, wtedy on z uśmiechem rzuci im pod nogi te nędzne puszki, grzebyki, lusterka, wtedy im pokaże...

Zerwał się, otworzył drzwi na oścież:

— Proponuję symultanke na trzech szachownicach! Zgoda?

— Przegracie choć jedną, wszystkim stawiacie piwo — rzucił Dziadźko.

— Lepsza amerykanka! Wygrywający żąda, czego chce — zawołał Pędziwiatr.

— Idę na każde warunki.

Wszystko jedno. Byle tylko grać, sprawdzić siłę swego intelektu, udowodnić tej miernocie swoją przewagę. Złapał szachownicę.

— Ja już muszę do domu — nieśmiało odezwał się Andrij Sydorowycz. Znow czuł się winny. — Zresztą ledwie figury odróżniam...

— Co to za dziennikarz, co w szachy nie gra — przerwał mu Iwan, zasłaniając sobą drzwi. — W każdej redakcji was wyśmieją. Wielcy dziennikarze najpierw uczyli się grać, a potem dopiero brali się za pisanie...

Aż spociał się na myśl, że Memłak może się uprzeć, pójść do domu i wszystko się rozleci, a on znow zostanie sam na sam ze swoją powieścią i znow nikomu nic nie udowodni.

— Trzeba popierać kolektyw, towarzyszu Memłak, nieładnie się wyłamywać — autorytatywnie przemówił Pędziwiatr. Jego namiętna natura myśliwego też zaczynała się burzyć i fermentować.

Memłak usiadł.

— Uprzedzam, gram wyłącznie białymi. — Iwan zamknął radio, niech wszystko odbywa się w uroczystej ciszy. — Spójrzcie na zegarek: za dziesięć minut będzie po p t o k a c h.

Pędziwiatr nachmurzył się i skoncentrował. Teraz wyciągnie wnioski z dawnych błędów, nareszcie pokaże temu natrętnemu zadufkowi. Dziadźko melancholijnie równał dwuszereg pionków i figur. Przez twarz Memłaka przebiegł cień odpowiedzialności: grę traktował jak polecenie naczelnego. Iwan tupnął, podskoczył i rozczapierzoną dłonią przesłonił żarówkę. Po ścianach bezszelestnie przemknęły pierzaste skrzydła. Rytualny gest wyrażający radość życia, siłę i nadzieję. To nic, że dziś już nic nie napisze. Za to jutro... Jutro będzie jego wielki dzień. Dotychczas tylko bawił się w literaturę. Prawdziwa twórczość dopiero się zaczyna!

— Wasz ruch! — wojowniczo pchnął środkowego piona w stronę milczących szeregów czarnych. Riposta Dziadźki i Pędziwiatra była błyskawiczna. Memłak wsparł się piersią o stół i popadł w zadumę.

— Prawdziwi czempioni najdłużej myślą nad pierw-

szym posunięciem — ironicznie zaśmiał się Iwan. Memłak nawet nie drgnął, jakby nie dosłyszał. Na pierwszej i drugiej szachownicy szalała już krwawa bitwa, a on ciągle jeszcze wypracowywał rozsadę. Nawet w drobiazgach, nawet w niewinnej grze od razu ujawnia się przeciętność, tchórzliwa niska przeciętność — myślał Iwan, poświęcając figurę za pionka, byle tylko pozbawić czarne szansy wykonania rozsady.

— Szach!

Jedną rękę trzymał w kieszeni, drugą, w której tkwiła figura, kreślił nad szachownicami koła, napawając się swoją przewagą. Zrobiwszy ruch, stąpał lekko wzdłuż stołów, bawił się zapałkami, przerzucał zszywki gazet. Żałował, że nie ma pod ręką książki, niechby Pędziwiatra do reszty krew zalała, niechby Dziadźko i Memłak podziwiali jego błyskawiczne decyzje. Lubił tę grę. W zawodówce, a potem w wojsku, był to jedyny sposób autorealizacji, przeciwstawienia się sztampie wszelkich regulaminów.

— Szach! — w partii z Memłakiem znów poświęcił konia, by tylko pozbawić czarnego króla osłony, otworzyć drogę do ataku, łamać, gromić, rozwalać, kruszyć...

— Szach!

Partie z Dziadźką i Pędziwiatrem szczęśliwie zbliżały się do końca. Czarne goniły resztkami tchu. Pierwszy podniósł ręce do góry Dziadźko. Pędziwiatr jeszcze się rzucał, lecz były to ostatnie podrygi konającej ostrygi. Wreszcie i on burknął ze złością: „Poddaję się!”, i pobiegł do swojego pokoju. Memłak wycofał króla za osłonę pionów, Zahatny nie miał już czym szachować. Pospiesznie zaczął rozwijać lewą flankę. Memłak znów popadł w zadumę, obejmując rękami podłużną, klinowatą głowę.

— Zupełnie jakbyście o majątek grali — nerwowo rzucił Zahatny. — Tak czy owak sprawa jest przesądzona już od trzeciego posunięcia. Czempioni nawet nie kończą takich partii, poddają się w porę...

Mrugnął do Dziadźki: popatrz, atak psychologiczny... Paplał jak najęty, tokował, gadał patrząc bezradnie, jak czarne ostrożnie, ale z zabójczą konsekwencją zaciskają pętlę na wysuniętych pozycjach białych. Niemal z nienawiścią śledził chude, powykręcane przez reuma-

tyzm palce Memłaka i odwracał wzrok, gdy tamten pochylał się nad szachownicą, by przesunąć do przodu jeszcze jedną figurę.

— Ta-a-a-k, Kyryłyczu... — ze zjadliwym współczuciem zaciągnął Pędziwiatr. Przebolał już porażkę i wrócił do pokoju. Kruki zawsze zlatują się czując padlinę. Białe rzucały się po całej szachownicy, ale czarny król był w bezpiecznej kryjówce. W szeregi białych zaczął wkradać się popłoch. Ten Memłak chyba zupełnie nie ma nerwów. W jego, Iwana, grze zawsze jest element ryzyka, polot, charakterystyczny dla natur twórczych. Poświęcił dwie figury, by za jednym uderzeniem załatwić sprawę (o, słodkie poczucie intelektualnej przewagi nad przeciwnikiem), ale uderzenie nie nastąpiło, teraz ten tępy przeciętniak zadusi go jak kota, z każdym wolałby przegrać, tylko nie z nim, jeszcze dwa posunięcia i białe dostaną mata, teraz tylko nie wypaść jak bezbronny baran, co nieprzytomnie wrywa się spod noża, ale mimo wszystko trafia na ołtarz ofiarny, nie rzucać się, to poniżające. Jednym ruchem zmiotł figury z szachownicy:

— Poddaję się. Przypadek.

— Oczywiście — pośpiesznie zgodził się Memłak. — Ja...

Iwan kopniakiem otworzył drzwi. „Idziesz po piwo?” — spytał Dziadźko. Chciwie wciągnął powietrze. Zaraz przyniosą rozkładówkę. Niech to diabli... Tak haniebnie przegrał tylko raz, jeszcze w wojsku. Musiał na brzuchu przeczołgać się pod rzędem prycz tam i z powrotem. Prycze były niskie, sunął z nosem przy samej podłodze, wdychając kurz, a ta hałaśliwa banda wrzeszczała radośnie, podcinając jak batem ironicznymi kpinami... Najdłuższa droga jego życia... Wtedy, tak samo jak dziś, chciał tylko umrzeć...

Pozwoliłem sobie odstąpić nieco od dokumentalnej ścisłości i teraz robię sobie wyrzuty. Chodzi mi o tę ostatnią historię z wojska. Sam fakt nie ulega wątpliwości. Kilka lat temu potwierdził mi to znajomy prawnik, który przez jakiś czas służył w tej samej jednostce, co Iwan.

Przegrawszy z Memłakiem Iwan zerwał się jak oparzony i wyleciał na ganek. O czym wtedy myślał? Czy

choć przez chwilę stanęło mu przed oczyma tamto żałosne wydarzenie? Ciężko zgadnąć. Staram się jednak rozumować logicznie. Przez całe życie Iwan tylko trzy razy zaznał gorzkiego smaku klęski. Przegrana przed chwilą partia to była klęska. Nowa porażka najczęściej przywodzi na myśl poprzednią. Czyż nie? Lubimy litować się nad sobą. Dopiero później zaczynamy pocieszać się niegdysiejszymi sukcesami. Z dużym prawdopodobieństwem można więc założyć, że Iwanowi przypominała się scena w koszarach. Jeśli nie mam racji, cały poprzedni rozdział jest fałszywy, bo nie odpowiada rzeczywistości. A tyle się teraz pisze o związkach literatury z życiem, że wstyd własnoręcznie popełnić taką nieścisłość.

Spróbuję na podstawie relacji prawnika szerzej opisać tamtą historię. W jednostce Iwana służył honorny chłopaczek, Ormiaszka. W swoim klubie był członkiem sekcji szachowej i uważał się prawie za mistrza sił zbrojnych. Wyobrażam sobie, jak to drażniło Zahatnego. Już wtedy reagował chorobliwie, jeśli ktokolwiek, poza nim, próbował wybijać się ponad „szarą masę miernoty” (jego własne słowa). Zaproponował Ormiaszce mecz: partia, rewanż i trzecia decydująca. Południowy temperament zagrał, zakład stanął. Iwan zaproponował: przegrywający czołga się tam i z powrotem pod pryzmami przez całą salę. Proszę wziąć pod uwagę wrodzoną honorność Ormiaszki, a wyczują państwo jezuicką obłudę niewinnej na pozór propozycji.

Na turniej stawiała się cała kompania. Zahatny przegrał pierwszą i drugą partię. Trzeciej nawet nie zaczęli. Biedny Iwan padł na kolana i zaczął się czołgać, ścigany uszczypliwymi docinkami żołnierzy, uradowanych nieoczekiwaną rozrywką. Prawnik wspominał jeszcze o długachnym korytarzu, który Zahatny musiał przebyć po egzekucji wychodząc do miasta. Nie wiem czemu, ale zapamiętał ten korytarz, samotną postać Iwana i głośny rechot rozbawionych kumpli. Jasne, ja też bym się śmiał: wykopać pod kimś taki elegancki dołek i samemu w nim wylądować...

W swoich wieczornych zwierzeniach Zahatny nigdy nie wracał do wspomnień z wojska. W dzienniczku Ludy jest tylko jedno zdanie na ten temat: „Dopiero włożywszy mundur zrozumiałem — powiedział — jak

łatwo jest zginąć w masie i jakie to okropne...” Kiedy znalazł się wśród tysięcy takich jak on, poznał całą nędzę jakiegokolwiek skierowanej na zewnątrz autokreacji. Przynajmniej tak to sobie wyobrażam. Jeśli tylko strój wyróżnia człowieka z tłumu, jego przewaga jest bardzo iluzoryczna. Muszą więc istnieć inne walory, bardziej stabilne, prawdziwsze. Taką wartością są chyba tylko zalety ducha. Tych nie odbierze człowiekowi żaden życiowy pech. Może to właśnie było źródłem nieustannych duchowych niepokojów Iwana? Wiem tylko, że w wojsku zaczął na serio myśleć o nauce i ukończył wieczorową szkołę średnią.

Wczoraj byli u nas goście: oblewaliśmy motocykl. Odkupiłem go od starszego Mołochwy; pracował u nas jako księgowy, potem przeniósł się do miasta. Motor nienowyy, ale pieniądze też niewielkie. Parę lat powinien jeszcze chodzić, potem się zobaczy, może, tak jak Mołochwa, na Zaporozca się szarpnę. Mam więc teraz własne dwa kółka, szkoda tylko, że zima za pasem, ale przecież po każdej zimie nadchodzi wiosna. Na razie postawię na kółki, żadna przyjemność hasać w mróz na motorze. Człowiek ani się obejrzy i już korzonki złapie.

Wypiliśmy co nieco, na telewizję się popatrzyło. A potem puściłem rodzinną kronikę: od drugiego miesiąca życia córkię amatorską kamerą filmuję. Wiem, że to niezbyt humanitarnie częstować gości czymś takim, to jeszcze gorsze niż oglądanie rodzinnych albumów. Trudno, proszę o wyrozumiałość, sam w takich sytuacjach cierpliwie odwracam kartkę za kartką: gospodarz na plaży, gospodarz na weselu, gospodarz w pochodzie... Czemu pozbawiać ludzi czegoś, co im sprawia przyjemność? Człowiek nie zwierzę — wszystko przetrzyma.

Oto nasze słoneczko: tu ma dwa miesiące, tu trzy, cztery, tutaj roczek i tak aż do dzisiaj. Moja Hałyna rozkwita w oczach, ja siedzę dumny jak paw. Mówcie, co chcecie, dzieci to najważniejsze dzieło naszego życia. W żadną powieść ani symfonię człowiek nie wkłada tyle serca, co we własne dziecko. Rozmaite dziwaki mordują się nad rękopisami, wymachują pędzlem, zaprzędają diabłu duszę za kakofonię dźwięków (czytałem niedawno taką powieść), sięgają po nieśmiertelność, jak wygłodniałe niemowlę po matczyney cycek, a ona, ta nieśmiertelność, sama w ręce się pcha. Matka natura

dobrze obmyśliła; wobec niej wszyscy są równi: wielcy i mali, geniusze i miernoty, przywódcy i masy; wszyscy są równie śmiertelni jak nieśmiertelni i każdy jest twórcą. Czasem, jak się tak rozejrzeć dokoła, podumać, to się człowiekowi gęba otwiera, jak ten świat mądrze urządzony.

Filmowa wersja córki spodobała się gościom. Głosik prawie od urodzenia na magnetofonie utrwaliałem. Wystarczyło zmontować, zsynchronizować z filmem, bardzo ładnie wyszło. Po seansie goście dopili, co jeszcze zostało, i poszli. Odprowadziłem ich kawałek. Wiatr odmienił się na północny, o szyby szeleściła kasza, zwiastun śniegu. Taka późnojesienna niespokojność, aż dusza marznie. Nie wiadomo czemu, ogarnia człowieka poczucie przejmującej samotności i jakiejś bezkresnej pustki. Zamknąłem furtkę na haczyk, sprawdziłem kłódkę przy szopie, zatrzasnąłem drzwi od sionki i wszedłem do pokoju. W kuchni było już ciemno, teściowa spała. Hałyna słała w sypialni, co i raz poruszając kołyskę: małą zbudziły głośne pożegnania gości. Zgasilem górne światło i zapaliłem stojącą lampkę. Łagodny półmrok spowił pokój, ciepły krąg padający na biurko zdawał się życzliwie zapraszać do towarzystwa. Lubię zaciszne wnętrza. I mam niezły gust. Kiedyś, pamiętam, podkusiło mnie założyć w stołowym jarzeniówce, po tygodniu wyrzuciłem: światło martwe, zimne, jakby przeciąg po pokoju hulał. Hałyna czasem aż fuknie: pieniądze, mówi, marnujesz. A co, w pończochę mam chować? Ja nie z tych, co po kilka książeczek oszczędnościowych w bieliźniarce hoduują albo wszystko na pokaz robią, a sami zaciskają pasa, że tylko nowych dziurek przybywa. Nie nos dla tabakiery, ale tabakiera dla nosa. Podjeść smacznie także lubię, nie da się ukryć. W końcu jest za co, forsy nam nie brakuje. Na bazarze prawie nic nie kupujemy, wszystko swoje: i mleko, i jarzyny, świeże mięsko każdej jesieni w szopie chruńka. Takie już osobliwe to nasze życie, w pół drogi między wsią a miastem.

Ale niech dokończę o zacisznych wnętrzach. Chyba bardziej niż inni odczuwam zimną nieskończoność świata, przepraszam za te „uczoności”, akurat wczoraj wyczytałem to w artykule jakiegoś młodego intelektualisty. A raczej — boję się otwartej przestrzeni. Od dziecka pociągało mnie ciepło, spokój, szczelne osłony ścian.

Stąd pewnie zamiłowanie do zacisznych wnętrz. Opowiedzieć państwu ukochaną bajkę mojego dzieciństwa? Do dziś ją pamiętam.

Od złego gospodarza uciekły: wół, krowa, baran i kogut. Przez lato pasły się w lesie, przyszły chłody — zbudowały chatkę. Teraz proszę sobie wyobrazić: tonący w śniegu las, zamieć, drzewa skrzypią, wilki w zaspach toną, słowem chłodno, głodno i do domu daleko. A tu z komina unosi się wonny dymek. W piecu trzeszczą drwa, skwierczy patelnia: krowa naleśniki smaży, wół mak trze w makutrze, baran ziemniaki obiera, a kogut na grzędzie siedzi i całe bractwo kukurykaniem rozwesela. Wnętrze chatki tonie w czerwonym ciepłym blasku... Idylla.

Już widzę triumfujące miny pismaków, w betonowych opłótkach cywilizacji zrywają się naszczekiwanie: huzia na Józia, mieszczuch, łapaj, trzymaj! A ja ani uciekam, ani kryć się zamierzam. Zgoda, mieszczuch ze mnie. A wy to co? A jak jutro wygodniej okaże się mnie chwalić, moje obywatelskie cnoty pod niebiosa wynosić, toż wy każdy mój paluszek barwnym słowem obliżecie! A co z wami, miłośnicy prawdy, obrońcy szczęśliwego życia na ziemi? Kłaniam się, sługa uniżony. Oceany krwi nie wsiąkałyby bezpłodnie w tę ziemię, gdybyście zamiast troszczyć się o wszystkich, zadbali bardziej o siebie. Genialnie proste: każdy myśli o sobie i wszyscy są szczęśliwi. Nierealne? A jednak stoi przed wami człowiek szczęśliwy! Szczęśliwy, słyszycie, i nic mi do szczęścia nie brakuje!

Od dawna zastanawiam się nad swoim miejscem w życiu i wciąż szukam metafory, która stanowiłaby jakieś uogólnienie. Tego lata zobaczyłem na moście gromadkę dzieciaków. Kruszyły chleb i rzucały do wody. Podszedłem bliżej. W zakolu nagrzanego przez słońce drewnianego filaru woda aż kipiała od rybiego drobiazgu. Zgłodniałe stado rzucało się na każdą okruszynę, przepychało się, splatało w czarne kłębuszki, wzbijało chmury mułu i piasku, słowem — rozpasana namiętność...

I nagle nad tym skłóconym, pochłoniętym walką o byt kłębowiskiem pojawił się maleńki ślimaczek. Migotliwe falki łagodnie kołysały skorupkę, ślimak leżał sobie w swojej kołysce, wyciągając ku słońcu delikatne

różki, rzekłbyś, dobrotliwie i mądrze uśmiechał się do świata: cienia złości, żadnych pragnień, ani śladu pozy. I tak kołysząc się na falach pożeglował dalej, pewnie nawet nie wiedząc, dokąd. A my to niby wiemy, do jakiego brzegu nas niesie? Komuś może się wydać znajmienne (jesteśmy wszak oświeceni!) to porównanie ze ślimakiem; pismacy już dawno to biedne zwierzątko do mieszcuchów zaszufładowali. No i dobrze.

Ale może ja państwa drażnię?... Chyba mnie jakiś giez ukąsił...

Memłak wyszedł z redakcji w kiepskim humorze. Nawet prośba Pędziwiatra, aby na miesiąc objął dział, którego kierownik poszedł na urlop, niezbyt go obeszła. Kiedy indziej taki objaw zaufania z pewnością ogrzałyby serce Andrija, zmrożone porażkami na dziennikarskiej niwie. Potrzebna mu była ta wygrana jak dziura w moście! Nic go życie nie nauczyło. Inny na jego miejscu poddałby się i cześć, nie ma sprawy, albo wiedząc, że w domu czeka żona i dziecko, nawet by nie siadał do stolika. Ale on uznał, że nie wypada odmawiać. No i zupa się wylała: nie dość, że człowieka rozwścieczył, to jeszcze sam czuje się łyso, jakby to była jego wina.

A już najgorsza ta historia z pieskiem. „Widzieliście mego Dzulbarsa?” — spytał szef. „Tak, oczywiście” — bąknął w odpowiedzi. Już nawet nie pamięta dokładnie. „Idzie o zasadę. Niektórzy twierdzą, że nie jest rasowy. Rozsądźcie”. „Jasne, czysta rosyjska rasa”, powinien był powiedzieć. Albo: „Czysta angielsko-rosyjska”. Co za różnica, nikt nie ma o tym zielonego pojęcia. Tak trzeba było zrobić, jeśli chce jakoś ułożyć sobie stosunki z naczelnym. I nie zawracać sobie głowy głupimi problemami. Tamtych obeszłoby to tyle, co zeszłoroczny śnieg. A on napłótl jakichś bzdur, powiedział, że jeszcze obejrzy kundla, choć widzi go co dzień i głowę by dał, że psina „błękitnej krwi” ma tyle, co kot napłakał. Dziesiąta woda po kisielu. Chytry terechowianin zakpił sobie z łatwowieznego Pędziwiatra i wtrzył mu za ciężką forszę owoc ulicznej przygody swojej kłapciatej suczki. Ale on, Memłak, powinien był uspokoić rozstrojone nerwy szefa. Niech się cieszy, niech się pławi w szczęściu

i zadowoleniu. I tak nie poleci przecież oddawać szczeniaka.

Terechówka będzie się pokładać ze śmiechu. A najlepsze to, że w ogóle cała sprawa funta kłaków niewarta. Po co te nerwy? Jutro oznajmi przy świadkach: „Towarzyszu redaktorze, przejrzałem podręcznik i upewniłem się, że piesek dobrej rasy, ogar angielsko-rosyjski”. Każdy rozsądny facet na jego miejscu tak by postąpił.

Zamknął sionkę i ostrożnie uchylił drzwi od pokoju. W środku było ciemno, tylko na podłodze leżał prostokąt światła ze stojącej przed domem latarni.

— Śpi? — szepnęła.

— Aha. Ledwie ukołysałam. Marudziła. Duszno strasznie.

— Lampy nie wzięłaś od babci? Tutaj światło tylko do północy, później nie będzie czym przyświecić...

Zawrócił, wziął z sionki lampę naftową. Drzwi zostawił otwarte, niech trochę przewieje. Już w łóżku, siłając się na obojętny ton, powiedział:

— Na eksperta awansowałam. „Specjalista z was — mówi naczelny — zorientujcie się, czy mój piesek rasowy”. A to czysty kundel, przewodniczący spółdzielni mu go opchnął. Pieska zbadam, mówię, do książek zajrzę. Trzeba będzie jutro coś zełgać, niech się cieszy.

— Też masz czym się martwić — Marta ziewała ze zmęczenia. (Niech chociaż dzisiaj pośpi, ja będę wstawać do dziecka — obiecał sobie Andrij.) — Chce mieć rasowego, niech ma, żałujesz mu, czy co. O mieszkaniu przypomniesz?

— Nie wypadalo. Ledwie zaczął pracować i od razu o mieszkaniu. Wspomnę. Nie martw się, wszystko będzie dobrze — powiedział z przekonaniem. — Śpij...

Ale sam nie mógł zasnąć, choć zaciskał powieki i starał się oddychać równo: niech przynajmniej ona wypocznie.

— Tra-ta-bum-bum, tra-ta-bum-tszsz — naśladował Dziadźko człowieka-orkiestrę grającego tusz. Jak zwykle trafił jak kulą w płot, nawet Iwan nie zareagował na jego małpie miny. Zahatny lubił te późne nocne chwile, gdy redakcyjny kołowrotek zwalniał szaleńcze tempo i z wolna zamierał. Było w tym coś podniosłego i wzru-

szającego, niejasna obietnica odrobiny spokoju i skupienia w nadchodzącym dniu. Na wyciągniętych rękach maszynista Szulha wnosił jeszcze wilgotną pierwszą odbitkę numeru. Chorobliwie ziemista twarz Szulhy jaśniała jakąś osobliwą dumą, jakby i on zdawał sobie sprawę z powagi chwili. W pokojach zapachniało świeżą farbą. Korektorzy przymykali oczy i przeciągali się, demonstrując zmęczenie.

— Kto dziś czyta rewizję? — surowo spytał Iwan.

— Towarzysz Dziadźko — odparł sam Witalij.

Zahatny pochylił się nad wilgotnymi szpaltami. To jego dzieło, armia, którą osobiście wyekwipował i uzbroił. Na pierwszej kolumnie, jak oddział zwiadowczy, widniały równe rzędkie „czerwonego kącika”. Niżej czarne wytłuszczone tytuły — szeregi kopijników — obwieszczały światu, że kolchozy w rejonie zakończyły dostawy obowiązkowe. Za nimi w rześkich akapitach stała gotowa do uderzenia awangarda artykułu wstępnego. Dwie przysłane z centralnej agencji fotograficznej klisze, mistrzowsko złamany wybór „Prosto z kraju”, — reportaż o młocce lnu, wywiad z traktorzystami — armia stała w karnych szeregach, posłuszna każdemu skinieniu władczej dłoni wodza. Wystarczy jedno słowo, by natychmiast przegrupowały się notatki, zmieniły nagłówki, wróciły na szufle rzędy buńczucznych haseł. Wola dowódcy potrafi złamać szyki, zbudować nowe, jeszcze piękniejsze, a Szulha rozmnoży genialne pomysły w trzech tysiącach egzemplarzy. Iwan przeleciał wzrokiem nagłówki; lubił czasem oderwać wzrok od gęsto zapisanych kolumn i lodowato zwrócić się do osłupiałych korektorów: „Moglibyście choć w tytułach byków nie puszczać...”

Ale w leżącej przed nim kolumnie mogło być nawet tysiąc literówek. I tak by ich nie zobaczył. Myśl jego nieustannie krążyła wokół chwili, która dopiero miała nadejść. Jutro obudzi się wolny i bez reszty poświęci się twórczości. Prawdziwa sztuka wymaga ofiar. Może to banalne, ale niestety, prawdziwe. Zrobiło mu się smutno.

— Jedna odbitka do naczelnego.

Przeszedł się po uśpionych pokojach. Pędziwiatr, nawet nie rzuciwszy okiem, podpisał numer do druku i już wyciągał do każdego swoją pulchną łapę. Iwan wsunął dłoń pod kran.

— Przepraszam, mokre...

W przyległym pomieszczeniu zadudniła maszyna. Rozpoczął się druk. Iwan wkładał papiery do szuflady, wyprostował się dopiero, kiedy za Prišką skrzypnęły drzwi. Zdawało mu się, że raz i drugi złowił jej kpiące spojrzenie. Czyżby Priška i cała reszta domyślali się czegoś? Na wszelki wypadek wołał nawet nie prosić nikogo o papierosa. Od razu zaczęłyby się podejrzliwe pytania: a na co po nocy papierosy, przecież pali rzadko, i tylko jak się zdenerwuje. Mógł powiedzieć, że będzie jeszcze pracował. Ale i tak nikt by w to nie uwierzył. Zamknął sekretariat, wziął trencz na rękę (zawszeć to z trenczem poważniej). Szulha zatrzymał maszynę, wyciągnął do niego paczkę papierosów „Prima”.

— Serdeczne dzięki.

Wziął dwa, ale spod drzwi jeszcze zawrócił i poprosił:

— Może jeszcze ze dwa. Na wszelki wypadek. Chcę dzisiaj trochę posiedzieć.

Nie da się ukryć: w poprzednim słowie od autora trochę mnie poniosło. Dziecinada i tyle. Naprawdę wcale tak nie myślę. Postępuję jak większość. Ci na górze lepszemu rozum mają, nie nam się z nimi równać, już oni wiedzą, co robią. Ale czasem człowiekowi nieswojo. Zwłaszcza ostatnio. Ale to już całkiem inna rzecz...

Są poważniejsze sprawy. Powinienem teraz uchylić nieco kurtynę przed finałem pewnej interesującej z psychologicznego punktu widzenia historii. Może będzie to trochę nienaturalne: najpierw pointa, potem historyjka. Na razie w naszym teatrze gasimy światło. Proszę o cierpliwość, historyjka może przydługa, ale postaram się skrócić. Szkoda, że nie umiem pisać, prawdziwy artysta stworzyłby nieliczne romansidło o naszych terechowskich Romeo i Julii. A ja kombinuję, jak by tu najkrócej... Co zrobić, nigdy nie miałem serca do liryki. Za młodu pisywałem nowelki, może już wtedy liryka mi obrzydła. W mojej zakończonej na ślubnym kobiercu małżeńskiej epopei także sentymentalnych rozdziałów nie uświadczysz. Owszem, przysięgaliśmy sobie, całowaliśmy się, nawet kilka rymowanek mi się przytrafiło — kto wtedy nie popełnia wierszy? — i spokojniutko pobraliśmy się.

Zacznę od sielankowego obrazka. Siedzę na werandzie u Borysenków. Zachodzące słońce czerwieni zabudowania ośrodka maszynowego, którym kieruje nasz dawny terechowski donżuan Iwan Iwanowycz. Ludmyła Leopoldiwna — teraz już państwo są w domu, prawda? — wnosi czajnik. Na stole chleb, masło, świeże konfitury z wiśni i karafka domowego wina. Luda i ja siadamy do uczy. W pokoju ryczy telewizor: pan domu

ogląda trzeci odcinek przygód kapitana Klossa. Odkąd zacząłem robić notatki do opowieści o Zahatnym, często wpadam do Borysenków, przeważnie przejazdem: a to jakaś narada, a to z centralnej biblioteki dzwonią. Borysenkowie dostali mieszkanie w robotniczym osiedlu, tuż przy kijowskiej szosie. Zaraz za skrzyżowaniem — droga na Terechówkę. Przyjazną pogawędkę co chwila przerywa tupot dziecięcych nóg, to dwie córeczki Ludy, stęskniwszy się za mamą, przybiegają z ulicy, przypadają do maminych kolan i znów wyskakują w tajemniczy świat dzieciennych zabaw. Luda trochę przytyła, ale wciąż jeszcze jest urodziwa i pociągająca. Dłuższy czas nie pracowała — trzeba było odchowić dzieci — teraz prowadzi osiedlową bibliotekę; dawne zajęcie okazało się zbyt absorbujące i czasochłonne dla matki dwóch ruchliwych jak żywe srebro dziewczynek.

No co, ładny obrazek? Ale to już niejako poza sceną. To jest to, co odbędzie się po opuszczeniu kurtyny. Może przy okazji opowiem o tym dokładniej. Teraz naprawdę nie mam czasu. W szkole miałem kiedyś takiego nauczyciela. Nazywał się Petro Wasylowycz. Jego dom sąsiadował z naszym. On także wiecznie się spieszył, zupełnie jak ja z moją opowieścią. We wsi wołali na niego Pan Rozpędek. Dzieci tak się przyzwyczyły, że do dzienniczków wpisywały: Petro Wasylowycz Rozpędek. Byłem już w siódmej klasie, jak Rozpędek zachorował na raka krtani. Ciężką miał śmierć. Lekcje przeważnie odrabiałem w ogrodzie, a ich ogród przytykał do naszego; byłem niemym świadkiem ostatnich tygodni jego męki. Leżał pod jabłonką i zanosił się od kaszlu. Dusił się... Ale po co te żałobne wspomnienia? Chyba mi na mózg padło. Kogo interesuje śmierć starego nauczyciela? Zapomnijmy o tym. Chwila słabości i tyle.

Z góry przepraszam wszystkich, którzy czekają na sentymentalne opisy tak zwanych wielkich uczuć, gorących pocałunków i namiętnych kłótni. Człowiek ze mnie przyziemny, obrzydliwie chłodny i prozaiczny, z wiekiem to się jeszcze pogarsza. W tej historii interesują mnie tylko zasadnicze, można by rzec, konstruktywne momenty. Mówiąc technicznie (odkąd stałem się posiadaczem motocykla, jestem z techniką za pan brat) interesuje mnie, dlaczego poszczególne trybiki się kręcą i ze sobą współpracują. Cybernetycy dawno odkryli, że

dusza ludzka to tylko trochę bardziej skomplikowany mechanizm. Spróbujemy prześledzić, co się dzieje, gdy takie dwa mechanizmy zaczną zbliżać się do siebie.

I jeszcze jedno. Znajdą tu państwo fragmenty dziennika Ludy. Któż lepiej niż ona może naświetlić jej stosunek do Iwana? W żadnej rozmowie ze mną Zahatny nawet nie wymienił jej imienia. Ale ona jest z innej gliny. Romantyczna z natury i skłonna do przesady, już dziś swoją ówczesną znajomość z Iwanem widzi jako coś niezwykłego, wyjątkowego, jak kolorowy przerywnik w szarej prowincjonalnej egzystencji. Wyobrażam sobie, co będzie opowiadać jako staruszka. Już za pierwszym razem, kiedy nasza rozmowa zesłała na Zahatnego, byłem zaskoczony słysząc na jego temat same superlatywy. Luda święcie wierzy w jego rozliczne talenty, jest przekonana, że czeka go wspaniała i niezwykła przyszłość. Może właśnie dlatego jej wspomnienia są jakieś niezwykle skrupulatne, jakby już teraz każde wyznanie miało wagę historycznego dokumentu. W głębi duszy jest bardzo dumna ze znajomości z tak nieprzeciętnym człowiekiem. Kategorycznie odmówiła udostępnienia mi swoich panięńskich zapisków, dopiero gdy oznajmiłem, że chcę napisać książkę o Iwanie, uroczyście, w obecności męża, wręczyła mi dwa grube zeszyty, związane niebieską wstążką.

Mogą sobie państwo wyobrazić, z jakim pośpiechem rozwiązywałem w domu niebieską wstążkę. Ale już po chwili doznałem zawodu. Zapiski Ludy nie obfitowały w ciekawe spostrzeżenia. Ot, sentymentalna paplanina dziewczuchy z wyższym wykształceniem. Psu na budę się to przyda. O Iwanie była mowa tylko w jednym miejscu, potem dziennik nagle się urywał. W niecały miesiąc po pamiętnej scenie w komitecie nieoczekiwanie dla wszystkich wyszła za mąż. Charakterystyczne, opis ślubu też jakiś zwyczajny, prozaiczny. Gdzie tu zresztą miejsce na lirykę? Oboje młodzi, ledwie się poznali, ledwie słowo zdążyli zamienić, już mieli pewność, że nie obejdzie się bez wizyty w urzędzie stanu cywilnego.

Ale czas przystąpić do właściwego tematu. Z zapisków Ludy wybieram tylko najistotniejsze fragmenty, pozostawiając przyszłym badaczom wszystkie te cielejące zachwyty i czarne rozpacz. Dla siebie rezerwuję tylko komentarz. Cała ta miłosna historia trwała pięć tygodni

i cztery dni. Pozwolę sobie zwracać uwagę państwa na kluczowe dla każdego tygodnia zapisy, w myśl poprzednio wyłożonej teorii, że charaktery (czymże bowiem jest miłość, jeśli nie spotkaniem dwu charakterów w czasie i przestrzeni?), a więc, że charaktery rozwijają się dialektycznie, skokami, od sytuacji do sytuacji. Kim Iwan był dla Ludy, zanim się poznali? Oto odpowiedź:

„Wczoraj wreszcie spotkałam Zahatnego, nową »gwiazdę« na terechowskim firmamencie. Wszyscy tylko o nim plotkują. Chodzi z gołą głową, ma wąskie spodnie; ludzi to okropnie drażni. Powiedziałam za nim słówko w komitecie, to mnie omal nie zadziobali, że niby usiłuje stanąć na piedestale, wyróżniać się. Co mnie to obchodzi? Czy takie drobiazgi mają decydować o duchowej istocie człowieka? Mimo że wiosna trochę chłodna, taki postawny mężczyzna bez kapelusza wygląda dość romantycznie. A co do spodni, to oczywiście go nie usprawiedliwiam. Wszystkie gazety zwalczają negatywny wpływ Zachodu na młodzież. Nawet »Pereć« zamieszcza karykatury bikiniarzy. Po co lać wodę na młyn tych wyrodków i lansować ich głupie pomysły? Żyjesz wśród ludzi, żyj jak człowiek”.

Nic dodać, nic ująć. Można tylko nadmienić, że w owym czasie na temat Ludy kursowało co najmniej tyle samo plotek. Była ładna; jak tylko się zjawiała, zaroiło się wokół niej od poważnych konkurentów. Odpalała jednego po drugim. Nawet na tańce chodziła tylko z koleżankami, bała się, że ją obsmarują. Początkowo tutejsi myśleli, że trzyma w odwodzie lepszą partię, potem zaczęły się złośliwe docinki: zadziera nosa, na księcia z bajki czeka, a tu księżę figla spleta i nie przyjeździe... Iwan i Luda byli skazani na siebie: oboje trzymali się trochę z dala od miejscowej społeczności i to ich ku sobie popychało. Tak mi się jawi załączek tej romantycznej historii.

„Coś niebywałego! Wczoraj pod wieczór zjawia się Zahatny; potrzebuje jakichś danych do artykułu. Byliśmy sami w pokoju. Kopiemy po sprawozdaniach, nagle on powiada: »Ludmyło Leopoldiwno, zapraszam panią do kina. Grają jakiś amerykański szlager«. Zaskoczona milczę, a on dalej: »Za stary jestem, żeby włączyć się za panią po wieczorynkach;

oboje mamy na to za dużo rozumu. Pani mi się od dawna podoba. Oto bilety. Czekałam koło klubu, pięć minut przed seansem. Moje życie jest w pani rękach». I tyle go widziałam. Przyznam się, że byłam zaskoczona, choć lubię romantyczne sytuacje. Ale w taki sposób jeszcze nikt ze mną nie rozmawiał. Możecie sobie wyobrazić miny terechowskich plotkarek, jak weszliśmy na salę! W życiu czegoś takiego nie zobaczycie. Szu-szu-szu przeleciało po wszystkich rzędach. Zajęliśmy swoje miejsca i do końca seansu nie odwróciliśmy głów. Film nawet niezły: w kolorze, za serce chwyta. Ale Zahatny przez całą drogę klął na czym świat stoi. Odprowadził mnie aż pod dom. Jednemu podoba się to, drugiemu tamto, o gustach się nie dyskutuje, nawet w gazetach o tym piszą. Ja od razu powiedziałam, co myślę o filmie, i rozstaliśmy się w zgodzie”.

Chciałbym zwrócić uwagę na tragiczną, jak mi się zdaje, cechę charakteru Iwana. Każda świeżo poznana dziewczyna to był chodzący ideał; stąd cała dalsza znajomość stawała się trudnym do zniesienia i bolesnym dla niego samym pasmem rozczarowań: ideał powoli dogorywał. Może za suchy ten wykład, za dużo w nim teoretyzowania, ale trzeba o tym wspomnieć, inaczej nie zrozumieją państwo dalszego toku opisywanych wydarzeń.

„To wariat, słowo daję. Już uważa się za mojego męża, chce składać papiery, gada o wspólnej przyszłości, jakby wszystko było postanowione, choć jeszcze ani słowa ode mnie nie usłyszał na temat swoich nieustających oświadczeń. Wspólną przyszłość też sobie wyobraża jakoś dziwnie, zupełnie inaczej niż normalni ludzie. Okazuje się, że celem naszego życia ma być dążenie do duchowej doskonałości (zawsze miałam ochotę spytać, nawet za cenę niechybnego oskarżenia o mentalność mieszczaucha, jak i gdzie będziemy się »doskonalić duchowo«, bo o mieszkaniu z puli komitetu szkoda nawet marzyć, kolejka duża, a on, jak mówią, od dawna z naczelnym koty drze). Krótko mówiąc, ja na pewno dokonam jakiegoś epokowego odkrycia w agronomii, a on, oczywiście, zostanie genialnym pisarzem, tyle że docenią go dopiero przyszłe pokolenia. W tę genialność jeszcze mogę

uwierzyć, tacy postrzelenicy zawsze budzili podziw u ludzi. A co do mnie, to raczej wątpię. Szczerze mówiąc, ta »wielkość« wcale mnie nie pociąga, nawet bez epokowych odkryć ludzie jakoś żyją...”

W tym czasie, jak się zdaje, zauroczenie Iwana osiągnęło szczyt. Wtedy właśnie, pamiętam, przychodził do redakcji jakiś taki słoneczny i miękki. Każdą wolną chwilę spędzał w komitecie, wpatrując się w Ludę jak w obrazek. Dziewczyna musiała szukać ucieczki przed tą szaleńczą adoracją: brała delegacje. Ale on jeździł za nią po najbardziej zapadłych dziurach, wyrzucał, że się przed nim ukrywa, a on bez niej życia nie ma. Zupełnie jak siedemnastolatek, który pierwszy raz dowiedział się, co to miłość, i nie może zapanować nad sobą. Wyglądało to niepoważnie, miał przecież swoje lata, w dodatku był odpowiedzialnym pracownikiem okręgu; towarzysze z kierownictwa niejednokrotnie zwracali na to Pędziwiatrowi uwagę. Cała Terechówka żyła anegdotami o coraz nowych dziwactwach zakochanego sekretarza redakcji. Zahatny miał to wszystko w głębokim poważaniu.

Jednak z biegiem czasu aureola nad głową Ludy zaczęła blednąć. Iwan dokonał wstrząsającego odkrycia, że jego bóstwo jest równie zwyczajne jak wszyscy śmiertelnicy.

Nie mógł wybaczyć dziewczynie swoich niedawnych uniesień i swojej wiary... No cóż, można się było spodziewać czegoś takiego.

„Czuję, że gdybym za niego wyszła, byłabym niešťeśliwa. Iwan nadaje się tylko do życia na bezludnej wyspie. Kiedyś z trudem wyciągnęłam go do znajomych. Towarzystwo na poziomie, sami swoi, pracownicy miejscowych urzędów i instytucji. Wypiliśmy trochę, zrobiło się wesoło. Zaczęły się tańce, żarciki, potem graliśmy w loteryjkę, przegrywający płacił buziaka, oczywiście nie na serio. Iwan od razu zapowiedział, że idzie tylko ze względu na mnie. I co? W środku zabawy wyciąga z kieszeni tomik Hegla (w Terechówce już legendy o tym Heglu opowiadają), siada w kącie i zabiera się do czytania. Nie wiedziałam, gdzie oczy podziać. Goście patrzą na siebie, gospodyni czerwona jak burak, mało nie płacze. Taki afront. Podchodzę, nachylam się do niego: »Pan się

z nami nudzi?«, »Faktycznie — mówi — nieciekawe towarzystwo. A ja nie lubię tracić czasu. Mam tylko jedno życie«. »Po co więc pan tu przyszedł?« »Przebiec mówilem, że tylko przez wzgląd na panią...«

Pożegnałam się szybko i wyszłam — on za mną, ale nawet do rogu nie pozwoliłam się odprowadzić. Już mi zbrzydło być pośmiewiskiem dla całego miasta...»

Widzą państwo? Iwan urządza buntowniczą manifestację. Teraz już nie można mówić o uczuciach. Zaczęły się ściierać ambicje.

„Trzymałam się twardo przez cały tydzień. Nie podchodziłam do telefonu, omijałam go na ulicy, przy spotkaniu udawałam, że go nie widzę. Zastąpił mi drogę w niedzielę, na środku rynku, przy wszystkich. To mnie rozbroiło. Nie mogłam dyskutować z nim przy ludziach, co by sobie pomyśleli, i tak dosyć o nas plotkują. Poszliśmy do parku, Zahatny perorował śmiertelnie serio, tragicznym tonem, jak tylko on potrafi: »Ludmyło Leopoldiwno! Mój los w pani rękę. Nie chcę być dla pani przeszkodą w drodze do szczęścia. Spakowałem manatki, napisałem podanie o zwolnienie. Nie zobaczymy się już nigdy, chyba na tamtym świecie, jeśli coś takiego w ogóle istnieje...« Nagle załamał mu się głos. W całym jego zachowaniu, w tym, co mówił, była jakaś ogromna namiętność, jak w starych romansach. Przyznaję, wzruszyła mnie ta siła uczuć. Niech się schowają nasze terechowskie koguty! »Czemu aż tak, Iwanie? — zapytałam cicho i ze wzruszeniem. — Zostańmy przyjaciółmi, dobrze? Tyle mogę panu przyrzec. A potem zobaczymy... « — »Dziękuję... — Ręce mu opadły, miałam wrażenie, że zaraz się rozplacze. — Dziękuję, życie mi pani uratowała...« Spojrzał na mnie uszczęśliwionym wzrokiem, odwrócił się na pięcie i pobiegł ku wyjściu. Obejrzałam się, czy ktoś nas nie widzi. Alejka była pusta...»

Wydumane to, powiedzą państwo, zupełnie jak w tanej powieści z dawnych czasów. Skąd niby takie namiętności w prowincjonalnej mieścinie? Ale to naprawdę dokumentalny zapis, nie zmyśliłem ani słowa. Jeśli ktoś tu zmyśla, to sami bohaterowie. Nie przytoczyłem jeszcze wypowiedzi Iwana na ten temat. Czas to uczy-

nić. Spotkaliśmy się kiedyś w Kijowie, wstąpiliśmy na jednego. Oto jego słowa, cytuję bez komentarza: „Kiedy miłość zaczyna stygnąć, zmyślamy ją sobie. Chcemy kochać. W dodatku te zmyślane uczucia wcale nie muszą być gorsze od prawdziwych. Oczywiście pod warunkiem, że w nie wierzymy. Prawdę mówiąc, do tego konieczny jest talent, no i widownia, choćby najmniejsza...”

Mogą to państwo interpretować, jak chcą. Ja wiem, co o tym myśleć, ale na razie zachowam to dla siebie.

„Tydzień przeszedł spokojnie. Wprawdzie docho-
dziły mnie słuchy, że Iwan bardzo przeżywa nasze
rozstanie, ale kto go tam wie. Nigdy nikomu nie mó-
wi, co myśli. Zawsze trochę melancholijny i powścią-
gliwy. W niedzielę było u nas komsomolskie wesele.
Kateryna z przychodni wychodziła za Dmytra z ko-
mitetu. Przyjęcie było w przychodni. Dziewczęta od
nas poszły wcześniej, żeby coś pomóc. Ja też poszłam,
w sandałach, bo otarłam nogę, tylko na samą cere-
monię miałam włożyć czólenka na wysokim obca-
sie.

To tylko wstęp do tego, co się zdarzyło na we-
selu, nawet opisać nie potrafię: słów brakuje i od-
wagi nie starcza. Zahatny spił się jak bela; w takim
stanie ludzie jeszcze go nie widzieli. Grał na gitarze,
śpiewał jakieś sprośne kuplety, co się bardzo nie
spodobało kierownictwu (no i masz: a mieszkanie,
a plany małżeńskie...). Wieczorem w gabinecie zabie-
gowym — gdzie urządzono przebieralnię dla babek
i ustawiono lustro — znalazł moje czólenka i na
oczach wszystkich zaczął je obcałowywać, wygłasza-
jąc swoje teorie na temat miłości. Myślałam, że się
pod ziemię zapadnę! Dziś rano mało nóg nie pogu-
biłam, tak leciałam do pracy; czułam, że zza każdej
firanki gapią się na mnie czyjeś ciekawskie oczy.
Dziewczyny przysięgają się, że Iwan wyglądał bar-
dzo efektownie: stał na środku sali i zakładał wzru-
szającą gadkę, wszyscy bili mu brawo. Albo on jest
kompletnie stuknięty, albo faktycznie kocha mnie bez
pamięci. Czegoś takiego nawet w książkach nie opi-
sują”.

Chciałbym uzupełnić tę scenę kilkoma szczegółami.
Słowo daję, o tamtym dniu można by tomy pisać. Szko-
da, że nie było nikogo z prasy okręgowej ani kijowskiej:

komsomolskie wesele przerodziło się w imprezę, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. Nie czas teraz o tym pisać; było, minęło. Iwan jeszcze przed przyjęciem musiał się gdzieś zaprawić, może z maszynistą Szulhą. Przy stole wyglądał jak człowiek, który za wszelką cenę postanowił się urządzić, no i rozebrało go. Żadnych dwuznacznych piosenek nie słyszałem, śpiewał jazzowe przeboje, a przewodniczący komitetu rejonowego, trochę hipochondryk, faktycznie się wściekł i z nadętą miną oświadczył, że na gitarze brzdąkają tylko zgniłe mieszczychy i bikiniarze. Pierwszy zauważyłem nieobecność Iwana i coś mnie tknęło, żeby iść go szukać. W tym samym budynku co przychodnia było kino. Seans akurat się skończył, w hallu także odchodziły tańce. Gdy stanąłem na progu, akordeon na chwilę ucichł. Zahatny stał na środku i wznosząc w górę czólenka, tokował jak najęty. Dosłyszałem tylko zakończenie tyrady:

„Tak, kocham ją... kocham. Odwieczna, banalna historia. Ale, jak chcecie wiedzieć, świat stoi na miłości. Mógłbym wam długo opowiadać o prawdziwym uczuciu, tak czy owak będziecie się śmiać. Czy wy na przykład wiecie, kto to był Walt Whitman? A to bardzo mądry facet. »Ty, obcy, jeśli przechodząc napotkasz mnie i zapragniesz przemówić, czemu nie miałbyś przemówić do mnie?«* Ale jakbym tak ja na ulicy podszedł do was i spróbował coś zagać, wezwalibyście milicjanta...”

Jeszcze raz ucałował lakierowane noski czólenek, wykonał półobrót i majestatycznie pożegłował do wyjścia, ścigany oklaskami i śmiechem obecnych...

„Jestem jak ta ćma, co już osmalila skrzydełka, boi się, lecz mimo to leci w płomień. Ludzie akurat wychodzili z kina, Zahatny podszedł do mnie i zaproponował mały spacer. Zgodziłam się. W końcu zachował się jak Don Kichot, jakoś nijako było odmówić. Na niebie wisiał niesamowicie jasny księżyc w pełni, było ciepło i jakby trochę straszno, serce we mnie zamierało. Zahatny chciał, żebyśmy poszli za miasto, ale oświadczyłam, że dalej niż do skrzyżowania nie idę, to jest jakieś sto metrów za ostatnimi domami. Idziemy, droga szeroka, po bokach szeleści żyto, pola toną w błękiecie, wszystko jakieś zwiewne,

* Przekład Stefana Napierskiego (przyp. tłum.).

płochliwe, tajemnicze, on gada i gada, biała droga wije się przed nami, coś takiego może się tylko przyśnić. Nagle on staje jak wryty — trzeba było widzieć tę poważną, natchnioną twarz w nieziemskim księżycowym świetle! — i wyciąga do mnie rękę: razem na dobre i złe, do końca życia! Nie pamiętam dobrze, byłam pijana, upojona szczęściem, wsunęłam rękę w jego chłodną dłoń i poszliśmy het, przed siebie, po białej drodze. Masz tobie Terechówkę! Nigdy bym się nie spodziewała...”

Chcę państwu zwrócić uwagę na jeden ciekawy szczegół: „Byłam pijana, upojona szczęściem, wsunęłam rękę w jego chłodną dłoń...”

Trafne spostrzeżenie. Przy dużym napięciu nerwowym dłonie Iwana naprawdę były trupio zimne, sam mi o tym wspominał, ale że Luda to zauważyła... A więc nie była tak pijana, jak pisze. I jeszcze jedno. Długo nie mogłem znaleźć odpowiedzi na pytanie: jak to możliwe, że dziewczyna rozsądna, niechby nawet w głębi serca romantyczka, dała się złapać na te tandetne dekoracje: błękitna noc, biała wstęga drogi, namiętna tyrada Iwana, której wartość niemal genialnie wyczuła (wycofuję swój poprzedni zarzut: oczyszczony ze słownej sieczki dziennik robi o wiele lepsze wrażenie). Jak ona mogła — nawet symbolicznie! — podać dłoń Iwanowi? Niedawno znów odwiedziłem osiedlową bibliotekę; chciałem dowiedzieć się więcej, niż udało mi się wyczytać z wypożyczonych zapisków. Luda była sama, porządkowała roczniki gazet. Nie powiem, żeby moja dociekliwość była jej bardzo na rękę, ale zaapelowałem do jej obywatelskiego sumienia, przypomniałem o książce, której warstwa dokumentacyjna na pewno wzbudzi zainteresowanie przyszłych biografów Iwana. Ten argument trafił jej do przekonania.

— Powiedzieć panu, jak to było? Na dzień każdego upojenia leży przecucie tego, co będzie potem, kiedy człowiek ochłonie. Wiedziałam, że na drugi dzień, obejrzane trzeźwym okiem, wszystko będzie wyglądało inaczej. Jeśli o mnie idzie, nie byłam jeszcze zdecydowana. Ale na tym diablo rozsądnym świecie miło jest czasem się upić... Albo choćby udawać pijaną... Natomiast Iwan traktował wszystko okropnie serio. Dzieci także wierzą, że wilk zjadł babcię Czerwonego Kapturka. Dla nich

teatr to szczerą prawdą. Tym właśnie różnimy się od dzieci, że nie potrafimy tego brać poważnie.

— Z niego już nie takie dziecko, jak się pani zdaje. Moim zdaniem...

— To tylko porównanie. Choć, szczerze mówiąc, często czułam się o wiele starsza od niego. Ale sam pan przyzna: dzieci szybko przestają mieć złudzenia... Łuska spada z oczu, Czerwony Kapturek staje się Kolką, Witią, Tańką, widownia obojętnie. Niech sobie wilk robi, co chce. Naprawdę interesujące są nie Czerwone Kapturki i nie wilki, ale emocje...

Mówiła długo, powtarzając się i denerwując; ktoś z boku mógłby pomyśleć, że Ludmyła Leopoldiwna do tej pory czuje się urażona i zgnębiona niestałością Iwana. Mimo to kiedyś wyznała szczerze, że nigdy by za Iwana nie wyszła; bała się zmarnować sobie życie. Zawsze lubiła i nadal lubi mieć pewność; w tym jesteśmy do siebie podobni.

Po tamtej księżycowej nocy dobry tydzień obchodzili się z daleka; potem tylko raz spotkali się w komitecie, Luda akurat miała dyżur. Proszę państwa na widownię, niebawem kurtyna pójdzie w górę. Na razie kilka uwag o aktorach. Ludce wyraźnie się śpieszyło. To ostatnie spotkanie było potrzebne, aby przekreślić białą wstęgę drogi; a może chciała mieć wolną rękę. Bo gdzieś w tle już rysował się Borysenko; partia, jak na Terechówkę, bardzo dobra, solidna. Natrętny upór Zahatnego sprawił, że staremu kawalerowi nagle otworzyły się oczy; w popłochu zerwał się do działania. Luda nie była aż tak młoda ani tak głupia, aby bez powodu odrzucać ofertę statecznego człowieka, który w dodatku miał niebawem zostać dyrektorem ośrodka maszynowego. Iwan... Za chwilę oddamy mu głos. Owej nocy w komitecie nagadał tyle, że biedna Luda nie była w stanie wszystkiego zapamiętać i zapisać, choć tak dbała o potomnych...

Jeszcze raz pozwolę sobie skorzystać z jej notatek, nie dodając ani słowa komentarza. Nie pamiętam, czy wspominałem już, że wychodząc z redakcji Iwan poprosił maszynistę o dwa papierosy, potem zawrócił i wziął jeszcze dwa, choć prawie nie palił. A więc wiedział, że idzie na zasadniczą rozmowę, więcej, oczyma duszy widział się już z papierosem na tle ciemnego okna, potem w obszernej poczekalni... Papieros wydawał mu się bar-

dzo efektownym rekwizytem. Naprawdę zaś, powtarzam, prawie nie palił, jako dziecko przechodził operację gardła. Petro Wasylowycz Rozpędek też miał zakaz palenia: wycięcie migdałów, wiejski szpitalik, coś im tam nie wyszło... A on kopcił jak lokomotywa, aż zarobił raka; nawet wtedy papierosa z ust nie wypuszczał, dusił się od kaszlu, ale jeszcze żartował: Nie zapomnijcie włożyć mi do trumny dziesięć paczek papierosów „Prima”... Ale ja znów nie o tym. Przez tego Rozpędeka omal nie zapomniałem przytoczyć zakończenia mojej z Iwanem intymnej rozmowy w restauracji: „Potrafię kochać tylko to, co nieosiągalne — powiedział Iwan z goryczą. — Gdy forteca wywiesza białą flagę, ogarnia mnie rozczarowanie. Należę do błędnych rycerzy, dla których szturm jest ważniejszy niż najcenniejsze trofea...”

Noc pachniała piołunem. Niemal dotykalna ściana gorzkawej woni odgradzała ganek od ulicy, gdzie królował już zwykły odór benzyny i końskiego potu. Iwan odechnął głęboko, gorycz nie ustępowała. Piołun nic tu nie zawinił: gorycz tkwiła w sercu; był to nie tylko ból utraty, ale i męka narodzin. Ostatecznie taka strata to też szczęście; człowiek jest świadom tego, co traci, ale i tego, co zyskuje. Kroczył powoli, z lubością nurzając się w odmętach wzniesłego smutku. Drzewa i krzewy miały soczyste barwy wczesnej jesieni, w powietrzu unosiły się pierwsze nitki babiego lata. Nie zastanawiał się, co powie Ludzie. Słowa przyjdą same, byle tylko donieść do komitetu ten pulsujący, wzniosły smutek.

Za szybko puścił klamkę; szyby w drzwiach zabręczały głośno, jakby na dany znak w korytarzu trzykrotnie mrugnęła żarówka; za dziesięć minut cała Terechówka zapadnie w sen. Światło zgasło, kiedy wymieniali zdawkowe powitania, banalny wstęp do zasadniczej rozmowy. Luda podeszła do szafy i podkręciła knot jedynej naftowej lampy; głębokie cienie pod ścianami skurczyły się, ale nie znikły. Iwan pomyślał, że to nawet lepiej: zachowanie rozmówcy nie rozprasza słuchającego, słowa nabierają większej wagi. Wszystko przypominało jakiś prowincjonalny teatr: kamienna twarz Ludy w różowym kręgu lampy, ciemna sylwetka Iwana w obszernym krześle z poręczami i pełna napięcia cisza, jakby sùfler pomylił strony i gorączkowo szukał dalszego ciągu zdania. Iwan wsparł głowę na splecionych dłoniach, gdy po chwili podniósł oczy na Ludę, na jego twarzy malowało się cierpienie:

— Śmieszne kłopoty, drobne namiętności, plotki, am-

bicjonalne gierki... wszystko małe, przeciętne, nędzne. Zwariować można. Człowiek stara się uciec przed tym zalewem codzienności, ale ona dogania, wsysa, czujesz, jak dzień po dniu zapadasz się głębiej i głębiej, w końcu brakuje ci oddechu, powoli zaczynasz umierać...

Nagłym szarpnięciem rozluźnił starannie zawiązany krawat: smukłe białe dłonie bezwładnie opadły na poręcz.

— Wymyślają mi od arystokratów, zarzucają niechęć do prostego ludu... Co za demagogia! Jeśli czegoś nienawidzę, to tylko miernoty, bezmyślności ludzkiego stada. Śmieję się z ludzkiej głupoty, pisał genialny starzec Skoworoda. U nas wszyscy mają równe szanse: każdy może wypracować sobie własną indywidualność, wydostać się z oceanu codzienności, osiągnąć stały ład. Ale gdzie tam. Gdy ja pracowałem nad sobą, inni woleli grać w domino, drzemać przed telewizorem albo chodzić na mecze i ryczeć jak dzikie zwierzęta — teraz robią obrażone miny: odsuwasz się od nas, masz nas za byle kogo. A czemuż to mam zniżać się do waszego poziomu? Niech pani sama powie, czy to sprawiedliwe?

Odetchnął głęboko, podniósł się i zapalił od lampy pierwszego papierosa.

— A w dodatku ten brak tolerancji! To nie może być dobre, mówią, bo my tego nie rozumiemy. Powinniście, towarzyszu, tworzyć dla prostych ludzi, naszym powołaniem jest twórczość dla mas. Jakby to był nie wiem jaki zaszczyt być prostym człowiekiem. A ja zawsze krzychałem i będę krzychał: jestem skomplikowany, słyszyście, skomplikowany, i nie moja wina, że wam brakło odwagi i siły, aby wznieść się ponad waszą miernotę! Nie mam zamiaru zniżać się do was! Nawet na golgotcie jeszcze będę szeptał: oto umiera skomplikowany człowiek... Na wszystkich golgotach świata prości krzyżowali skomplikowanych, by nazajutrz się do nich modlić...

(Tu muszę przerwać Iwanowi i zaznaczyć, że jego cytaty ze Skoworody, zwłaszcza ostatni, były bardzo niedokładne. Jeśli już, pomyślałem, wybrałeś sobie jakieś bożyszcze — choć trochę to dziwne u kogoś, kto tak szczyści się swoją niezależnością intelektualną — po co przykrawasz i przerabiasz jego słowa na swoje kopyto? Społeczeństwo na pewno nie otaczałoby takim szacunkiem pamięci tego filozofa-demokraty, nie rozpisywano

by się o nim w gazetach, gdyby popełnił błąd ideologiczny, występując jako piewca indywidualizmu. Od dawna męczyła mnie ta sprawa. Wreszcie znalazłem wolną chwilę i przejrzałem dwutomowe wydanie dzieł Skoworody.

I wtedy wyszło szydło z worka. Zahatny dowolnie powyberał fragmenty, które miały go usprawiedliwiać w oczach mieszkańców Terechówki. Bez żenady wprowadził w błąd wszystkich, którzy nie znają twórczości naszego wybitnego filozofa-oświeceniowca. Przykładem mogą być dopiero co przytoczone słowa o ludzkiej głupocie... Z satysfakcją zawiadamiam państwa, że jest to świadome fałszerstwo. Czegoś takiego u Skoworody nie ma i być nie może. Jest natomiast zdanie: „Śmieję się z ludzkiej głupoty i lzy nad nią wylewam”. To chyba zasadnicza różnica, jeśli idzie o stosunek do człowieka).

Iwan chciwie zaciągał się dymem, jakby to był jego ostatni papieros w życiu. Przemierzał pokój z kąta w kąt, potykając się o dywan, wydłużony cień niepewnie przeskakiwał kwietne rabatki, które malarz za pomocą szablonu hojnie rozsypał po ścianach. (Winienem jeszcze państwu wyjaśnić, dlaczego w tej scenie nie słychać głosu Ludmyły. Po pierwsze, w dzienniczku jest tylko to, co mówił Iwan, nie chciałem więc łamać zasady dokumentalności. Po drugie, Luda twierdzi, że jej udział ograniczył się do kilku banalnych, nic nie znaczących zdań, które miały tylko podtrzymać rozmowę. Zahatny tokował za dwoje...)

— Daltonista nie odróżnia kolorów, świat jest dla niego jednolicie szary. Podobnie ani pojedynczy przeciętniak, ani całe ich stado nie potrafi dostrzec i ocenić prawdziwego intelektu. Do mas przemawia tylko to, co zyskało oficjalne uznanie i zewnętrzny, widowiskowy sukces: oto mają przed sobą coś, czego nie są w stanie pojąć, coś co szybuje wysoko i wymyka się zrozumieniu. Na kolana więc! Czapki z głów! Niech żyje geniusz! Pluję na ich hołdy, chcę tylko, żeby sobie zapamiętali, wbili w swoje zakute łby, że ja jestem inny i mam prawo spacerować po terechowskim Chreszczatyku z rękami założonymi do tyłu...

(Żeby państwo mogli trochę wytchnąć od tego teoretyzowania, opowiem rzeczywiście śmieszna anegdotkę. W kilka dni po przybyciu do Terechówki Zahatny szedł

jak zwykle do pracy. Kroczył zamyślony założywszy ręce do tyłu, z pochyloną głową. Nagle dogania go kierownik kasy oszczędności; zamieszczał w gazecie notatki o wkładach oszczędnościowych ludzi pracy i dość często bywał w redakcji. Poufale klepie Zahatnego po ramieniu, funduje grąbulę, po czym wywiązuje się następujący dialog:

— Chodzisz, jakbyś tu był za gospodarza.

— A skąd wiesz, że nie jestem?

— Chyba żartujesz! Nie słyszałem, żebyś został przewodniczącym komitetu dzielnicowego...

Jeszcze w redakcji Iwan pienił się ze złości. Odtąd nie chodził do pracy inaczej, jak z rękami założonymi do tyłu.)

— Zanim nie zacząłem wegetować w tej mazi, miałem nie byle jakie aspiracje, tyle że mało konkretne. Terechowskie mieszcuchy pomogły mi odnaleźć się w życiu. Tylko twórczość może mnie wyrwać z lepkich macek tej hydry. Poświęciłem młodość, by wznieść się ponad bezkształtną magmę miernoty. Niech pani spojrzy, w trzydziestym roku życia jestem prawie siwy. Resztę lat, jakie mi jeszcze pisane, poświęcę, aby im udowodnić, że jestem więcej wart, niż myślą. Sztuka wymaga ofiar, ten truizm zawiera wielką, choć smutną prawdę...

Wzruszony własnym przemówieniem, Iwan z rozmachem zdusił papierosa w popielniczce i natychmiast zapalił drugiego. Palce mu drżały...

— Życie, które mnie czeka, to powolna droga na gólgotę. Nie chcę i nie mogę wciągać w to pani. Tę podróż odbywa się samotnie.

Stanął przy otwartym oknie. Noc była srebrzysta, księżycowa. Ręce wsunął w kieszenie, głowa dramatycznie odrzucona do tyłu, oczy przymknięte. W skroniach pulsowała krew. Nadchodził decydujący moment.

— Ludo, pani jest żywym człowiekiem, który potrzebuje rodziny, zacisznego domu, spokoju. Nie mogę zapewnić pani ani jednego, ani drugiego, ani trzeciego. Nie wolno mi się rozmieniać na drobne. Gdybym to zrobił, znienawidziłbym siebie i panią... Proszę o przebaczenie. I dziękuję, że pani jest... że pani była w moim życiu... Żegnaj...

Trochę sentymentalne to zakończenie, prawda? W restauracji Iwan wygadał się, że kiedy żegnał się z Ludą, miał łzy w oczach. Może się tylko przejęzyczył. Luda o tym nie wspomina, choć opis tego wieczoru jest bardzo dokładny. Bardziej niż cały monolog wstrząsnął nią jeden jego gest. Zahatny ujął jej rękę i pochylając się przez stół, ucałował końce palców, po czym szybko się odwrócił, zarzucił trencz na ramię i wyszedł z pokoju. Zgarbiony, żałobny cień przemknął za oknem i rozplynął się w mroku.

Teraz nastąpi scena, która miała tylko jednego widza; nie sposób więc sprawdzić, czy relacja jest prawdziwa. Skłonny jestem twierdzić, że tak, bo lepiej niż inni znam charakter Iwana. Epizod ten może wywołać żywy protest zarówno czytelników, jak i krytyki. Jakiś zaszczepiony redaktor będzie nawet próbował to wykreślić. Faktycznie, Bóg w tych ateistycznych czasach brzmi jakoś nie bardzo. Cóż robić, taka jest prawda. Dalej wyjaśnię, co to był za Bóg i co go łączyło z Iwanem. Na razie tylko szkic sytuacyjny. Zapisalem tak, jakem usłyszał. Szulha nie byłby w stanie zmyślić czegoś takiego, to zupełnie nie w jego stylu.

Wylapawszy błąd w tytule, wpadł w popłoch i natychmiast pomyślał o Zahatnym. Nie było sensu lecieć do mieszkania, wszyscy wiedzieli, że tego wieczoru sekretarz redakcji miał być u Ludy, która była na dyżurze w komitecie. Zahatny oczywiście nie wspomniał o tym ani słówkiem, ale Ula i tak wiedziała swoje: śledziła telefony, obserwowała wyraz twarzy Iwana, co w połączeniu z kobiecą intuicją, której terechowskiej płci pięknej naprawdę nie brakowało, sprawiło, że przewidywania okazały się bezbłędne. Szulha wszedł więc na swój wiekowy welocyped i co sił popedałował przez rynek strasząc uspionych terechowian brzękiem rozsypującego się żelastwa. Przyjechawszy na miejsce, oparł stalowego rumaka o parkan i zaczął iść przez trawnik oddzielający komitet od ulicy. Wtedy właśnie ujrzał coś, o czym dopiero po kilku latach zdecydował się opowiedzieć zaklinając mnie, abym zachował to tylko dla siebie.

W poprzek dróżki białął trencz Iwana. Sekretarz klęczał obok ze złożonymi rękami, z twarzą wzniesioną ku

niebu. Z jego ust płynął błagalny szept. Szulha dosłyszał i zapamiętał tylko jedno zdanie:

— Boże, zabierz wszystko, ale pozwól mi pokochać...

Noc wywracała świat do góry nogami. To, co w dzień wydawało się nieważne, w ciemności urastało do gigantycznych rozmiarów. Andrij leżał z otwartymi oczami; czuł, że coś dusi go, nie daje odetchnąć. W pokoju było parno, Oksanka niespokojnie kręciła się w łóżeczku. Marta spała, odwrócona do ściany. Z powagą wpatrywał się w twarzyczkę córki, jakby z tej białej plamki chciał odczytać rozwiązanie trapiących go problemów. Kiedyś z tej kruszyny wyrośnie człowiek. Chłodnym okiem zacznie przyglądać się ojcu. Co sobie pomyśli? Nie dla niego, Memłaka, wysokie stołki, wielkość i sława. W najlepszym razie awansuje na kierownika działu w rejonowej gazecie. Czasem uda mu się zamieścić coś większego w okręgowej, może nawet centralnej prasie. Na razie to tylko marzenia. Prawdopodobnie skończy jako wiejski nauczyciel. Jak żyć, co robić, by w oczach córki błysnęła iskra szacunku? Te oczy to nieprzekupne zwierciadło: nie pomoże żadna poza ani aktorskie talenty. Odkryją, żeś robaczywy, może i zmilczą na razie, ale pomyślą: „Nieuczciwie żyjesz, tatku Memłaku”. „Przecież to dla waszego dobra...” spróbuje się usprawiedliwić. „W takim razie myśmy też powinny żyć nieuczciwie dla dobra naszych przyszłych dzieci — odpowiedzą oczy. — Po cóż więc uczysz nas, jak być uczciwym? Na tym świecie uczciwy się nie uchowa, wszyscy żyją dla swoich dzieci”.

Dopiero teraz naprawdę poczuł się ojcem. Okazuje się, że to wcale nie takie proste: dzień po dniu sędzię sobie wychowujesz; nieprzekupny to sędzia i widzi wszystko. Wkładasz w ten interes wszystko, co masz najlepszego. Dialektycznie w porządku. Po kilkunastu latach zobaczysz obok siebie swoje drugie „ja” i będziesz musiał osądzić każdy swój postępek. Jeszcze się chyba taki nie urodził, żeby własnemu dziecku nakazywać: kradnij, oszukuj, bądź dwulicowy. Nawet jeśli sam byłby największym zbrodniarzem. Zabawne, ojciec zaciąga się dymem, ale syna poucza: nie pal, papieros to trucizna. I znów się zaciąga. Kogo słuchać: ojcowskiego rozu-

mu czy ojcowskiego przykładu? Znów dialektyka. Diabła tam, uczepliła się go ta dialektyka jak rzep psiego ogona. Rozwój, świat poznaje się w rozwoju. Seminarium z filozofii. Wykładowca — kandydat nauk filozoficznych. Memłak — kandydat nauk pedagogicznych. Co za bzdury. Noc... bezsenność... upał.

Dlaczego najlepsze zasady pedagogiczne nie zdają egzaminu wobec własnego dziecka? Znajoma nauczycielka mówiła, że za nic w świecie nie chciałaby mieć syna w klasie, w której jest wychowawczynią. Lepiej niech nie słyszy, co ona mówi na godzinach wychowawczych, a co w domu. Mógłby się gorzko rozczarować. Nauczyciel to trochę aktor, musi umieć grać. Ale i on nie może stale być na scenie, w odświętnym stroju, w światłach rampy. Czasem musi odpocząć. Posiedzieć z rodziną. Zrzuca kostium i idzie do domu. Proszę o oklaski, oto moje nowe wcielenie. Genialny ze mnie aktor. I z ciebie. I z niego. Wszyscy genialnie gramy! Wszyscy! A właściwie to jaka sprawa? Czy jest na świecie człowiek, który choć raz nie zrobił czegoś wbrew sobie? Oksana nigdy się o tym nie dowie. Chyba że dla żartu sam jej o tym opowie. Ot, anegdotka: tata miał potwierdzić, że kundel szefa to czystej krwi ogar. Naczelny rejonowej gazety — też mi figura! A naprzeciwno — nieugięty bojownik o prawdę. Śmiechu warte — zgrywa się sam przed sobą. Co innego jakaś wielka, ważna sprawa — wtedy on, Memłak, zawsze będzie w zgodzie ze swoim sumieniem. Oni z Martą dopiero urządają się w życiu; żeby przez głupiego kundla rzucać Terechówkę i znów szukać szczęścia gdzie indziej... Pędziwiatr nie daruje. Pamiętliwy. Życie naprawdę nie jest tak skomplikowane, jak to sobie wyobrażamy. Zwłaszcza w nocy. Sza. Oksana nigdy się nie dowie.

Lu-li! Lu-li-li...

Regularnie przeglądam czasopisma: wszędzie pełno dyskusji i polemik, kiedy wreszcie nauka zapewni człowiekowi nieśmiertelność. Ale nikomu nie przychodzi do głowy pytanie: czy to w ogóle potrzebne, ta nieśmiertelność. Czasem wyobrażam sobie, że gdzieś w Teksasie wynaleziono upragniony eliksir. Któż pierwszy wtargnie w szeregi nieśmiertelnych? Ten, kto ma grubszy portfel. Nieśmiertelność za miliard, po znajomości, spod łady. „Mój cioteczny bratanek jest adwokatem deputowanego... Proszę od razu kilka opakowań. W zamian...” To chyba z jakiegoś filmu. Prześladowuje mnie ta scena. Unieśmiertelnieni miliarderzy, tyrani, zapobiegliwi pochlebcy... „Wstrzykiwanie eliksiru osobnikom politycznie niepewnym jest surowo wzbronione. Nic nie mogę poradzić, señor. Nie figuruje pan na naszej liście...” Na pohybel buntowniczym ideom, na świecie zapanuje spokój, wieczna tyrania, wieczny ład, porządek, cisza... Ludzie!

Błogosławię śmierć! Tylko ona potrafi zrównać panujących i poddanych. Błogosławię ten niezrównany akt sprawiedliwości. Jak długo i tyran, i buntownik są śmiertelni, istnieje życie. Gdyby nie śmierć, do tej pory chodzilibyśmy odziani w skóry, ciągnąc za sobą kamienne maczugi. Śmierć jest motorem postępu. Dopinguje śmiertelnych, aby tworzyli wielkie dzieła. Przed tobą wieczność — po co akurat dziś pisać tę powieść? Przed wami wieczność — śpijcie, wylegajcie się na kanapach, nie złaćcie z tapczanów. Rozkoszujcie się życiem, jeszcze zdążycie z wielkimi sprawami. Przed wami wieczność — czas istnieje, ale równocześnie nie istnieje, bo czas jest nieskończony. Błogosławię śmierć, rydwan życia!

Ale patos! Wyrocznia! Prorok! Geniusz! Czuję, że nie ruszę dalej, póki nie otworzę przed wami duszy, nie zrzucę z ramion tego nadludzkiego ciężaru, który gniecie mnie już czwarty dzień. Natrętne wspomnienia o moim nauczycielu, peany na cześć śmierci — wszystko jest skutkiem odkrycia, którego dokonałem w ubiegły poniedziałek. Nawet temu zeszytowi boję się zwieryżyć, a cóż dopiero powiedzieć głośno. Otóż — bardzo proszę, tylko bez paniki — mam raka krtani. To fakt. Zaskakujący, okropny, ale prawdziwy. Nienasycony potwór, produkt naszej cywilizacji, wyciąga po mnie pazury. Pierwsze symptomy pojawiły się już w sobotę, na trzeci dzień po sławetnym wieczorku. Nie było ani temperatury, ani bólu — rak nie jest bolesny! — tylko gardło zrobiło się jakieś drętwe; przełykam — czuję, że spuchło. Cały wieczór chodziłem jak struty, choć starałem się odpędzać złe myśli. Na drugi dzień złapał mnie kaszel. Ale jaki! Mój mały gabinet mało się nie rozleciał. Tak kaszlał Rozpędek: głęboko, sucho, beznadziejnie. Od razu przypomniała mi się matura, sad, przedśmiertne rżenie Petra Wasylowycza, papierosy „Prima”, operacja migdałków. Przecież mnie także usuwali migdałki. Pamiętam, co mi wtedy powiedział Zahatny. Parę dni po zabiegu przychodzę do pracy, siadam, zapalam papierosa. A on: „Po takiej operacji papieros to duże ryzyko. Można raka krtani złapać... Miła śmierć, ale trochę bolesna...”

Młody wtedy byłem, rozumu tyle, co kot napłakał. Zresztą kto w tym wieku myśli o chorobie? Albo o śmierci? Nawet trudno to sobie wyobrazić. „Wszyscy kiedyś umrzemy”, mówię ze śmiechem. I dalej palę. No i dograłem się. Pewnie od tamtego czasu mnie żre. A teraz zaczęło się ostatnie stadium. Rozpędek także, jak się dowiedział, co mu jest, w sześć tygodni orła wywinął. Czekał indyk do niedzieli... Sześć tygodni. Czterdzieści dwa dni. Tysiąc osiem godzin. Sześćdziesiąt tysięcy czterysta osiemdziesiąt minut. Trzy miliony sześćset dwadzieścia osiem tysięcy osiemset sekund. Policzyłem dokładnie. Zamknąłem się w swoim gabinecie i podsumowałem. Arytmetyka. Trzeba wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy i zacząć logicznie myśleć.

Najważniejsze — nie popadać w panikę. Uświadomić sobie, że nie ma rady. Głową muru nie przebijesz.

Przejrzałem wszystkie encyklopedie oraz poradniki lekarskie, jakimi dysponowała biblioteka, sięgnąłem do księgozbioru żony. Nigdzie ani słowa na temat symptomów raka krtani. Żebyż one wyzdychały, te pismaki! Za co im płacą? O mały figiel żona przyłapałaby mnie na tej lekturze. Już trzymała rękę na klamce, ledwie zdążyłem wsunąć książkę na półkę. Idiotyczna sprawa. Może bym się nawet zdobył na odwagę i poszedł do lekarza, ale żona często w rejestracji siedzi. Zresztą pielęgniarki od razu doniosą. Ale przychodzi to jeszcze małe piwo. Na drugi dzień cała Terechówka będzie gadać: Huźwa, kierownik biblioteki, ma raka krtani.

Trzeba będzie zabrać zeszyt z domu i pisać tylko w czasie pracy, może nawet zostawać po godzinach. Żona może przypadkiem otworzyć szufladę i klops. Nie lubię lamentów. Jeszcze sobie zdąży popłakać.

Już trzeci wieczór zasypiam z nadzieją, że rano obudzę się wesoły jak szczygieł, tryskający zdrowiem i siłą. Zanim jeszcze oko otworzę, zaczynam gorączkowo przełykać, ale o n o nie znikło, jest, nawet przez noc jakby urosło. A przede mną tylko sześć tygodni życia. Gdzież tam, już tylko pięć: I od razu ten ohydny chłód. Gdzieś wyczytałem — grobowy. Ale dość tego. Co ma być, to będzie, a od tego myślenia zwariować można.

Lepiej zając się Iwanem.

— Iwanie Kyryłowyczu! Błąd! — krzyknął Szulha, jakby dopiero w tej chwili zauważył sekretarza.

Zahatny poderwał się z kolan, chwycił trencz:

— Cholera! Pióro mi wypadło, macam, macam, chyba diabeł ogonem nakrył. Jaki błąd?

— Na trzeciej kolumnie. Zbieram z maszyny ostatnie egzemplarze, patrzę, a w tytule stoi jak byk „K u k u k u r y d z a d o s i ł o s ó w”. Sam boję się poprawiać, jeszcze co gorszego zasunę. Naczelnego też nie chciałem budzić, jutro całej korekcie naganę wlepi. Siadłem na rower i do was... — bełkotał, z trudem nadążając za Iwanem. Zahatny długimi susami, sadził w stronę redakcji. Byle prędzej znaleźć się jak najdalej od komitetu, zapomnieć o wszystkim, co się przed chwilą wydarzyło.

— Jedźcie, zróbcie przeskład, ja zaraz przyjdę.

Rower zabrzączał na bruku i znikł w mroku.

Masz babo placek. Człowiek nie może sobie pozwolić nawet na chwilę słabości. A może Szulha nic nie zauważył? Tylko tego by brakowało. Cała Terechówka zatrząsłaby się od plotek, jaki to on wierzący, jak modlił się, wyszedłszy w nocy z komitetu. Ohyda! Sam sobie winien. Po rozmowie z Ludą poczuł nagle, że jest bardzo samotny. Że nikogo naprawdę nie kochał i pewnie nigdy nie pokocha. I że prawdziwy powód zerwania tkwi nie w tym, że on musi pisać, ale że jest organicznie niezdolny do prawdziwej miłości. Wiadomo, neurastenia. Ale wszystko spadło na niego tak gwałtownie, że trudno to było skwitować byle żartem. W dodatku ta noc. Na chwilę zapomniał o swej życiowej misji. Patrzcie go, zachciało mu się zwyczajnego ludzkiego szczęścia. No to leć, zamień te święte, twórcze godziny jutrzejszego poranka, gdy człowiek czuje się równy bogom, zamień to na stos pieluch, fikusa w doniczce i ciepłe ciało, po które wystarczy tylko wyciągnąć rękę. Czemu stoisz? Jeszcze nic straconego. Ona zapomni, coś tu przed chwilą wygadywał, ty puścisz w niepamięć zakarbowaną w sercu maksymę, która cię drogo kosztowała: czterysta dni powolnego gnicia w terechowskiej metropolii. Pamiętasz, co sobie obiecałeś? Albo być geniuszem, albo nie istnieć... Albo być geniuszem, albo nie istnieć... Częste powtarzanie to najlepszy sposób na przewycięzenie własnych słabości.

Zacisnął zęby i zdecydowanym ruchem pchnął drzwi do redakcji. Życie to walka. Przede wszystkim z samym sobą. Dopiero potem z otaczającym cię światem...

Koło północy Oksanka obudziła się i zaczęła marudzić. Na próżno Andrij starał się ją uciszyć.

— Trzeba ją przewinąć i nakarmić, choć to jeszcze nie jej pora, ale może potem dłużej pośpi — trzeźwym, spokojnym głosem mówi Marta, jakby w ogóle nie zmrużyła oka.

Można by poprosić od razu o M_z3, choć w miasteczku z mieszkaniami krucho, z drugiej strony w redakcji nie ma kandydatów z rodzinami, a komitet nowe bloki buduje, chyba na jesieni będą zasiedlać. Jeśli Pędziwiatr zechce — on, Memłak, się przebiję. Można by nawet

sprowadzić ze wsi świekrę i przy okazji napomknąć naczelnemu: „Patrzcie, jak mieszkamy — troje dorosłych i dziecko w jednej izbie, i na wszystko tylko moje trzydzieści rubli, żona dopiero od września idzie do pracy”. Przy całej swojej rzeczowości Pędziwiatr jest sentymentalny, lubi się opiekować. Jeszcze lepiej byłoby samego sekretarza komitetu zwabić, jakiś pretekst zawsze się znajdzie, często przecież razem w teren jeździmy. Powiem: „Macie ochotę wody się napić?” Nie, nie wypada, może lepiej kwasu, nie, też prymitywnie, jak mówi Iwan, aha, powiem tak: „Dmytrze Semenowyczu, może byście wstąpili na chwilę, pokażę wam moją córcię, rozkoszny dzieciak, niedawno ze wsi przywiozłem”. Nie będzie mu wypadało powiedzieć, że nie ma ochoty, że guzik go obchodzi moja córka. Chyba żeby naprawdę się spieszył, wtedy odczekam trochę i przy pierwszej okazji znów go zaatakuję.

Wchodzimy, Marta demonstruje naszą córkę, zaduch, ciasnota, świekra pod nogami się płacze, jeszcze, żeby wrażenie było mocniejsze, Chrystyniwnę się zaprosi. Marta zaczyna dyplomatyczną gadkę, jak to ciężko z dzieciakiem w takim malutkim pokoiku. Sekretarzowi wyrywa się: „Pomęczcie się jeszcze trochę, właśnie kończymy nowy blok...” Słowo się rzekło, kobyłka u płotu, biegnę do Pędziwiatra, Pędziwiatr idzie do komitetu i mówi: „Pierwszy obiecał Memłakowi mieszkanie w nowym bloku, trzeba go wpisać na listę...” Proste, nie? Poszło jak po maśle!

To tylko jeden wariant. Takich kombinacji można wymyślić od metra. Najważniejsze — nie oglądać się na żadne normy etyczne czy zasady moralne. Takie numery wymyślają uczeni profesorowie w swoich luksusowych apartamentach. Kto nie ma nawet jednej klitki, musi iść przebojem. Stukajcie, a będzie wam otworzone! Wypisywali skierowania do pracy: wszyscy, co nie mieli zbyt wielu skrupułów, do miasta się załapali. Ech, żeby tak dało się cofnąć czas: dziś by się nie chował po kątach, nie czekał, aż go zawołają i powiedzą: „Oto, co zostało, wybierajcie!” Dziś by ich poroztrącał, rozepchnął się łokciami, do gardła skoczył... Nie poznawał siebie. Najtrudniej zrobić pierwszy krok. Wystarczy pójść do Pędziwiatra i powiedzieć, że jego kundel jest niesłychanie rasowy, wystarczy raz postąpić wbrew za-

sadom, zdradzić siebie, zamknąć oczy i zdeptać sumienie, żeby łańcuch ruszył i z brzękiem zaczął odwijać się dalej, ogniwo za ogniwo, kółko za kółkiem, do końca.

To tak, jak studnia z korbą: puścisz wiadro, korba zakręci się raz, potem jeszcze raz, coraz prędzej, cembrowina zaczyna huczeć, a wiadro leci w ciemną otchłań, w którą i spojrzeć straszno.

Nie zamykał oczu. Z ciekawością i strachem zaglądał w przepaść, która się przed nim otwierała. Koniec z wyrzutami sumienia. Osiągnie, co zechce, trzeba tylko uwolnić się od hamulców typu: „nie wypada”, „to nieuczciwe” albo „co sobie ludzie pomyślą”. Wszystkie chwytły dozwolone, cel uświęca środki. Faktycznie, dla czego decydując się na jeden nieuczciwy krok, nie ma się potem zrobić drugiego? Drugi przychodzi łatwiej, a potem już jakoś leci. Korba zaczyna się kręcić. A w dole czarna otchłań, w której nawet gwiazdka nie zamigocze...

Tym razem nie wytrzymał, odskoczył od studni. Jęknął, przewrócił się twarzą do poduszki.

— Boli cię coś? — szepnęła Marta, ułożywszy Oksankę w łóżeczku.

— Boli... — westchnął.

Już świta. Za chwilę dla moich bohaterów zacznie się dzień. Nad zasną Terechówką wszędzie słońce, włączająca się nad rzeką biała mgła poróżowieje i rozplynie się w górze. Rosnące pod księgarnią krzaki zakwitną tęczowymi kropelkami, pajęczyna na zielsku roziskrzy się jak brylantowy naszyjnik. Zaskrzypi żuraw, Iwan wyciągnie wiadro świeżej wody, na niebieskawych fal-kach będą pływać listki: w nocy chłopaki wracały z zabawy, rwały wiśnie, liści do studni nawpadało...

Jeszcze tylko pięć tygodni. Stojąc nad grobem człowiek staje się liryczny. Zaczyna pojmować, ile traci, odchodząc z tego świata.

Dla moich bohaterów wstaje dzień, tylko moje, kierownika Huźwy, słońce gaśnie powoli, ciągnąc za sobą wieczną noc...

DZIEŃ

Nie wiem, czy to przypadek, czy los, ale kogo bym nie spotkał, gdzie nie poszedł, wszędzie tylko te rozmowy o śmierci. I jak tu nie wierzyć w złe wróżby. Dzisiaj kierowniczką czytelni opowiedziała mi o swoim synku. Na dworze było już ciemno. Cała rodzina zasiadła przed telewizorem. Ni stąd, ni zowąd w drzwiach staje siedmioletni szkrab. W ciemność rozjaśnioną tylko zimnym, niebieskawym światłem ekranu wpada rozpaczliwy krzyk:

— Mamo, czy ja też kiedyś umrę?

Nikt nie odezwał się ani słowem. Bo i co powiedzieć?... Dzieciak zrozumiał to milczenie i w płacz. Myśleli, że lekarza trzeba będzie wzywać, takiego szoku dostał. Przez kilka dni bał się sam spać. Matka musiała trzymać go za rękę. Dopiero po jakimś czasie mu przeszło.

Nie przypominam sobie, żebym jako dziecko myślał o śmierci. Chociaż nie. Przez tydzień myślałem, że mam suchoty. Ale był to raczej efekt wykładu o gruźlicy, który wygłosiła rejonowa lekarka, zresztą byłem przerażony nie tyle samą śmiercią, ile procesem choroby: płuć przy ludziach w chusteczkę, leżeć w szpitalu, brać zastrzyki...

Prawdę mówiąc, do niedawna nie mogłem sobie wyobrazić, że kiedyś przestanę istnieć. Może jestem niewrażliwy, a może po prostu mam zdrowe nerwy. To znaczy, teoretycznie wiedziałem, że każdy musi kiedyś umrzeć, ja, niestety, również. Ale śmierć była zawsze czymś mglistym, dalekim, nie przyjmowałem do wiadomości, że za pięć, dziesięć, dwadzieścia czy nawet pięćdziesiąt lat świat przestanie dla mnie istnieć. Kiedy

kupowałem motor, byłem pewny, że będę na nim jeździł, aż się rozsypie. Na miejscu starego domu teściowej budowałem w myślach nowy, wiedziałem, że ten, co jest, wytrzyma jeszcze najwyżej trzydzieści lat albo i to nie. Przedmioty mogły być śmiertelne, ale ja? To mnie teraz najbardziej wkurza. Gdyby rzeczy umierały wraz z nami, łatwiej by nam było odchodzić. Nie ma tak dobrze! Ta idiotyczna piwnica, którą prawie całą własnoręcznie wymurowałem i z której taki byłem dumny, będzie stała przynajmniej pół wieku, przyjmując w swój nienasycony kałdun ziemniaki i buraki, kiszonki, mleko i sery, a mnie za niecałe dwa miesiące będą jeść robaki...

To jeszcze nic. Mam gorsze przecucia. I tu już do nikogo nie można mieć pretensji. Upłynie trochę czasu i jakaś obca łapa sięgnie po mój motocykl, przekreśli kluczyk w stacyjce, obca noga kopnie rozrusznik i maszyna posłusznie ruszy. Na siodełku zasiądzie on, nie będzie przecież żona wiecznie wdową, życie ma swoje prawa. Ktoś inny będzie laził po moim podwórzu, ciągnął wodę ze studni, którą ja wykopałem (obrzydło mi to latanie aż na ulicę), ktoś inny będzie rozpierał się w altance, którą ja zbudowałem i obsadziłem winoroślą, będzie włączał mój magnetofon i mój telewizor. Studnia i altanka, magnetofon i motocykl na amen o mnie zapomną, jakby nigdy nie było żadnego Huźwy, któremu zawdzięczają swoje istnienie.

Jest to chyba najpodlejsza zdrada ze wszystkich, z którymi się zetknąłem. Bo ani dziewczyny za moich młodych lat, ani przyjaciele, nawet żona — nikt nie przyrzekał mi nieśmiertelności. A te kanalie przyrzekały! Łasiły się do mnie, szeptały: kupuj, buduj, zdobywaj, odgradzaj się za naszą pomocą od nieprzyjemnego świata, ty i my to jedno, nie umrzesz nigdy, bo my jesteśmy wieczne. A teraz uśmiechają się przyjaźnie i powiewają chusteczkami: „Żegnaj, co złego, to nie my, idziemy dalej, ale ciebie nie weźmiemy, co nam po nieboszczyku?” Zostaję sam jak palec na jesiennej drodze, od pół pełza zmierzch, robi się nijako i straszno, dopiero teraz rozumiem: każdy umiera w samotności, jest nawet taka książka. Bodajbyś szczeł, ty złudny, zdradziecki świecie, który sam powołałem do życia!

Okazuje się, że bajeczka o leśnej idylli kryła tragiczne niedomówienie, którego nie zauważyłem, a może

bałem się dostrzec. W zimie zgłodniałe wilki zjedzą wołu, krowę i wieprzaka, kogut utknie w zaspie i tam złapie go lis albo z wycieńczenia sam padnie, ale ogień w piecu nie zgaśnie, w śnieżnej puszczy czerwono mrużyć będą okienka, ciepły, pachnący dym będzie unosił się z komina, wilki zasiądą półkolem na przypiecku i grzejąc zmarznięte kity będą chrupały pieczeń z niedawnych gospodarzy. Chatce będzie obojętne, kto w niej mieszka. Ileż mi ona obiecywała, ta idylliczna chatka wśród śniegów. O moje dzieciństwo, młodości moja!

A muszla! Kolejne złudzenie bezpieczeństwa i nieśmiertelności. Ślimaka wyssie żaba, ryba czy jakiś inny stwór, ale muszla tak samo wesoło, powabnie i bez troski będzie podskakiwała na migotliwych falkach, czarując jakiegoś innego Hużwę. Potem znajdzie się nowy lokator, muszli obojętne, kto w niej mieszka, każdemu obiecuje nieśmiertelność. Cholerny świat! A szczęściwież, wy, ze szczętem, przekłete klamoty! Człek nie dośpi, nie doje, grosz do grosza ciuła, żeby nie miał gorzej i mniej niż inni, a wy zostawiacie nas na lodzie właśnie wtedy, kiedy złudzenia są nam najbardziej potrzebne...

Ale się rozgadałem... Państwu pewnie już uszami wychodzi to, pożałujcie Boże, filozofowanie. Ja tak zawsze, jak mi dopieczę. A nie da się ukryć, dopieczę. Nie ma wyjścia. Człowiek się spieszył, marzył, krzątał, kłopotów miał więcej niż włosów na głowie, ale czegoś chciał, dokądś dążył. I nagle stop, łapią cię na środku ulicy i mówią: dokąd się tak spieszysz, człowieku, nie rozumiesz, że to już koniec jazdy, wysiadka? Podnosisz wzrok, rozglądasz się ze zdziwieniem: dokąd zmierzałeś, czegoś dokonał, czymżeś żył, jaki zostawiłeś ślad? Dokoła tłumy, mkną samochody. „Losy kupujcie, losy!” Trudno odnaleźć ślad na chodniku, po którym każdej minuty przebiega tysiące stóp. Śladu po prostu nie ma. Nieubłagana siła wyławia cię z ludzkiego potoku, odciąga w bok, już wiesz: jeszcze kilka kroków i koniec. Bezpowrotnie. Na wieki. Z szaleństwem w oku jeszcze się rozglądasz, jeszcze masz nadzieję, że zauważysz choćby ślad swojej krzątaniny, a śladu nie ma, nie ma, nie ma...

Co innego, gdybym pracował na jakiejś wielkiej budowie. Taka kupa betonu i sto lat postoi. Oczywiście nikt tam mego imienia nie uwieczni, ale dzieło, nad którym

się trudziłem, jeszcze sobie pożyje. Gdy śmierć do drzwi puka, sto lat wydaje się wiecznością. A ja cztery lata w redakcji przesiedziałem, a sześć w bibliotece. I co tu głupiego udawać — przynajmniej pod koniec trzeba się zdobyć na uczciwość — nigdzie się zbytnio nie prze-męczałem, chciałem tylko wygodnie i spokojnie żyć i ro-botę jakoś odwalać — wstyd darmo pieniądze brać. Czy biblioteka coś na tym straci, że kierownik będzie inny? Nie sądzę. Może nawet ten nowy będzie miał więcej inicjatywy, wymyśli coś, w gazetach o tym napiszą. My-ślą państwo, że mój personel długo będzie o mnie pa-miętał? Pewnie z początku jeszcze im się wspomni, jak się zejdą razem, a interesantów akurat nie będzie. „Bied-ny Huźwa! Niezły był człowiek...” Minie rok — zapomną. Chyba że nowy kierownik jakiś papierek w szufladzie znajdzie, może nawet kawałek mojej powieści, obróci w palcach, coś mu się skojarzy: „A, to tego nieboszczyka Huźwy...” Westchnie, bośmy wszyscy sentymentalni, pomyśli o śmierci, bośmy wszyscy śmiertelni, jeszcze raz westchnie, a potem zgniecie papier i wrzuci do kosza...

Kończę tę smętną arię i wracam do mojej opowieści. Niechaj znękana dusza odtaje trochę w przyjaznym kręgu bohaterów; oni szczęśliwsi, dla nich niebawem zacznie się nowy dzień. Do końca pracy jeszcze przeszło godzina, trzeba ją czymś wypełnić. Opiszę przebudzenie Iwana. Wół, choć czuje krew, pokornie stuka do wrót rzeźni. Jest w tym jakaś wołowa filozofia.

Iwana obudziło radio. Za nie domkniętymi drzwiami bębniły sportowe marsze. Zerknął na zegarek: wpół do ósmej. Gospodyni umyślnie włączyła głośnik: jeszcze tego brakowało, żeby się spóźnił do pracy. Sięgnął po dres, na krześle na samym wierzchu leżało pióro i no-tes. Wrócił późno i chciał jeszcze rano trochę popraco-wać. Teraz trzeba poczekać do przerwy obiadowej. Zje później, a od trzynastej do czternastej będzie pisał. Miło zaczynać dzień od przecucia twórczej pracy. To podnosi na duchu, człowiek zaraz ma więcej szacunku dla sie-bie. Już miesiąc nie pracował na serio. Zresztą wszystko, co dotychczas napisał, funta kłaków niewarte w po-równaniu z najnowszym pomysłem. Tylko człowiek na-prawdę młody duchem potrafi wszystkie przeżyte dni

traktować jedynie jako prolog przyszłego, prawdziwego życia. Co za nieprzyjemny posmak w ustach. Chyba się wczoraj przepalił. I po co było tyle gadać. Zdaje się, że przypalanie skóry to za mało. Jak nie da rady inaczej, trzeba będzie wbijać szpilki pod paznokcie. Odwagi mu nie brak. W końcu przecież wypełni w sobie wszystko, co zbędne; okaże światu prawdziwego Iwana Zahatnego. Dobrze. Od dziś będzie wyłącznie sobą.

Pieszczotliwie pogładził dziewicze kartki notesu. Kochał je: przeznaczeniem tych białych kartek było przyjąć to, co miał najdroższego, najbardziej intymne zwierzenia. Oczyma duszy widział szeregi słów, które potrafi stworzyć wyłącznie on, jego serce i umysł. Może właśnie ten notes — pomyślał — spocznie jako szacowny eksponat w przyszłym muzeum imienia Iwana Zahatnego. Może w tej chwili jego palce dotykają wieczności? Potraktował to trochę jak dobry żart, a jednocześnie trochę na serio, nie chciało mu się tego dociekać, uśmiechnął się radośnie i wyszedł na ganek.

Gospodyni zamiatała podwórze. Po śmierci męża codziennie zamiatała podwórze — może był to sposób na zabicie czasu.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry, Iwanie Kyryłowyczu, jak się spało?

Widać było, że ma ochotę porozmawiać, rozerwać się trochę. Czasem litościwie wysłuchiwał terechowskiej kroniki wydarzeń, ale dziś nie da się skusić, dziś musi oszczędzać każde drgnienie duszy. Stanowczym krokiem pomaszerował wzdłuż rabatki, na której kwitły dalie, i znalazł się na wijącej się między płotami i zaroślami trawiastej ścieżce. Zaczął biec, wysoko podnosząc kolana i przyciskając ramiona do boków, jak prawdziwy sportowiec. Mijane domy zerkwały spod nastroszonych strzech i czerwonych dachówek, śledząc z nie słabnącym zainteresowaniem te gimnastyczne popis. Biegł jeszcze kawałek wzdłuż rzeki. W dolince zaczął ćwiczyć wymachy ramion, skręty bioder. Domy wytrzeszczały zdumione oczy...

Gdyby wiedziały, jak nienawidzi tej codziennej mordęgi! Ale w tym pojedynku, nawet gdyby to miało trwać nie wiadomo jak długo, zwycięży on, Iwan Zahatny. Zeszłej jesieni podszedł do niego jeden z tych przeciętniaków, chyba to był Hulaj z inspektoratu:

„Z początku każdy udaje bohatera. Sam także od gimnastyki zaczynałem. Teraz wolę godzinkę dłużej pospać. Nie ten rytm życia, kolego. Prowincja. Wy także przywykniecie...” Najgorzej było w zimie. Białe szybki ze złośliwą uciechą patrzyły, jak bohatersko naciera sobie piers śniegiem i rzeško pozdrawia przechodzących terechowian. Ale i wtedy się nie poddał, przetrzymał. No, czas kończyć: żeby nie wiem co, za dwanaście ósma powinien zasiąść w stołówce, ostatni stolik pod fikusem. Za dwanaście ósma kelnerka postawi tam dwa jajka na miękko, talerz manny i dużą czarną.

Powędrował z powrotem. Na podwórzu podszedł do studni (po szmaragdowej tafli pływały listki wiśni), nalczył wody, umył się do pasa i wytarł do sucha frotowym ręcznikiem, który gospodyni przewidująco powiesiła na korbie. Ulicą przechodzili ludzie; nad płotem widać było same głowy zabawnie skaczące po sztachetach, zapuszczające żurawia na podwórko. Tarł skórę do czerwoności, do bólu. Potem włożył świeżo wyprasowane spodnie i płócienną, sportową koszulkę z haftem nad kieszonką. Płótno lśniło niepokalaną bielą (dopłacał gospodyni za pranie i prasowanie; koszula musiała być co dzień świeża — kiedyś, jeszcze na studenckiej praktyce, fundnął sobie pięć jednakowych; terechowianie w głowę zachodzili: co dzień w nowej koszuli, jakby na pochód albo co). Chyba będzie upał, ale marynarkę trzeba wziąć; do miasta wychodził wyłącznie w garniturze, jeszcze tego brakowało, żeby wyglądał jak to stado rozchełstanych facetów! Człowiek ubiera się nie tylko dlatego, że w naszym klimacie trudno chodzić nago, strój to najlepszy sposób, aby wyodrębnić się z bezkształtnej masy identycznych osobników, strój stoi na straży naszej indywidualności, nie ubrani — roztapiamy się w próżni, znikamy. Strój mówi, że nie jestem taki jak wszyscy, wara wam do mnie. Trzeba to zapisać i wykorzystać przy okazji.

Przejrzał się w lustrze. Patrzył na niego trochę zmęczony życiem intelektualista: wysokie czoło, pociągła twarz, przedwcześnie posiwiałe skronie, myślące oczy. Sięgnął do walizki po szósty tomik Hegla, piątego zapomniał wczoraj w redakcji spiesząc się na spotkanie z Ludą, i wyszedł na ulicę. Kroczył bez pośpiechu, garbiąc się lekko; była dopiero za czternaście ósma, dwie

minuty to aż nadto, aby dojść do stołówki. Odpowiadając na powitania unosił głowę, jakby wyrwany z głębokiego zamyślenia, i poważnie (dawno zauważył, że w tym cholernym mieście wszyscy automatycznie i bez żadnego powodu szczerzą do siebie zęby) składał niski ukłon. Nie pamięta już, gdzie wyczytał, że grzeczność to najlepsza forma podkreślenia swojej indywidualności, ale zdawał sobie sprawę, jak dalece ta jego demonstracyjna, inteligencka grzeczność działa ludziom na nerwy. I na dodatek ten nieodłączny Hegel. Terechówka i Hegel. Dialektyka logiki. Filozofia historii. „Słyszała pani, mówią, że od jesieni ma już nie być rejonów. Jakie tam plotki, Halka z punktu weterynaryjnego była w okręgu, na własne uszy słyszała, nic pani nie wie?” Kupił tego Hegla w antykwariacie, stare wydanie, dwanaście tomików w szarym płótnie ze złożonymi tłoczeniami. „Z czym się tak obnosicie cały czas?” „A to... to Hegel, dzieła zebrane”. „Wkuwacie? Sam niedawno na zaocznym z Hegla zdawałem. Do końca życia w jego stronę nie spojrzę!” „Nie podoba się wam?” „Kto?” „No, Hegel”. „Cha, cha, żarty się was trzymają. Przecież ja tylko tyle, co w słowniku filozoficznym... Wy też się nie męczcie, weźcie słownik, zdacie bez kłopotu”. „Ja już po dyplomie. Hegel to mój ulubiony filozof”.

Ulubiony filozof... Przeciwno Terechówce Iwan gotów był trzymać nawet z diabłem, nie tylko z Heglem.

Dochodzi siódma czterdzieści osiem. Jeszcze dziesięć sekund. W sam raz, żeby wejść na ganek i przeciąć salę. Ukłonił się bufetowej, nawet nie spojrzała na zegarek: pół roku patrzyła i unosiła brwi. Teraz przestała się dziwić, przywykła. Czasem widząc go posuwa wskazówki, jeśli wieczorem zapomniała nakręcić zegarek. Kiwnął głową kelnerce, która niosła dużą czarną. Na stoliku pod fikusem stała już manna, biały chleb i dwa jajka na miękko. Musi uważać na żołądek. Jak nie będzie pilnował diety, może dostać wrzodów. Z kuchni zaleciało czymś smażonym. Szaszłyk... sznycel... a może przyrumieniona cebulka?... Lubi duszoną cebulkę. Dość tych jałowych rozważań. To demobilizuje. Żeby tak móc wyrwać się do okręgowej metropolii. Poszedłby do restauracji i nareszcie najadł się do syta. Na razie udowodni im, że ma silną wolę. Kierownik stołówki, z którym zaraz po zainstalowaniu się w Terechówce, rozma-

wiał o swojej diecie, zapytał: „A jeśli nie będzie pana za dwanaście ósma?” „Nie będzie mnie tylko wtedy, jeśli w nocy nagle przeniosę się na lepszy świat. Pan i tak nic nie traci, płacę z góry za cały tydzień”.

Zdanie to długo krążyło po Terechówce. „Czytał pan Bölla?” — ni stąd, ni zowąd zainteresował się Iwan. Kierownik zmieszał się: „Zolę czytałem, Bölla chyba ja-koś się nie zdarzyło. Wie pan, robota goni...”

Tylko tego brakowało, żebyś znał „Bilard o wpół do dziesiątej” — pomyślał z ulgą.

Przeczytałem sobie poprzedni rozdziałik — obrzydzenie. Nawet ta historia prowincjonalnego chłopka-roztropka, który przez całe swoje dwudziestosiedmioletnie życie marzył, aby się tak ustawić, żeby go nic nie uwierało, nawet ta historyjka jakaś taka historyczna. Świadoma gra w udawanego — oto trafna diagnoza. Gaworząc, że mój koniec już bliski, nie wierzę, a raczej za wszelką cenę staram się w to nie wierzyć, szukam jakiejś szpar-ki, gdzie można by się skryć za zasłoną słów, uwierzyć w jakiś szczęśliwy traf, oddać się złudzeniom. Ale szpar-ki nie widać. Uciekać nie ma dokąd.

Dziś rano przeszedłem się po ogrodzie. Szczepki jabłonek trzeba by słomą okryć, niedługo mróz złapie. I zaraz myśl: na co to komu? Mnie w każdym razie na nic. To pewne. Nie tylko jabłek, ale nawet nowych listków nie zobaczę. Oczywiście, gdy człowiek umiera mając siedemdziesiątkę, może sobie w ogródku stare kości wygrzewać, szczepki sadzić i marzyć, że jeszcze prawnuki, chrupiąc jabłuszka, będą go wdzięcznie wspominać. Jeszcze jedno złudzenie. Ale jeśli nie masz nawet trzydziestki i sam nie zdążyłeś jabłek się najeść, a tu mówią ci dość... Może to egoizm. Każdy w takiej sytuacji byłby egoistą. Normalna reakcja organizmu.

Ciekawe. W ciągu ostatniego tygodnia zacząłem inaczej chodzić. Dawniej biegiem do pracy, biegiem z pracy; przy domu zawsze roboty huk, żal każdej minuty. Dziś mam wrażenie, że im prędzej biegnę, tym szybciej i bardziej niepostrzeżenie upływa czas. Wiem, że moje godziny są policzone, żal mi każdej sekundy, każdą chciałbym umieć o d c z u ć, bo żadna już nigdy się nie powtórzy. Człowiek zaczyna stąpać powoli, rozkoszować się każdym ruchem, myślą, otaczającym światem. Dopiero te-

raz zrozumiałem całą względność czasu. Głupio robimy, żałując motylków jednodniówek, że niby tak krótko cieszą się życiem. Bzdura. Dla nich zapewne jeden dzień to cała wieczność, może i dłużej niż dla nas dziesiątki lat. Sądzę po sobie: teraz każda doba wydaje mi się jak z gumy. Ile potrafię przemyśleć, co przeżyć — dawniej i przez miesiąc człowiek tyle nie zdążył. Wystarczyło, że przestałem się śpieszyć. Budzę się wcześniej i już nie mogę zasnąć. Jeszcze się zdążę naspać... Leżę sobie wygodnie, starając się za bardzo nie kaszleć; w pokoju robi się coraz jaśniej, żona oddycha spokojnie, córka kręci się w swoim łóżeczku, o szyby śnieżek szura, pod oknem kiwają się krzaki bzu, zaraz kogut śpioch ocknie się w obórce i pośpiesznie zakukuryka. W kuchni teściowa zaczyna brzęczeć garami; żona wstaje, ubiera się, a ja wciąż sobie leżę, rozglądam się, słucham, smakuję świat jak dziecko cukierka.

„Mykoło, czas już krowie zanieść!” szepce przez drzwi teściowa, żeby nie obudzić wnuczki. Zwlekam się, otwieram obórkę, wypuszczam kury, taszczę z teściową albo z żoną ceber dla krowy. Na tym moja gospodarska działalność się kończy. Przed śniadaniem zajrzę jeszcze do sadu — szare drzewka ledwie odcinają się od szarego nieba, coraz później robi się jasno, idzie ku zimie — potem do stołu. Cedzę każdą łyżkę zupy (dawniej, bywało, człowiek siorbał pośpiesznie, co chwila zerkał na zegarek, dławił się chlebem — nie było kiedy myśli zebrać, a co dopiero zastanawiać się, że życie mija). Za dziesięć dziewiąta (wiosną i latem praca w rejonowych urzędach zaczyna się o ósmej, przez pozostałe pół roku — o dziewiątej) żona biegnie do ambulatorium. Wtedy można sobie usiąść w fotelu, wziąć jakieś czasopismo, ale nie czytać: siedzieć i o niczym nie myśleć, nasłuchiwać cicho tik-tak, tik-tak, tik-tak — już sześć sekund życia mniej, tik-tak, już osiem ubyło, ale nie zmarnowałem tych sekund, o d c z u ł e m je. Warto by kupić piaskową klepsydrę, ale w Terechówce próżno takiej szukać; w klepsydrze czas przestaje być czymś wymyślonym, nieuchwytnym, w klepsydrze czas się materializuje, można go zobaczyć, obserwować jego upływ; niby na zegarku także wskazówki pełzną, ale zegarek to raczej symbol, w dodatku jakiś statyczny, nieruchawy.

Koło dziesiątej budzi się córka, coś tam sobie gawo-

rzy, kaprysi: teściowa ją ubiera, a ja udaję, że nie słyszę. Teraz istnieje dla mnie wyłącznie czas, szkoda mi każdej sekundy. Wszystko, co przeszkadza w odczuwaniu czasu, staje się obojętne, obce. Za kwadrans jedenasta — biblioteka jest czynna od jedenastej — ubieram się, wychodzę na ulicę. Zdaje mi się, że od świtu minęło nie pięć godzin, ale co najmniej tydzień. Cieszę się z tego złudzenia, uśmiecham się do świeżego śniegu, szczypiącego wiatru, ale dość! żadnych silnych emocji, to dekoncentruje, rozprasza uwagę i siły.

Kroczę ostrożnie cichą białą ulicą; przed oczyma klepsydra, złocisty strumyczek płynie, płynie...

Tydzień nie wyciągałem zeszytu z szuflady. Coś się we mnie zacięło, nie mogłem pisać. Nie jestem aż tak bezczelny: najpierw musisz, człowieku, siebie dobrze zrozumieć, a ty nie zrozumiałeś, choć z tym odczuwaniem czasu to niezły pomysł. Chwała ci za to, w ten sposób nawet pięć tygodni może wydać się wiecznością. Ale już trzeciego dnia poczułem, że robi mi się straszno, potem lęk rósł jak lawina. I właśnie ten lęk kazał mi obejrzeć się za siebie. Ale tam nic nawet nie majaczyło. To znaczy, jeśli idzie o kilka ostatnich dni. Otchłań, może raczej pustynia: żadnego wspomnienia, nic. Przyznacie państwo, że to okropne; człowiek zadaje sobie pytanie: żyłeś ty czy nie żyłeś przez te wszystkie dni? A dziś, a teraz? A tak smakowałem każdą sekundę, jak nałogowy pijak ostatnie krople bimbru.

Na drugim brzegu otchłani wyraziście rysowały się minione tygodnie, miesiące, lata. Nawet ów najbardziej prozaiczny urlop, pierwszy, odkąd objąłem posadę w bibliotece: w miesiąc ogrodziłem całe obejście, a z wybrakowanych desek skleciłem komórkę — nawet to pamiętałem dokładnie. Łaziłem wzdłuż płotu, głaskałem kołki i sztachety, dotykałem gwoździ — wszystko zawierało w sobie sekundę mojego życia albo i dwie: autentyczny czas przemieniony w materię. Każdy wbity gwóźdź był hamulcem dla upływającego czasu; jeszcze dzisiaj ta myśl nie daje mi spokoju. Gdzieś tutaj tkwi rozwiązanie nękającego mnie problemu.

Wiem, że nie odkrywam Ameryki. Może ten i ów stołeczny intelektualista zakpi sobie ze mnie: to sprawy

od dawna wiadome, już Goethe pisał, że tylko praca potrafi zatrzymać ulotną chwilę, tylko praca czyni człowieka nieśmiertelnym. No, powiem państwu, że jeszcze przed Goethem pisano... Nie pretenduję do miana odkrywcy. Każdy, nawet prosty człowiek — lubią u nas to określenie — odkrywa świat na nowo. Ja zaś próbuję opisać to, co przed chwilą odkryłem. I nie rezultat jest ważny (ostatecznie wszyscy dochodzimy niemal do tego samego), ważna jest droga. Nad tym też warto się zastanowić. Na razie wracam do moich Iwanów i Memłaków; boję się, że państwo zmęczeni prowincjonalnym mędrkowaniem cisną tę książczynę w kąć...

Każdego dnia, w drodze do pracy, Zahatny przeżywał te same kłopoty: trzeba było wymieniać ukłony. Po pierwsze, nigdy nie mógł spamiętać, kto jest kim. W redakcji, w instytucjach, które odwiedzał, w klubie twarze przepływały obok niego, jak na ruchomych schodach metra, nie odciskając się ani w pamięci, ani w sercu; do tego trzeba choćby minimum zainteresowania. A tego Iwan nie okazywał. Żeby znać masy, starczy wyodrębnić kilka standardowych typów; jeszcze w wojsku z powodzeniem przestudiował te standardy. Wychodziło więc na to, że Iwana znali wszyscy, on zaś rozróżniał najwyżej kilku najbardziej charakterystycznych osobników, nie licząc oczywiście kolegów z redakcji i rejonowego naczelstwa. Ale małomiasteczkowy obyczaj to potęga. Znajomy, nieznajomy — ukłonić się trzeba. Stąd wziął się ów starannie opracowany, niepowtarzalny ukłon. Jeszcze dziś starzy terechowianie z lubością usiłują go naśladować, kiedy przy świątecznym stole, po kilku głębszych wspominają chlubne karty z przeszłości miasteczka. Była to genialna synteza specyficznej demonstracyjnej grzeczności i jakiejś wsłuchanej w siebie powściągliwości. Miało to oznaczać: zapamiętajcie sobie raz na zawsze, że żyję wśród was, chodzę do pracy tymi samymi, co wy, zakurzonymi ulicami, ale to wcale nie oznacza, że jestem jednym z was. Mój ukłon to tylko maska: oddaje należne uszanowanie waszym obyczajom i tradycjom, ale powinienem wam uzmysłwić rzeczywisty dystans między mną, Iwanem Kyryłowyczem Zahatnym, a Terechówką.

Ale nie tylko ukłony wprawiały Iwana w zakłopotanie. Drugi problem tych porannych godzin to spotykani na ulicy przedstawiciele naczelstwa. Chcąc zachować szacunek dla siebie, należało korzystać z typowego wzorca: chłodne oblicze, lekko pochylona głowa, zamysłony wzrok nieuważnie prześlizgujący się po przechodniach. Łatwo powiedzieć! Sam przed sobą wolał się nie przyznawać, jak ciężko było zastosować to w praktyce. Prawdopodobnie działał tu jakiś niekontrolowany odruch: maluczcy zawsze lgną do mocnych tego świata jak mokry śnieg do buta. A może był to stary nawyk — jeszcze z wojska.

Jakby to nie wszystko jedno, kto cię akurat mijają: terechowski dostojnik czy szary człowiek. Wszyscy na jedno kopyto. Z całej siły zaciskała usta, nie pozwalając wargom rozciągać się w dwuznacznym uśmiešku, przymykała oczy, nie chcąc, aby pojawiła się w nich nawet iskierka przypochlebnego ciepła. Niby że z wami sztafka, jesteśmy równi, choć teraz o tym ani mru-mru, niby że tylko my znamy wartość tego, co się tam kłębi daleko, w dole, pod naszymi stopami. Też mi solidarność! (Takie myśli bardzo gnębiły Iwana, który głęboko pogardzał każdą zwierzchnością, a siebie uważał za jednostkę wybitnie niezależną.) Starał się nie kapitulować, wygrać ze sobą. Na widok przewodniczącego czy sekretarza komitetu rejonowego przybierał jeszcze chłodniejszy wyraz twarzy i ledwie dostrzegalnie skłaniał głowę, jakby rzeczywiście kłaniał się tylko z łaski — wszystko zaś ze strachu, by nie ulec temu drugiemu Zahatnemu, który tylko czyhał na chwilę jego słabości. Widząc takie demonstracyjne lekceważenie, dostojnicy oczywiście czuli się urażeni, i nie dziwota: jak wszyscy u nas, byli to ludzie prości, otwarci, o nieco patriarchalnym usposobieniu.

W końcu, zmęczony tą niemal pięciominutową nerwowką (droga ze stołówki do redakcji zajmowała cztery i pół minuty, zostawało jeszcze trzydzieści sekund na przejście podwórza i otwarcie drzwi), Iwan dopadał redakcyjnej furtki i przez dziesięć kroków (aż do morwy, gdzie znów stawał się obiektem spojrzeń kolegów) mógł należeć do siebie.

Z wdzięcznością przyjmował od losu tę chwilę wytchnienia. Dopiero teraz, zrzuciwszy na moment królew-

ską purpurę, mógł naprawdę rozkoszować się urokiem poranka: dostrzegał niebo, jeszcze nierozpalone, błękitne, świeże, wylewającą się na ścieżki fioletową, różową i białą pianę astrów, delikatny ażur nasturcji jakby stworzonych, aby chwytać słoneczne promienie i przywabiać trzmiele. Na wąskich jak lance listkach perzu srebrzyła się rosa. W trawie pod morwą myszate wróble dziobały przejrzałe jagody. Był to przelotny, ale jakże orzeźwiający powiew czegoś wielkiego i bardzo prawdziwego, krótki antrakt, regenerujący siły po pierwszej odsłonie codziennego spektaklu. Przez te kilka sekund myślał wyłącznie o przyszłej książce (założenia ogólne rysowały się całkiem przyjemnie). Przeczynał niepowtarzalne, płodne chwile natchnienia, gdy zostanie sam w chłodnym pokoju, pochyli się nad białą kartką i zacznie dziergać na niej czarną plecionkę myśli i obrazów. *...daje nurka w ludzkie mrowie, dokoła tłok, rwetes, chce udowodnić, że miernotą być łatwo, ale oni i tego nie potrafią, nie nadają się nawet do swojej bezmyślnej, roślinnej egzystencji, są marni w swojej marności; przerywa spocony krąg, zawiązują mu oczy chustką, uśmiecha się pogardliwie i...* Ale to potem, może w przerwie obiadowej, teraz czekają na niego. Oto oni — Dziadźko, Memłak, Huźwa, Mołochwa, Priśka, Uła — już go dostrzegli, nie spuszczają z niego oczu, zaraz się z nimi przywita, antrakt się kończy, trzeci dzwonek, czas na scenę. Cały urok tych dziesięciu kroków to owo cudowne poczucie jakiejś tymczasowości i niekonkretności. Już na niego czekają. Cóż, bierzcie mnie, rozpinajcie na krzyżu przez siedem roboczych godzin, ale nawet się nie domyślacie, że to nie ja, że to tylko mój cień, ja sam od dawna tkwię w mojej powieści, tam mogę widzieć was takimi, jacy jesteście naprawdę. To dla was zupełnie nieosiągalne wyżyny, za bardzo jesteście przyziemni, widzicie mój kpiący wzrok...

— Dzień dobry, towarzysze!

Oni rozmawiali z ożywieniem, śmiejąc się, pogryzając pestki na przemian z najnowszymi ploteczkami. Chłodna powściągliwość Iwana przecięła jak lancet nastroj bezpośredniości, śmiech zamarł, rozmowy ucichły. Może to o mnie tak plotkują? — pomyślał. Czyżby już zdążyli się dowiedzieć o wczorajszej rozmowie z Ludą?

Niech tam... Wobec tego, czego dziś ma zamiar dokonać, całe to bagno...

Otworzył zamknięty na klucz sekretariat. Z głośnika na placu dobiegło urywane pikanie: ósma.

Po raz pierwszy, odkąd zaczął swoje terminowanie w redakcji, Memłak witał początek pracy nie jak codzienne święto, ale ciężki obowiązek. Nie tak uciążliwy wprawdzie jak studenckie praktyki w szkole — wtedy szedł na zajęcia jak na tortury: nie umiał sobie poradzić z młodzieżą, szóstoklasiści nabijali się i z niego, i z jego nazwiska. Teraz jest lżej; trzeba po prostu pogodzić się z nieuchronną koniecznością: cztery godziny pracy, przerwa na obiad, potem jeszcze trzy godziny — i już jest wolny; aż do następnego dnia może należeć wyłącznie do siebie, zajmować się córeczką i Martą. W sumie było to nawet dość przyjemne, tak pracują prawie wszyscy, teraz będzie ich częścią, roztopi się w masie, to bardzo kojące, nikt nie będzie nad nim wydziwiał, że tyra jak głupi, że całymi wieczorami ślęczy nad kilkuwierszowymi notkami, które inni produkują na poczekaniu... Będzie jak wszyscy, beztroski, obojętny. Jak wszyscy... Magiczne słowo. I jakiś łaskoczący chłodek w piersi, wystarczy tylko nachylić się i zajrzeć w czarną otchłań, człowiek może się toczyć, toczyć i nie sięgnąć dna. W nocy naprawdę się przeląkł: a gdyby tak nagle zniesiono wszystkie tabu — wszystko wolno, wystarczy tylko zapragnąć. Szedł do pracy jak wojownik przez podbite, lecz jeszcze nie rzucone na kolana miasto. W takim nastroju ludzie wyrabiają sobie nazwisko, zyskują wysokie apanaże, dobre posady. Czemuż by on, Andrij Memłak, miał być gorszy? Z powodu jakichś staroświeckich zasad? Marta ma rację, nie stać ich jeszcze na zasady, zwłaszcza że ta cała sprawa to przecież drobiazg. Inni żyją jak w puchu, a i to, jak przyjdzie co do czego — uszy po sobie i morda w kubeł. Tak powiedziała. I ma rację. Tylko w nocy wszystko wydaje się straszne, tragiczne. A rano — drobiazgi niewarte uwagi.

— Z głowy mi nie wychodzi ten cholerny szczeniak — powiedział przy śniadaniu. — Jakoś głupio tak

się załgiwać. Jakbym ze względu na mieszkanie chciał się podlizać naczelnemu.

Powiedział to lekko, trochę żartem, nie wspominając ani słowa o czarnej przepaści, w którą tak łatwo się stoczyć: wystarczy tylko zrobić jeden fałszywy krok.

— Możesz mnie uważać za drobnomieszczankę; mężczyźni zawsze lubią rozprawić o swojej uczciwości, ale o domowe ognisko, mówiąc obrazowo, troszczą się wyłącznie kobiety. — Zdumiał go jej rozsądek, zrobiło mu się ciepło na sercu. — Mimo to sądzę, że podstawowe zasady obowiązują bez względu na sytuację.

Podstawowe zasady... A przecież naprawdę chodzi o drobiazg. Nasza cywilizacja jest tak urządzona, że człowiek musi rezygnować z jakiejś części samego siebie. Bez tego jakiegokolwiek współżycie z innymi byłoby niemożliwe. Wszyscy do tego przywykli i nikt się już nie dziwi. Naiwność nie popłaca. Łyso mu będzie się przyznać, że stracił dobrą pracę i przefujarzył szansę na mieszkanie z powodu jakiegoś parszywego kundla. Nawet geniusze nie wstydzili się wychwalać niezdarnych strof partaczy: partacze są mściwi. Pędziwiatr, nie da się ukryć, zwykły życiowy partacz. Kto mu każe robić z siebie bógwico? Na co to komu?

Po raz setny powtarza to sobie, upajając się logiką i trzeźwością swojego rozumowania! Na ławeczce pod morwą siedzą kumple. Wszyscy takie kryształ? Dziadźko płaszczy się przed naczelnym, aż się rzygać chce, choć on, Memłak, naprawdę potrafi dużo zrozumieć. Mołochwa chyżo wskoczył na miejsce brata, żeby w razie czego łatwiej się urządzić — może faktycznie będą likwidować rejony. Huźwa — no, ten jeszcze zielony, ale też ma swój spryt. Słyszy, jak trawa rośnie, ale słówka nie piśnie, gdzie nie trzeba. W końcu nikt nie będzie działał przeciwko sobie. Iwan... To zupełnie inna sprawa. Naprawdę uczciwy i pryncypialny facet, nikogo się nie boi, nikomu się nie podlizuje. Ale to znakomitość, która przypadkiem trafiła do Terechówki, nie jemu, Memłakowi, się z nim równać. Iwan może sobie pozwolić na luksus uczciwości i pryncypialności. No i dzieci mu w domu nie płaczą.

No proszę. O wilku mowa... Miło spojrzeć: postawny, mina poważna. On, Memłak, nie ma już mleka pod nosem, ale czasem chciałby chociaż troszeczkę być po-

dobny do Iwana Kyryłycza. Ciekawe, jak sekretarz oceni jego reportaż: szefa rano nie będzie, więc tylko on przeczyta; jasne, to i owo poprawi, Zahatny nawet Pędziwiatrowi czasem podkreśla błędy stylistyczne, a to przecież pierwszy duży reportaż, człowiek się denerwuje jak przed państwowym egzaminem. Memłak załamuje długie białe palce i jako ostatni wsuwa się cichaczem do redakcji. Przesiąknięte nikotyną pokoje już nie przypominają mu świątyni, przed którą miałoby się ochotę nabożnie zdjąć kapelusz. Chwała Allahowi, przyszedł tu tylko do pracy... Sprawa reportażu na chwilę rozwiązała ponure rozmyślenia o tym parszywym szczeniaku, oby mu w nocy myszy uszy poobgryzały...

— Towarzyszu Memłak — ryje się w papierach Zahatny. — Tu zaplanowano wasz reportaż. Proszę na taśmę.

Znacie już państwo dalsze losy wszystkich moich bohaterów. Tylko o Andriju na razie nie mówiłem. I nie bez racji. Taką już mam naturę: wszystko musi być ściśle udokumentowane, żadnych nie sprawdzonych historii. Memłak nie z tych, co stale wypływają na wierzch i są wciąż na widoku. Bezszerowito dał nura w głuchą, deskami zabita prowincję; pewnie spokojnie dożyłby tam emerytury, gdyby nie prasa. Któremuś z rejonowych pismaków trafił się wdzięczny materiał, co rozślawiło towarzysza Memłaka w całym okręgu i nie tylko.

Andrij opuścił Terechówkę w miesiąc po owej nieszczęśliwej historii ze szczeniakiem. Nie był to jedyny powód. Faktycznie, przy takim szefie jak Pędziwiatr i przy takim sekretarzu redakcji Memłak nie miał żadnych szans. W jednym z północnych rejonów okręgu otwierano nową szkołę z internatem, nauczycielom — jakżeby inaczej! — zapewniano mieszkanie; no i proszę — leśne ostępy, cichy chutor, liryka, romantyka... i mieliśmy kolegę z głowy. Na parę lat słuch o nim zaginął. Wczoraj otwieram ja okręgową gazetę, a tam reportaż o wzorowym nauczycielu. Okazuje się, że Andrij rozwinął w internacie niesłychanie ożywioną działalność: sadi wraz z uczniami drzewka owocowe, prowadzi kółko literackie, kompletuje biblioteczkę literatury współczesnej z dedykacjami mistrzów słowa (à propos, wśród otrzymanych darów znalazł się także tomik Iwana Zahatnego, zaiste, niezbadane są losy książek...). Od razu pomyślałem, że trzeba będzie w swoim czasie posłać Memłakowi także i tę książeczkę, ale przypomniałem sobie o swoim gardle i... Widać mi nie pisane zadziwić świat moją alchemią słowa. Krótko mówiąc, wi-

dać, że Memłak to właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Muszę powiedzieć, że akurat tutaj nie ma się czemu dziwić. Jeśli idzie o Memłaka, trzeba zdobyć się na to, aby poprzez zewnętrzną powłokę — figurę, twarz, nieszkodliwe dziwactwa, nawet to nieszczęsne nazwisko — aby poprzez to wszystko dostrzec jego duszę. Zahatny nie umiał, a może i nie chciał się na to zdobyć, wnioski, jakie musiałby wyciągnąć, byłyby zaprzeczeniem jego życiowej filozofii. Ale nam było trochę smutno, gdy Andrij opuszczał Terechówkę. Choć nieraz kpiliśmy sobie z niego — taka już obrzydliwa ludzka natura — przez te trzy miesiące zdążyliśmy się zaprzyjaźnić.

Tak więc mogą państwo być spokojni o dalsze losy naszych bohaterów. Ale nie tylko dlatego wspomniałem o sukcesach Memłaka na pedagogicznej niwie. Proszę nie zwracać uwagi na mój trochę ironiczny ton. Szczerze mówiąc, zazdroszczę Andrijowi. Zwłaszcza w mojej sytuacji. Jeśli człowiek sprawdzi się w pracy, można powiedzieć, że osiągnął połowę szczęścia. Ale przypuszczam, że w domu też mu się jakoś układa. Reporter wspomina także o jego żonie: Marta uczy matematyki w nowej szkole. Wyobrażam sobie zaciszne domki przy kasztanowej alei (w gazecie jest nawet taka ilustracja), widzę pierwszy szron na aksamitkach, słyszę szelest złotych liści pod nogami. Andrij z Martą odprowadzają córeczkę do przedszkola. W powietrzu pachnie jesienią, Oksana ściska w rączkach kasztany, i cała trójka kroczy na spotkanie dziecięcego gwaru...

Sielankowy obrazek. Moja żona tylko by się uśmieła: sielanką chleba nie posmarujesz, a do najbliższego miasta pewnie z pięćdziesiąt kilometrów pełną drogą. A u nas i okrąg pod nosem, i do Kijowa eleganckim asfaltem dwa kroki. Ale... życie jakoś przeszło i takiej sielanki człowiek nie zaznał; teraz trochę zazdrość, przykro.

Może zbyt wcześnie przyjąłem założenie, że lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu. Czasy były niepewne, wszyscy gadali, że jedna trzecia rejonów ma ulec likwidacji, gdzie się zahaczyć po drugim roku uniwersytetu: pismaków wszędzie jak mrówek, a poza tym mało który szef zaocznego zatrudni. Z Terechówki też się nie chciało wyjeżdżać: miścina zaciszna, życie wygodne. Zresztą już wtedy znaleźliśmy się z moją przyszłą.

Poglądy na życie mieliśmy podobne, charaktery też, jak się to mówi, pasowały. Bibliotekę prowadziła żona lekarza rejonowego, z moją one jakieś tam przyjaciółki. Lekarz chytrze, jeszcze zanim rejon zlikwidowali, drapnął z Terechówki, a ja dostałem miejsce po jego żonie...

Żeby nie wiem jak kręcił, próbował się oszukiwać, zawsze w końcu się okaże, że jedyne, co naprawdę ma dla mnie jakąś wartość, to te nieskładne zapiski, które na pociechę nazywam powieścią. Z początku traktowałem to jak zabawę, ucieczkę od prowincjonalnej nudy i głupiej roboty, potem sprawa zaczęła robić się poważna, teraz widzę, że wkładam w to pisanie całego siebie i że jest to jedyny mój ślad na ziemi. Śmieszne, ale i tragiczne. Co tu udawać: człowiek, który stoi nad grobem, nie stroi min i nie udaje. Boję się tylko, że więcej tu będzie o mnie niż o moich bohaterach; staram się uwiecznić nawet najdrobniejsze drgnienie duszy, wszystkie ważne momenty życia. Niewiele ich zresztą. Ale mam świadomość, że lada chwila to wszystko pogrąży się wraz ze mną w wieczną otchłań czasu i jest to jedyna szansa, aby pozostawić na ziemi choćby nikły cień. Turyci też chyłkiem ryją swoje inicjały na słynnych zażytkach w nadziei, że może za tysiąc lat ich ślad odbije się w czyichś oczach: „Byliśmy tu...” I szereg nazwisk „Ja też tu jestem”, piszę, a u dołu tylko: „Mykoła Huźwa...”

Widzieli państwo kiedy paradny wojskowy pogrzeb? Przed trumną i wieńcami koledzy zmarłego niosą na aksamitnych poduszkach ordery i medale. Chciałbym, żeby mnie też tak chowano. Jeśli zarobię na sławę u potomności, niech przyjaciele w uroczystym milczeniu niosą przed żałobnym orszakiem moje książki. Ale nie zarobię. Nie wiem nawet, czy zdążę skończyć moją pierwszą i ostatnią powieść. Żono moja wierna! Zanim odejdę, przeczytam ci te kartki, które tak ukochałem. Zapiszę ci je w testamencie. Niech moi koledzy z biblioteki z dumą poniosą je przed moją trumną przez milczące ulice Terechówki: „On nie zmarnował życia! Dopiero zaczął, a ile jeszcze mógłby zrobić!”

Iwan czytał reportaż Memłaka. Od czasu do czasu wargi jego wykrzywiał pogardliwy uśmiech: niektóre

fragmenty raziły prymitywnością, inne były wręcz prostackie i naiwne, wszędzie roilo się od obcych wyrazów. Jakiś sens w tym wszystkim jest, jak na rejonową gazetę to nawet może być — pomyślał — ale sporo trzeba zmienić. Zaczął wprowadzać poprawki. Skreślał starannie wykaligrafowane linijki i całe akapity, bez namysłu wpisując obok nowe. Nerwowy posiew Iwanowego pióra szczerze wschodził na Andrijowym polu, zacierając pierwotną nieudolność i naiwność. Wprost nie do wiary, jak ludzie nie umieją elementarnych rzeczy — myślał Zahatny i kreślił dalej, odkładając stronę za stroną, poprawione, wyczyszczone, tylko oddawać na maszynę. Zmieniały się tematy i charaktery pisma, pojawiały się nowe nazwiska, ale wszystko było tak samo nieudolne. Wieczne pióro wprawnie ślizgało się po linijkach, rosły wielopiętrowe konstrukcje: on był i architektem, i murarzem — reszta to tylko podręczni. (To właśnie nazywało się u nas w redakcji taśmą).

W umyśle sekretarza już się rysował kształt przyszłego numeru: poprawione i niemal na nowo napisane materiały, wymyślone tytuły, własnoręcznie wykreślone makiety. Nie narzekał na ogrom zwałonej na niego pracy: proszę bardzo, możecie jeszcze dołożyć, wytrzymam, poradzę sobie, ciekawe, jak byście wyglądali beze mnie? W końcu nadejdzie ta wymarzona chwila, pomacham Terechówce z okna autobusu. Może chociaż wtedy uświadomicie sobie, ile jestem wart. Zresztą, jakiej podzięki może się człowiek spodziewać? Świat najpierw go na proch zetrze, dopiero potem okaże wdzięczność, padnie na kolana i będzie wznosić modły. Dialektyka. Wywołał maszynistkę:

— Tu są materiały z moimi poprawkami. Proszę przepisać i przygotować do druku.

To wszystko. Jak najmniej słów. Tak samo w powieści: budować tylko szkielet, żadnej liryki. Teoria góry lodowej. Czas, w którym żyjemy, to era przypowieści. Dać kłębek, niech każdy sobie mota, jak potrafi. Terechówka, duchota, tłum i samotna indywidualność. Wziął leżącą przed nim gazetę, jeszcze raz przebiegł wzrokiem podyktowany wczoraj wstępniak. Niby nic, a brzmi jak potężna orkiestra. Wielka jest siła zorganizowanego słowa. Zorganizowanego. Uszeregowanego w kolumny, odwody. Iwan Zahatny — dowódca. Dowódca słów.

— Uła, proszę zwołać towarzyszy na kolegium!

Memłak snuł się pod drzwiami sekretariatu nerwowo wyłamując sobie palce, co chwila wypijał kilka łyków wody: odkąd reportaż poszedł na osławioną taśmę, nie mógł sobie miejsca znaleźć. Pewnie za chwilę Iwan wezwie go do siebie. Dotychczas nigdy nie wzywał, ale zawsze chodziło o jakieś wzmiarki i korespondencje, a to przecież reportaż, utwór prawie literacki. Wreszcie maszynistka wyniosła z sekretariatu stos papierów, siadła do maszyny. Redakcyjne żółtodzioby, które jeszcze przemawiały się tym, co stworzyły, rzuciły się na swoje materiały. Reportaż leżał na samym spodzie. Memłaka zatknęło. Wszystkie najlepsze fragmenty, które tak pracowicie cyzelował, pieczołowicie dobierając słowa, zniknęły. Ale w miarę jak czytał, zaczynał sobie uświadamiać, że wyrzucono tylko wiecowy patos, upiększenia, banalne dialogi, które jemu samemu zdawały się jakieś dwuznaczne. Zastąpiły je szczodrze rozsiane ręką sekretarza celne, prężne akapity, a nawet całe strony. Całość została skrócona do połowy. Trzecią część z tego, co zostało, napisano na nowo, jedną trzecią poprawiono, wiążąc ze sobą poszczególne akapity. Tylko gdzieś pod przekreśleń i uzupełnień wyłaniały się oryginalne fragmenty i poszczególne słowa.

Wzywano na kolegium. Andrij ścisnął rękopis w spotniałej dłoni i pobiegł do sekretarza.

— Wy dokąd? Mam polecenie to przepisać! — wrzasnęła za nim maszynistka.

— Towarzysza Memłaka „taśma” zdenerwowała — zachichotał Mołochwa, żegocząc liczydłem. — Ani chybi, skoczą sobie do oczu...

Zajęli miejsca. Iwan uniósł wzrok i omiótł nim ścianę nad głowami kolegów, gdy przeciągle, ostro zadzwonił telefon.

— Z komitetu rejonowego, towarzysz Pędziwiatr — zawyrokował Dziadźko, który po sygnale zgadywał, kto dzwoni: rozmowy łączyła telefonistka z centrali i energia, z jaką kręciła korbką, zależała w jakiejś mierze od rangi i stanowiska zleceniodawcy. Ni stąd, ni zowąd Memłak pomyślał: jeśli to nie szef, dzień skończy się szczęśliwie, wszystko samo się ułoży. Ale korektorka już podawała słuchawkę Zahatnemu:

— Borys Pawłowycz...

Memłak poczuł gorycz, jakby taki drobiazg rzeczywiście mógł wpłynąć na bieg wydarzeń.

— Tu Pędziwiatr... Gratuluje, Kyryłowyczu! — wrzeszczała słuchawka, aż echo niesło się po pokoju. — Górą nasi! Teraz nie mam czasu, akurat przerwa w zebraniu, przyjadę, opowiem. Nasz wstępniak odniósł gigantyczny sukces! Sam pierwszy na głos przeczytał go wszystkim! Kazał dodrukować jeszcze trzysta egzemplarzy, rozdać delegatom, niech jadą w teren i w każdej wsi organizują głośne czytanie. Proszę zaraz dać polecenie drukarni. Wszyscy mi gratulują — zachłystywał się Pędziwiatr. — Pierwszy wyraził się dosłownie: z sercem napisane, z pełnym zaangażowaniem. Cześć pracy!

Iwan nie zdążył nawet ust otworzyć, w słuchawce coś trzasnęło i rozległ się przerywany sygnał. Memłak nie spuszczał oczu z sekretarza. Surowej twarzy Iwana nie rozjaśnił nawet promyk radości, przeciwnie, usta wygięły się jakby z obrzydzeniem. Nawet słuchawkę trzymał niedbale, trochę odsuniętą od ucha, jakby nie mogąc się doczekać końca tych wszystkich bzdur. Całe jego zachowanie wskazywało, że nigdy nie wątpił w absolutną genialność swojego materiału, ale że ten kameralny sukces zupełnie go nie interesuje. Andrij poczuł jakby cień urazy do swego bożyszczka — Iwan nie powinien aż tak demonstracyjnie objawiać swojej obojętności wobec pochwał pierwszego sekretarza. Przez chwilę wyobraził sobie, co by on, Memłak, zrobił na jego miejscu. Poczł, że w głowie mu się kręci. Nie, ta obojętność Zahatnego była rzeczywiście zniewagą dla niego, Memłaka.

— Pozwolicie, Iwanie Kyryłowyczu? — odezwał się Dziadźko. — Proponuję dzisiejszy artykuł wstępny wywiesić na tablicy najlepszych materiałów i wypłacić autorowi podwyższone honorarium.

— Wpłynęła propozycja, żeby dzisiejszy wstępniak wywiesić na tablicy najlepszych materiałów i wypłacić autorowi podwyższone honorarium — bezstronnie powtórzył Zahatny. — Kto jest za? Kto przeciw? Nie widzę. Propozycja została przyjęta jednogłośnie.

No wstań, odezwij się — podjudzał sam siebie Memłak. — Choć raz zerknij w tę czarną otchłań. Inni jakoś potrafią, dlaczego ty byś nie mógł? Podlizesz się Zahatnemu, wspomnisz naczelnemu o szczeniaku, że taki

klawy, lada dzień zwolni się stanowisko kierownika działu, wtedy i oni o tobie nie zapomną, spróbuj...

— Towarzysze — powiedział wstając. Pocił się, nerwowo wyłamywał chude palce. — Zdaje mi się, że byłoby pożyteczne, zwłaszcza dla nas, młodych dziennikarzy, przeprowadzenie seminarium na podstawie wstępnego artykułu Iwana Kyryłowycza...

Nie poznawał swego głosu. Jakby mówił ktoś zupełnie obcy.

— Wstępniak powstał w ciągu kilkunastu minut, bo musiał znaleźć się w numerze. I bez tego mamy na czym się uczyć — przerwał ostro Zahatny. Błady jak kreda Andrij opadł na krzesło. Ktoś parsknął śmiechem, chyba Mołochwa pod ścianą. — Przystępujemy do rzeczy. Kolumna pierwsza. Wstępny — pisze naczelny, kronika rejonu — materiał organizuje towarzysz Dziadźko, termin: jedenasta dwadzieścia, towarzysze, notujcie czas, dziesięć minut później — nie przyjmę, sprawozdanie ze stanu prac polowych — towarzysz Memłak, termin: jedenasta. Kolumna druga... trzecia... — rzucał krótko, jakby dyktował rozkaz o dyslokacji wojsk w przededniu decydującej bitwy. — Kolumna czwarta — reportaż towarzysza Memłaka, przepisać i czytać do dwunastej, obok — przegląd międzynarodowy i stałe rubryki: jak spędzać wolny czas, porady ogrodnicze... Są pytania? Propozycje do następnego numeru proszę zgłaszać kierownikom działów. Na tym kończymy.

Wszyscy podnieśli się i w milczeniu zaczęli się rozchodzić — mężczyźni pod morwę, zapalić po nasiadówce, słaba płeć — do zecerni, przewietrzyć najświeższe terechowskie ploteczki. Na środku pokoju został Memłak z reportażem w ręku.

— Macie coś do mnie, towarzyszu Memłak? — Zahatny uśmiechał się uprzejmie. Andrij założył ręce do tyłu i wyprostował się. Początkowe zmieszanie gdzieś znikło, czuł tylko niepokój i lekkie ssanie w dołku, jak w lądującym samolocie.

— Iwanie Kyryłowyczu, wiecie, jak was... jednym słowem, jako dziennikarz jestem dopiero początkujący, ale... Nie mogę sygnować swoim nazwiskiem poprawionego przez was materiału...

— Martwicie się o sławę u potomnych?

— Iwanie Kyryłowyczu, to nie jest mój reportaż.

— Sądzę, że przysze pokolenia wybaczą wam moje poprawki. Wszyscy wielcy kiedyś debiutowali.

— To już nie są poprawki, Iwanie Kyryłowyczu. Wybaczcie, ale... Napisaliście nowy reportaż. Mojego tam nic nie zostało.

— A, o to chodzi... Niezdara Zahatny podstępnie wypiera geniusza Memłaka. Jeszcze jeden wariant znakomitej komedii o Mozarcie i Salierim. Zważcie jednak, że oryginał idzie do archiwum i nawet za tysiąc lat entuzjaści waszego talentu będą mogli odtworzyć wasz tekst, tak jak dziś rekonstruuje się starożytne freski. Innych jakoś moje poprawki urządzają, tylko was nie, towarzyszu Memłak...

— Staralem się o tę pracę nie dla pieniędzy, Iwanie Kyryłowyczu. Na chleb mógłbym i w szkole zarobić. Chcę być dziennikarzem.

— Mówiąc między nami, dziennikarzem to wy nigdy nie będziecie, towarzyszu Memłak. Taka jest prawda: jeszcze kiedyś podziękujecie mi, że wam otworzyłem oczy. Facet, który pół dnia poci się nad ośmiowersową wzmianką, nigdy nie będzie dobrym dziennikarzem — Zahatny uśmiechnął się chłodno. — Fujara z was, towarzyszu Memłak. Miernota. Im prędzej to sobie uświadomicie, tym lepiej dla was. Kto jak kto, ale wy naprawdę nie powinniście występować przeciw moim poprawkom. To delikatnie mówiąc, nietakt... I nie ma sensu popadać w histerię, nie ze mną te numery...

Biały jak kreda Memłak odwrócił się na pięcie i wyszedł z sekretariatu, nie zamykając za sobą drzwi. Jego ciężki krok długo dudnił przez sąsiednie pokoje, wysoka zgarbiona sylwetka przepłynęła za oknami, obok siedzących pod morwą palaczy. Iwanowi zrobiło się żal Memłaka i siebie, ogarnął go wstręt i niechęć do życia. Poprawił krawat, przechylił się przez parapet:

— Towarzysze, papierosa...

Pierwszy podskoczył Dziadźko. Zahatny zasepił się: nie miał ochoty brać akurat od niego.

— Z filtrem nikt nie ma?

Z filtrem miał Huźwa. Iwan przypalił, podziękował, odszedł w głąb pokoju. I nagle cały wczorajszy zatruty papierosami dzień wezbrał mu w duszy, zrywając tamę przysięg i twardych postanowień. „Pętaku, gdzie twoja silna wola, od dziś zaczyna się nowy Zahatny, to twoja

ostatnia szansa, ile razy można się rodzić i znowu umierać. Trzeba było załatwić Memłaka krótko: »Proszę sobie to zabrać«, i zastąpić reportaż innym materiałem. A on całą mowę założył, nie wiadomo, o czym... Barbaryńca. Z takimi trzeba twardo, niegdyś pustelnicy umieli okiełznać swoje żądze i namiętności, to jedyna metoda...» Zaciągnął się głęboko i odwróciwszy się do ściany przytknął żarzący się papieros do ręki, trochę powyżej przegubu. „Nie pleć głupio i niepotrzebnie. Nie pleć głupio. Nie pleć...” Na ścianie zawirosowały różowe kręgi. „Bądź bezstronny, jak Bóg. Bądź bezstronny...” W powietrzu rozszedł się swąd spalénizny... Wciągnął głęboko powietrze, oderwał niedopałek, dmuchnął na ranę. Spod popiołu lypnęło martwe oko spalonej skóry. Białawe jeziorko obok trzech różowosinych blizn. Jak nie da rady inaczej, spali całą rękę.

Cisnął niedopałek za okno i podszedł do stołu.

Sporo zastanawiam się nad sobą, nad Memłakiem i coraz wyraźniej krystalizuje się we mnie jedna myśl: nic nie byłoby straszne, żadna otchłań, żaden upadek, gdybyśmy się urodzili nieśmiertelni. Boję się tej ostatniej minuty, gdy człowiek przestaje się już oszukiwać, gdy widzi, że król jest nagi. Boję się ostatniej, okrutnej prawdy: lata zeszyły na uganianiu się za ułudą, a życie przeleciało między palcami. Boję się, żeby na chwilę przed śmiercią nie stracić szacunku dla siebie.

Odkąd się dowiedziałem, że jestem skazany, zacząłem linieć. Nie ma dnia, żeby nie spadł mi do stóp kolejny, lśniący strój, rozsypując się w proch: kariera, spokój, bezpieczeństwo, pieniądze, nawet rodzinna sielanka. Uśmiecham się pobłaźliwie do dawnego Huźwy: za czym się uganiałeś, głuptasie? Nie czuję się winny — żywi myślą o żywych. Ale gdyby mi przyszło na nówo się urodzić albo gdybym jakimś cudem został uleczony, inaczej ułożyłbym sobie życie. Ani przez chwilę nie zapomniałbym o tej ostatniej minucie, która prędzej czy później musi nadejść. Strasznie jest umierać, gdy człowiek pogardza sobą.

A zresztą, to co powiedziałem o innym ułożeniu sobie życia, brzmi okropnie szczeniacko, niepoważnie... Zupełnie jak Iwan, który codziennie zaczyna wszystko od nowa. Ale ono zawsze istnieje, to nasze wczoraj, chytre, podstępne, z mackami jak ośmiornica, czai się za naszymi plecami i tylko czeka na najmniejsze potknięcie. Wtedy zachichocze radośnie, zawiruje w szalonym tańcu jak leśny duch i powlecze nas w czarną otchłań, w wirujące kłębowisko, w naszą przeszłość.

Martwię się tylko, czy starczy mi czasu, żeby dokoń-

czyć powieść. Przełykam z trudem, chudnę, tracę apetyt i chęć do życia — tylko pisanie idzie jeszcze jako tako — duszę się po nocach, staram się powstrzymać kaszel, nakrywam głowę poduszką, ale wtedy robi mi się słabo, w końcu kaszel okazuje się silniejszy. Żona też, widzę, zmartwiona, dopytuje się, czy mi nic nie dolega. Coraz częściej nachodzi mnie myśl: może jakiś konował potrafi dodać mi choć kilka tygodni, są przecież lekarstwa, zastrzyki, czy ja wiem co. A jak nie starczy czasu, by dopisać ostatnie stronicę? Kto wie, jak długo potrafię jeszcze pisać; może tak dociśnie, że pióra w palcach nie utrzymam. Wtedy rodzina będzie miała pamiątkę, zeszyty zżółkną gdzieś w szufladach albo po prostu napalą nimi w piecu.

I wszystko, czym byłem, pójdzie wraz ze mną do trumny.

Po chwili jednak lęk mnie ogarnia, a nuż konowały do łóżka wpakują, na ogólnej sali położą, zaczną kłuć, ciąć, do końca zapewniać, że będzie dobrze, i tylko czas stracę, nic nie napiszę. Myślał indyk o niedzieli, a w sobotę łeb mu ścięli. Jakieś głupie przysłowie czy szkolna rymowanka uczepliła mi się głowy i żyć nie daje: myślał indyk o niedzieli... Obrzydliwość. Trzeba być wyższym ponad to. Nie poddawać się.

Wracam do Iwana. Jego stosunki z kolektywem prędzej czy później musiały się przerodzić i faktycznie przerodziły się w konflikt. W tym wszystkim najbardziej gnębiło mnie i dziwiło, dlaczego ten człowiek, który tak bezpardonowo, wręcz maniakalnie bronił własnej indywidualności, nie potrafił znieść obok siebie nikogo, kto choć minimalnie wyrastał ponad przeciętność. Wolał otaczać się miernotą, dla niej umiał znaleźć ciepłe, życzliwe słowo, lubił nawet podać słabszemu pomocną dłoń. Ale najmniejszy kiełek, który usiłował wybić się ponad przeciętność, doprowadzał go do szału. Nie wiedzieć czemu, upatrywał w tym zagrożenie dla swojej indywidualności.

Był przecież kolektyw, zakrzykną w tym miejscu specjaliści od pedagogiki społecznej, była organizacja związkowa. Dlaczego nie starały się jakoś wychować swojego towarzysza? Rzeczywiście. Był i kolektyw, była i organizacja. Ale nic nie wskórały. Zahatny nie był gołowąsem, zresztą i małolata ciężko czasem przerobić.

Tym bardziej chłopca pod trzydziestkę. W dodatku czas nie był sprzyjający; ludzie żyli w niepewności: zlikwidują rejon czy nie? A jeśli tak, to kiedy? Każdy miał dość swoich kłopotów. Zawodowych dziennikarzy u nas nie było, ot, taka dość przypadkowa zbieranina, wszyscy żonaci, dzieciaci; chcesz sobie poprawiać — poprawiaj, byleś nie oklinał i nie kazał przerabiać. Za kanarkami po dachu nikt się nie uganiał. Niech państwo nie myślą, że tylko ja byłem zdania, iż lepszy wróbel w garści. Mimo to nie zdzierżyli, za bardzo im już dopieкло. Jakoś to było pod jesień, pamiętam — nocami przymrozki się zdarzały. Zwołali zebranie, wyszczekali się, połajali, a potem im przeszło. Zahatny milczał, tylko papierosa od papierosa przypalał. W końcu hałas ustał: siedzimy, czekamy, pewnie zaraz zacznie się usprawiedliwiać, samokrytykę złoży. Jak przystało w porządnym towarzystwie. A on siedzi, o głos nie prosi. Wreszcie przewodniczący nie wytrzymał: „Udzielam głosu Iwanowi Kyryłowyczowi”. A on mówi spokojnie: „Nie mam nic do powiedzenia”. Zatkano nas. Tyle wyrzutów, tyle krytyki i nic? Żadnych wniosków? „Co mam zaprotokołować?” pytam. Przewodniczący tylko ramionami wzrusza. Znowu zaczął się szum, no i postawili na swoim. Zahatny wstał, poprawił krawat, założył ręce do tyłu. Mówił grzecznie, spokojnie, był tylko bardzo błydy i marszczył czoło:

— Siedzę tu sobie, rozmyślam... Jak człowiek w piecyku pogrzebie, to niektóre węgielki toczą się aż do drzwiczek. Trochę dymu i po chwili już martwe, nawet odrobiny ciepła nie dają. A inne nie tylko, że same się palą, ale i sąsiednim płomieniom przekazują. Żyją. I dla nich śmierć nie istnieje. Ja właśnie jestem takim węgielkiem, który płonie...

I usiadł. A wy, znaczy się, jesteście tym zgasłym, martwym żużlem. Cytuję dokładnie według protokołu, zachowałem sobie kopię, akurat na mnie wtedy padło protokołować zebranie. No i co, powiesić takiego zarozumiałca? Uchwalono udzielić nagany z wpisaniem do akt i dać miesiąc na poprawę, jak nie, wystąpić do naczelnego o zwolnienie z funkcji sekretarza redakcji. W trzy tygodnie potem przyszło rozporządzenie o likwidacji naszego rejonu... Protokoły związkowe poszły na przemiał albo do pieca, Zahatny wziął sobie tamten na pamiątkę...

Jeszcze jedno. Lubię Iwana, ale nie rozumiem jego poglądu na świat. Niech będzie — jeśli idzie o sztukę, jestem kompletnym analfabetą, nie wzrusza mnie „Poemat o morzu” Dowżenki, ale płaczę słysząc dumkę o bradiadze, wolę proste piosenki niż klasyczne oratoria, nie przeczę — po raz pierwszy usłyszałem o Hemingwayu dopiero od Iwana, nie mam żadnych zdolności, ale czy to ma znaczyć, że należę do jakiejś niższej klasy i można mną tylko pogardzać? Jeśli już koniecznie musi segregować ludzi, to istnieją inne wartości, według których przebiega linia podziału. Czegoś tu nie przemyślał do końca. Rzeczywiście, trzy razy oglądał „Poemat o morzu”, pluł na sentymentalne filmy hinduskie, co wieczór słuchał z redakcyjnego odbiornika koncertów symfonicznych, wybrzydzał na mecze piłkarskie, zaczytywał się Hemingwayem i niewątpliwie miał większe zdolności literackie niż cały nasz zespół razem wzięty. Ale powiedzcie o nim: to dobry człowiek — nie da rady. Nie ob smarowuję go za plecami, nieraz w oczy mu to mówiłem. Prędzej już o Memłaku mógłbym powiedzieć: dobry człowiek, choć prawdę mówiąc trochę nieposkładany i śmieszny, a już zdolności literackich — ani za grosz.

Ja człowiek prosty. Może czegoś tu nie chwytam, może prowincja daje znać o sobie, ale taki już się urodziłem i taki umrę...

Andrij doskonale pamiętał, że idąc przez podwórze widział Dziadźkę siedzącego pod morwą. A tu ni stąd, ni zowąd Dziadźko zastępuje mu drogę koło księgarni: uszy kłapciate, oczka chytre, ani chybi pod kapeluszem różki, a w szpiczastych butach kopytka... Mistyczna sprawa. Każdy by się zdumiał. A jak na człowieka tyle się wali, to i o tym, że przez ogrody na skróty przelecieć można, nie pamięta.

— Andriju Sydoryczu, pogadać chciałem, jak przyjaciel z przyjacielem.

Wziął Memłaka pod rękę. Przecieli ulicę, weszli w cieniste alejki parku, wysadzone żółtą akacją. Usiedli na ławce którą jakaś spragniona samotności parka zaciągnęła w ustronne miejsce. Zajęty swoimi myślami Memłak pozwalał się prowadzić, słowa kolegi docierały do niego z opóźnieniem, jakby z ogromnej dali:

— Mój drogi, dzień dzisiejszy to ważna data w twoim życiu. Otrzymałeś komunię od wielkiego bóstwa, któremu na imię życie. Ucałowałeś krzyż, od dziś będziesz go dźwigał. Pozwolisz, że zrobię małą dygresję teoretyczną. Cóż to jest życie? Pytanie równie stare jak wszechświat. Bez demagogii, przyjacielu, bądźmy ludźmi. Życie to drabina Jakubowa, po której wspinają się najsprytniejsi: ci, co niżej, łapią za pięty tych, co wyżej. Ale ci, co już leżą po szczeblach, to wybrańcy losu. Podstawowa masa, miernota, jak mawia wielce szanowny Iwan Kyryłowycz Zahatny, jest na dole: kłębi się, przepycha, gniecie, bo zanim się wejdzie na drabinę, trzeba się najpierw do niej dostać. To tyle w ogólnych zarysach, przyjacielu. Teraz — twoja pozycja na dziś. Dotychczas stałeś poza kłębem i tylko obserwowałeś walkę. Z zasady nie kupowałeś losów, choć nieraz na twoich oczach padały wygrane. A ludzie patrzą, zazdroszczą. Mimo że wszystkie spojrzenia skierowane są na podnóże drabiny, ludzie widzą, kto gardzi zbiegowiskiem. Tu, bracie, nie ma wyjścia: walczysz — toś wróg, trzymasz się z boku — toś także wróg, bo coś tu nie gra, myślą, albo za psi pazur nas ma, albo przyczał się, luki w tłumie upatruje. Walka o byt! To wynalazek towarzysza Darwina — teraz wszyscy uczeni. Widziałeś kiedy przystanek autobusowy, jak ludzie z pracy wychodzą? Ja widziałem, i to nieraz. Idź, przypatrz się. Nagle, w biały dzień, nie chowając twarzy pod żadną maską, rzucaś się w tłum i puszczasz w ruch łokcie. Tak zrozumiałem dzisiejszą twoją propozycję seminarium nad, bądźmy szczerzy, gołosłownym i niekompetentnym artykułem towarzysza Zahatnego. I to był twój pierwszy błąd. Bo między tymi, co się kłębią wokół drabiny, istnieje swoiste porozumienie. Aha, on stał z boku, Napoleon, Mefisto, świętoszek, myślał, że jest od nas lepszy, czystszy, no to mu pokazemy — i zadcpczą. A ty, jak już cię tak przypiliło, powinienesz być najpierw lukę wypatrzeć i od pierwszego zrywu innych wyprzedzić, wtedy ci, co zostali z tyłu, zaczęliby cię popychać, nie z miłości oczywiście, ale na wszelki wypadek, a nuż uda ci się chwycić drabinę, a wtedy będziesz o nich pamiętał. Między tymi, co już wysforowali się przed cię, a tymi, co zostali w tyle, powstałby rozłam! A to bardzo ważne. Jednym słowem, naiwnie dziś postąpiłeś, naiw-

nie, choć, nie da się ukryć, odważnie. Skok w głęboką wodę — duże ryzyko. Lubię takich. Z drugiej strony, można zapytać: czemu chcę podać ci rękę w tym kłębowisku? To delikatna sprawa. Kwestia uczuć. Możesz uważać to za moją słabość. Gdybyśmy obaj mieli równie daleko do drabiny, zrobiłbym z łokci taki użytek, że oko by ci zbieleło. Ale ty jesteś z tyłu, a ja ponad głowami innych podaję ci rękę. Swoisty humanitaryzm, szlachetność, w dodatku w ciemno, bo w tej ciżbie człowiek nigdy nie wie, kto go przeskoczy. Ale każdy chce uważać się za lepszego, niż jest. Chyba teraz widzisz to jaśniej niż kiedykolwiek. Mogę ci naprawdę dużo pomóc na twojej nowej drodze. Bender z „12 krzesel” znał czterysta metod zdobywania pieniędzy. Ja znam czterysta sposobów, jak pozostać szlachetnym w tej przepychance wokół drabiny. Kiedy ci się poszczęści i złapiesz choćby najniższy szczebelek, zwycięstwo uszlachetni cię w oczach tłumu, te same ręce, które przed chwilą odpychały i szturchały, włożą ci na skronie złocistą aureolę. Wtedy będziesz mógł zapomnieć o czterystu sposobach pozostania szlachetnym, zbędny stanie się niezdatny Dziadźko, który został gdzieś daleko w dole. Myślisz, że mnie to zdziwi? Takie są reguły gry. Trochę to sentymentalne i smutne. W naszej epoce miło jest być sentymentalnym, lubić kwiaty, psy i koty; czytałeś o tym piesku, któremu jakiś uczonec barbarzyńca rozbił łebek o drzewo? Biedne stworzonko. Wszystkie gazety o tym pisały; à propos: sentymentalizm to znakomity sposób, żeby pozostać szlachetnym, znałem faceta, który wcześniej przychodził do pracy, kwiaty, uważasz, podlewał, a przy okazji podkładał szpilki na fotele kolegów, bardzo kochał wszystko, co żyje... A ty dokąd?

Memłak wstał i zataczając się jak pijany polazł przez trawnik w kierunku głównej alei. Żar lał się z nieba. W głowie mu szumiało, nie mógł zebrać myśli; ten poranek był jednak trochę za ciężki. Nigdy nie był zbyt zrywny, lubił pomyśleć, rozważyć każdy drobiazg, a tu tyle naraz się zwaliło, przed oczyma majaczyła jakaś apokaliptyczna drabina, tysiące Dziadźków w szerokich filcowych kapeluszach i czerwonych nylonowych krawatach drapało się w górę... Trzeba to wszystko przetrwać. A może Dziadźko żartował? Zwariować można. Do tego ten wściekły upał od samego rana. Z trudem przypo-

mniał sobie, po co wyszedł z redakcji. Jak zbawienia uchwycił się konkretnie: musi odpisać sobie w komitecie dane o zaawansowaniu prac polowych.

Iwan wszedł do zecerni trzymając w rękę makietę rozkładówki. Maszyna stała, chociaż już pół godziny temu kazał odbić dodatkowo trzysta egzemplarzy numeru. Pomocnik maszynisty, niezgrabny chłopak w za dużych butach i nieprawdopodobnie szerokich spodniach, wyraźnie się obijał.

— Dostaliście polecenie dodruk zrobić? — spytał od progu Iwan.

— Dostałem, dostałem — odpowiedział chłopak, zerkając porozumiewawczo na zecerów. Może się Iwanowi przywidziało — ot, chwilowy atak neurastenii — ale zecerzy uśmiechnęli się zagadkowo. — Zaraz puszcza maszynę... — Ale dalej nie ruszał się z miejsca.

— Wlepię wam naganę — rzekł surowo Zahatny.

— Wiedziałem, że dziś oberwę. Trzyrublówka mi się wysniła... — pomocnik zaszurał buciorami i pozegłował przez zecernię. Przy tym tempie dotarcie do maszynowni mogło mu zabrać najwyżej pół godziny. Zecerzy wybuchnęli śmiechem. Iwan z kamienną twarzą położył makietę na kaszcie i skierował się do wyjścia. Często odnosił wrażenie, że inni wiedzą więcej niż on, a może potrafią lepiej przewidzieć rozwój wydarzeń. W tej chwili zecerzy z wyraźną frajdą wykorzystywali tę swoją wiedzę. Ogarnęły go złe przecucia, widok triumfujących twarzy zepsuł dobre samopoczucie, które już zdążyło wrócić po scysji z Memłakiem. W drzwiach stanął Huźwa:

— Towarzyszu Zahatny, telefon od naczelnego, szybko...

Wydało mu się, że z tyłu rozległ się stłumiony chichot. Obejrzał się. Zecerzy pilnie studiowali makietę. Jak oni to robią? Od razu o wszystkim wiedzą. Przekłete terechowskie bagno! — pomyślał żałośnie i poszedł odebrać telefon.

— Towarzyszu Zahatny! Będziecie się tłumaczyć w komitecie. Przed chwilą sam zameldowałem o tym pierwszemu. Nie mam zamiaru brać na siebie waszych oburzających pomyłek. Uprzedzałem was: nieodpowie-

działny stosunek do pracy prędzej czy później musi skończyć się wpadką.

— Jakoś nie przypominam sobie tych ostrzeżeń... — chłodno odparł Iwan, patrząc w zieleń za oknem.

— Nie przypominacie sobie? Cały kolektyw może poświadczyć! Nie mam teraz czasu na dyskusje, przerwa się kończy. Na razie jeszcze ja wydaję polecenia, a wy macie robić, co każę. Po pierwsze: wszyscy kierownicy działów mają natychmiast jechać na wieś i publicznie przeprosić matkę...

— Wybaczcie — Zahatny z całej siły przycisnął spalone papierosami ramię do telefonu; ból pomagał odzyskać panowanie nad sobą. — Naprawdę nie wiem, o co chodzi.

— Jak to nie wiecie? Cała Terechówka wie, tylko wy nie wiecie. Brygadzistka, która w waszym wstępniaku składa raport o sukcesach i zobowiązuje się przedterminowo zebrać kukurydzę, trzy tygodnie temu zginęła w katastrofie samochodowej. Jak matka to przeczytała, a starowinka ciężko chora, pogotowie trzeba było wzywać. Na razie udzielałam wam surowej nagany, ale uprzedzam, że na tym się nie skończy. Ja...

Iwan trzasnął słuchawką i podszedł do okna. Ostry, gniewny dzwonek powtórnie przerwał ciszę. Huźwa podniósł słuchawkę.

— To jeszcze raz Borys Pawłowycz...

— Proszę powiedzieć, że nie życzę sobie z nim mówić — powiedział Iwan tak, że Pędziwiatr musiał usłyszeć. W słuchawce odezwał się sygnał.

— Kazał wywiesić wstępniak na tablicy buble i wstrzymać wypłatę. — Huźwa ostrożnie odłożył słuchawkę na widełki.

— Wieszajcie — uciął Iwan. Tylko nie dawać nic poznać po sobie. Guzik go to obchodzi. Jest się czym przejmować. Burza w szklance wody. Ani słowa. — Co to ja milicja jestem, żeby rejestrować nieszczęśliwe wypadki. Proszę, mam nazwisko w notesie, miesiąc temu robiłem wywiad, dziewczucha była zdrowa jak rydz, rumiana. Nic nowego, myślę, nie powie; co o lnie, to i o kukurydzy: pracujemy dobrze, będziemy pracować jeszcze lepiej...

Odpowiedzią było milczenie. Po chwili Mołochwa zaczął opowiadać jakąś historyjkę ze swego dziennikarskie-

go życia. Iwan usiadł koło niego; przez chwilę poczuł się jak przy ciepłym piecu w mroźny dzień — beztraska opowieść koła i rozgrzewała. Wszedł Dziadźko. Chyba jeszcze nie wiedział o niczym. Iwan instynktownie poczuł do niego sympatię — przynajmniej jeden, co nie cieszy się z jego klęski. Ni stąd, ni zowąd ubrdało mu się, że cała redakcja ma dużą frajdę z powodu jego głupiej wpadki.

— Towarzysz Memłak wysiaduje jaja w komitecie. Trawa spod niego wyrośnie, zanim całe sprawozdanie przepisze — zaczął już od progu Dziadźko. Musiał być rozeźlony, bo nigdy nie mówił o nikim źle, nawet poza oczy. — Każcie sobie dać egzemplarz — mówię — komitet ma obowiązek dostarczać prasie informacji. A oni: nie uchodzi, inni też przepisują...

Roześmiali się. Jeszcze jedno Memłakowe dziwactwo. Iwan rechotał najgłośniej. Wzbierało w nim rozdrażnienie. Przypomniał sobie wczorajszą przegraną i dzisiejszą nieprzyjemną rozmowę. Nieszczęścia zawsze chodzą parami. A wszystkiemu winien Memłak.

— Przekazaliście mu dział? — z uśmiechem zapytał Mołochwę.

— Też mi dział: jedno biurko, trzy listy od czytelników i plan pracy do końca miesiąca.

— Jakże to tak — zapalił się Iwan. — Nowy kierownik działu i ani atramentu, ani kalendarza...

— W szafie u naczelnego czerwone sukno się poniewiera — podchwycił w lot Dziadźko.

— Weźcie także od szefa ten marmurowy kałamarz. Ja odżałuję kalendarz — Iwan krzątał się gorączkowo, paplał, śmiał się. Cała sztywność, z jaką rano wkraczał do redakcji, znikła bez śladu. Po chwili na stole Memłaka czerwieniło poplamione atramentem sukno, pysznił się biurowy komplet z białego marmuru, terminarz i fioletowa poduszeczka z tuszem. Iwanowi ciągle było mało.

— A telefon? Kierownik musi mieć telefon!

Aparat stał na oknie obok stolika maszynistki. Iwan pośpiesznie rozplątywał skręcone druty, ale za krótki przewód nie sięgał biurka. Trzeba było przysunąć je do okna. Wtedy właśnie w drzwiach stanął Andrij...

(Tu mała dygresja. Zdaje mi się, że epizod z biurkiem jest punktem kulminacyjnym terechowskiej odysei towarzysza Memłaka. Wszystko, co potem nastąpiło, było

W jakiejś mierze pochodną tego momentu. Nawet decyzja powrotu do pracy pedagogicznej zrodziła się właśnie wówczas, choć na to, aby w pełni dojrzała, potrzeba było jeszcze trochę czasu. Trudno przy tym obwiniać nasz kolektyw, Andrij rzeczywiście nie nadawał się do dziennikarki, a pożartować z człowieka każdy lubi. Inna rzecz, że kawał z telefonem był diablo złośliwy, zresztą jak wszystkie pomysły Iwana. Memłak jeszcze nie przyszedł do siebie po podróży, w domu też nie miał lekko, w dodatku ta historia z pieskiem, no i poranna scysja z Zahaćnym, którego dotychczas uważał za swoje bożyszcze. Wystarczyło lekko pchnąć, by w Memłaku zerwały się wszystkie hamulce. Tym prztyczkiem stał się żart Iwana.)

Wolałbym oszczędzić państwu opisu tego, co stało się potem.

Andrij był jednym kłębkim nerwów. Zupełnie przestał panować nad sobą; mam wrażenie, że nie wiedział, co mówi. Iwan usiłował, przynajmniej na zewnątrz, zachować spokój, schować się za ironicznym, pogardliwym uśmieszkiem, ale widać było, że histeryczna reakcja Memłaka zaskoczyła go i przestraszyła. Ja też nie pamiętam dokładnie, co wykrzykiwał Andrij, zdenerwowanie udzieliło się wszystkim obecnym. Pamiętam, że drżały mi ręce. Zbiegła się cała drukarnia. Baliśmy się, że tamci dwaj rzucą się na siebie. Mówiąc między nami, niektórzy żalowali, że Andrij nie nakładł sekretarzowi po ryju, może to by wreszcie nauczyło tego inteligencika rozumu. Ale to już tak na marginesie. Niech państwo nie myślą, że pochwalam takie chuligańskie metody.

Zdarzają się sytuacje, których nie sposób oddać za pomocą zwykłego opisu. Jak mówiłem, z monologu Memłaka zapamiętałem niewiele. Od razu przy wejściu potknął się o przewód telefoniczny. Aparat zleciał ze stołu i potoczył się po podłodze: trzask, hałas, jęki maszynistki, słowem — mała apokalipsa. Memłak stał na środku pokoju i wrzeszczał:

— Wiem, że ze mnie niezdara, miernota. Ale czy to, że jesteście zdolniejsi, daje wam prawo znęcania się nade mną? Całe życie marzyłem, żeby zostać dziennikarzem, ale jeśli wszyscy, co w tym fachu do czegoś doszli, są tacy jak wy, to niech szlag trafi. Takich w kołysce dusić. Zanim jeszcze nauczą się chodzić. Żeby i sobie, i dru-

gim świata nie zasłaniali. Kochałem was, czołem przed wami biłem. Myślicie, że teraz was nienawidzę? Za wielki zaszczyt. Po prostu mi was żal. Ten niewydarzony frajer, którego wszyscy robią w konia, głupi śmieć niewart złamanego grosza lituje się nad wami, utalentowanym intelektualistą Zahatnym. Toż wy sami siebie nienawidzicie. Przeklinacie własną duszę. Ale ona chodzi za wami jak cień. A od własnego cienia nie uciekniesz. Dlatego żal mi was. Ja wyciągnąłem lepszy los, przynajmniej żyję jak człowiek...

(Nie będę streszczać tych bezładnych wrzasków. Głupio to jakoś wyszło i wszystkim było trochę łyso. Tyle że przybity niepowodzeniami Memłak ocknął się wreszcie. Pojął, że prawdziwa godność człowieka tkwi nie w zdolnościach czy intelekcie, ale zgoła w czymś innym, głębszym, bardziej ludzkim. Może w dobroci.)

Ta drobna na pozór sprawa pomogła mu powziąć decyzję, która zaważyła na jego dalszych losach. Iwan zaś... Osłabiony histerycznym wybuchem Memłak cisnął sprawozdanie na biurko, trzasnął drzwiami i wrócił dopiero po przerwie obiadowej. Zahatny miał jeszcze na tyle siły, by pozbierać rozrzucone papiery i zamknąć się w swoim gabinecie.

Ale jego opanowanie już nie budziło mojego podziwu.

Jakoś, proszę państwa, przestaliśmy drążyć w głąb, zdejmować nakładające się warstwy czasu. Zabawmy się teraz w archeologów, którzy ze śladów na małej łopacie usiłują odgadnąć początki świata. Poprzednim razem opowiedziałem państwu „wojskowy” rozdział Iwanowego życiorysu. A co było przedtem? Co kształtowało ten niebyle jaki charakter? Faktycznie, jak u archeologów: im głębiej kopać, tym ciekawsze rzeczy na wierzch wychodzą. Człowiek ma wrażenie, że jeszcze chwila, a ukaże się istota wszechrzeczy. Delikatnie zdejmujemy „warstwę” obejmującą roczny pobyt w koszarach — i oczom naszym ukazują się lata młodości. W swoich zwierzeniach Iwan często wracał do tych dwu lat oddzielających ukończenie technikum od służby w wojsku. Nawet próbował trochę podbarwić je romantycznością.

Dostał pracę w pobliskim mieście. Często przyjeżdżał do domu: rosły, przystojny, w szarym mundurze ze srebrzystymi młoteczkami. Chłopców we wsi jak na lekarstwo, dziewcząt mrowie, więc zaraz: Iwanku to, Iwasiu owo... Niedzielny spacer, w opłotkach babskie szepty: „Czyj ten przystojniak? Jak to? Zahatnej. Przecie to Bawół. To na niego w szkole wołali Bawół? Ano. Pamiętacie, po cmentarzu się włóczył, z wiatrówki strzelał. Patrzcie, jak w górę śmignął. Wygląda jak miastowy — witaj, zięciaszku...”

Świat zdawał się stworzony specjalnie po to, żeby pierwszy kawaler w całej wsi miał gdzie się puszyć jak paw.

Pewnego dnia latem... Tak zaczynają się wszystkie opowiadki. Ale właśnie ta opowieść sprawiła, że zdecydowałem się wspomnieć o młodzieńczych latach Iwana. Zano-

towałem ją w nadziei (któż z nas jest bez grzechu?), że kiedyś napiszę ładne, liryczne opowiadanko. A więc pewnego dnia latem dwie studentki wybrały się w odwiedziny do swoich krewniaków na wsi. Reszta, jak mówią radiowcy, idzie z taśmami... Mówi Zahatny:

„O zmroku koło klubu urządzono potańcówkę. Kurz, śmiechy, piski dziewczyn. Skrzeczy harmonia, strzelają słonecznikowe pestki, łuski lecą pod nogi i na plecy sąsiadów. Studentki trzymają się na uboczku; przyglądają się — wiejska egzotyka. Smukłe, zaubane, cera biała, kiecki jak z żurnala, akcent miastowy. Chłopaki szturchają się, krążą dokoła, ale żaden nie ma odwagi podejść. Poprawiłem pas od munduru, wypuściłem spod czapki fikuśny kosmyk i zamaszystym krokiem zmierzam prosto do nich.

— Pardon — mówię. Cudowny wieczór, prawda? Egzotyka...

Niewiele wtedy czytałem, ale zapisywałem sobie i wkuwałem na pamięć rozmaite kulturalne wyrażenia.

— Cudowny — odpowiadają.

— Panie też w gości? — Niby że ja także nietutejszy i też na wszystko patrzę trochę z góry, z dystansem.

— W gości...

Wysuwam nogę do przodu, ręce wkładam za pasek; tylko zdjęcia pstrykać.

— Kulturalna pustynia...

Cisza. Jakby mnie ktoś szydłem dźgnął. Człowiek chce sobie pogadać, ot, choćby o tym, jak prymitywna musi wydawać się wieś każdemu, kto posmakował życia w mieście, a tu — one ani be, ani me. No, myślę, zaraz wam pokażemy. Roztrąciłem tańczących.

— Dawaj walca! — wrzasnąłem na cały plac.

Akordeon zaskrzeczał, zapiszczał. Na upartego można to było nazwać walcem. Biorę studentkę za łokieć:

— Pardon, pozwoli pani?

Z początku się opierała, ale nie ustępowałem. Puściliśmy się w tany. Muszę się wam przyznać, że wcześniej tylko dwa razy walca próbowałem. I zawsze z chłopakami, jeszcze w internacie. U nas we wsi tańczyło się przeważnie polkę i chodzonego, nic poza tym. A tu jeszcze piach po kostki, noga co chwilę wpada w jakąś dziurę, czuję, jak moje buciory depczą po jej cieniutkich sandałkach, szarpie nią raz w tę, raz wewtę, inna daw-

no by już splunęła ze złości, a ona cierpi w milczeniu, biedactwo. Bałem się, że się skompromituję przed całą wsią, lecz strach dodatkowo mnie usztywniał, słowem nie taniec to był, ale obopólna udręka. Na szczęście grajkowi znudziło się dla jednej pary rzepolić. Odprowadziłem ją do przyjaciółki, jeszcze raz powiedziałem „pardon” i dalejże, jak się to u nas mówi, bajer wstawiać. Miałem wrażenie, że lecę ze stromej góry, omal nóg nie pogubię, wiem, że rowinienem hamować, ale nie mogę. Złość mną targająca: za wszelką cenę chciałem udowodnić, że wcale nie jestem gorszy od nich. W odpowiedzi słyszałem tylko chłodne, uprzejme półsłówka. Rozmowa rwała się i to mnie jeszcze bardziej wkurzało. Opowiadam kolejny kawał — nic; milczą, ale jakby porozumiewały się bez słów albo używały jakiegoś tajnego języka. Czuję, że dzieli nas jakaś niemal dotykalna szklana ściana, a ja obijam się o nią beznadziejnie, jak mucha o szybę.

To nie była sprawa wytwornych kiecek ani sposobu wyrażania się — one po prostu wiedziały coś, czego istnienia ja nawet nie podejrzewałem. Były mądrzejsze ode mnie, bardziej, jak to się teraz mówi, intelektualnie wyrobione. Cały mój pseudomiastowy szpan, wszystkie atuty pierwszego kawalera we wsi niknęły w blasku ich (niesamowicie żywych) oczu. Może brzmi to trochę nieskładnie, ale pierwszy raz w życiu odczułem wówczas tchnienie intelektu, zdałem sobie sprawę z istnienia jakiejś wewnętrznej siły, z którą nie mogą się równać najwspanialsze bicepsy. Właśnie tej siły mi brakowało. Mogłem ją zdobyć tylko dzięki wiedzy. Odprowadzałem je do domu, mocno ująwszy pod rękę, plotłem, co mi ślina na język przyniosła, ale każdy krok, każda następna historyjka przecinała i tak wątłą nić porozumienia. Zresztą moje krasomówstwo szybko się wyczerpało. Była to istna tortura: w gruncie rzeczy nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Funkcjonowaliśmy na różnych płaszczyznach. Znacie taki termin z geometrii?”

Kiedy dziś czytam, powtórnie te zwierzenia, dostrzegam jedną charakterystyczną rzecz. Właściwie już dawniej ją widziałem, ale nie przywiązywałem do tego wagi. Zauważcie państwo: Iwan nie pomija żadnej okazji, aby jakoś usprawiedliwić swoje dzisiejsze poglądy i sposób postępowania. Przemilcza zmiany, jakie w nim zachodzi-

ły, przeinacza fakty, umiejętnie reżyseruje nastroj. A więc opisując przeszłość Iwana tak, jak on ją przedstawiał, nie można polegać na jego obiektywizmie. Ale jest to jedyne źródło informacji, jakim dysponuję. I jeszcze jedno. Nienowa to sprawa, ale warto do niej wrócić. Zauważyli państwo, że Iwan ani przez chwilę nie był wobec dziewcząt taki, jaki był naprawdę? Udawał, zgrywał się na miastowego — cywilizowanego, jak sam potem mówił — wygę, ale wszystkie te zabiegi okazywały się niczym w zetknięciu z prawdziwym wykształceniem. Stąd i szklany mur, i poczucie obcości. Ja także pochodzę ze wsi, często przyjeżdżali do nas goście z miasta, jednak mimo dzielących nas różnic nigdy nie czułem się jak ów przysłowiowy nagi król. Zawsze starałem się być sobą i nie stroić się w cudze piórka. Jednak nie ulega wątpliwości, że tamten wieczorek wywarł silny wpływ na Iwana i w jakimś stopniu stał się dla niego impulsem do tego, żeby się uczyć.

Inna rzecz, że morał, jaki z tej historii wynika, jest trochę osobliwy: że niby wykształcenie daje człowiekowi przewagę nad innymi. Oczywiście, skąd by się bowiem wzięło słynne powiedzenie o „kaganku oświaty”, który ułatwia orientację w labiryncie życia, ale Zahatny zrozumiał to zupełnie opacznie. Tutaj budzi się logicznie uzasadnione podejrzenie: czyżby motorem walki Iwana o uniwersytecki dyplom była również chęć wybicia się na pierwszy plan, i to już nie tylko w skali rodzinnej wsi? Ale nie sądzmy, abyśmy nie byli sądzeni. Czas to najlepszy probierz ludzkich poczynań.

Iwan wykreślił makietę, podpisał kolumny do druku, wymyślił kilka nagłówek i podtytułów, wycenił materiały z bieżącego numeru, zatemperował ołówki, rozcieńczył zgęstniały atrament w kałamarzach, choć sam używał wiecznego pióra, zmienił nawet bibułę w drewnianej suszce. Ale każdą robotą kiedyś się kończy; koło południa oklapł jak przekłuty balonik, poczuł się wyczerpany i pokonany. Dalej nie było dokąd uciekać. Nawet gdyby wymyślił sobie jakąś nie cierpiącą zwłoki pracę, już nie potrafiłby się naprawdę zaangażować. Czuł się rozpaczliwie pusty, wyzuty ze wszystkich pragnień, może oprócz jednego, żeby cofnąć ten dzień, wy-

mazać z niego wszystko, zwłaszcza zaś ową scysję z Memłakiem. Obrzydliwość. Człowiek jakby się w błocie wytarzał, a obmyć się nie ma w czym. Wszystko jakieś brudne i nieprzytulne. W każdej ścianie szpary, a przez te szpary ciągnie lodowaty wiatr. Jeszcze wczoraj miał na to znakomite lekarstwo. Wystarczyło podnieść słuchawkę, na drugim końcu świata odzywał się dzwonek i cichy głos (je j głos) odpowiadał: „Inspektorat rolny, słucham...” Jeśli wszyscy agronomowie byli w terenie, ten sam cichy głos mówił: „Przychodźcie...” Chwytał notes i maszerował do komitetu, rzucając korektorom: „Idę po materiał do artykułu...”

Siedzieli naprzeciwko siebie, oddzieleni tylko stołem, słońce złościło wypolerowane łysiny biurek, przez okno wpadał zapach jaśminu i lubczyku. Plótl, co mu ślina na język przyniosła, tajał pod jej spojrzeniem pełnym szczerego, nie udawanego zainteresowania. Gdy w sercu stopniał ostatni kawałek lodu, wracał do redakcji. Ale zachciało mu się wolności i teraz ma za swoje. Niczego nie żałuje, ale czasem jakoś tak zimno. Chciałoby się, żeby ta gra jeszcze trwała, żeby wczorajszego wieczoru nie było.

— Proszę z inspektoratem rolnym...

— Słucham, inspektorat — głos Ludy z trudem przebijał się przez jakieś trzaski. Wzruszenie złapało go za gardło. Ale nie czas był na kpiny z własnego sentymentalizmu.

— Mówi Zahatny. Aktualne dane o kampanii buraczanej już są?

— Tak.

— A wasza agronomia w komplecie?

— Tak — padła lakoniczna odpowiedź.

— A kiedy się rozjeżdża? — w głosie Iwana zabrzmiała błagalna nuta.

— Nie interesuje mnie to...

— Przepraszam...

— Proszę...

Co za Wersal! Zwariować można. Uprzejmość to najlepszy sposób na utrzymanie dystansu. Sam ją tego nauczył. I to idiotyczne „proszę” to także jego szkoła. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Głupie przysłowie. Najlepiej wysypiają się ci, którzy nawet nie wiedzą, jak pościć łóżko. Nie warto o tym myśleć. Raz, dwa, trzy...

Myśl o czymś innym. „Nieźle się stało, że Diogenesa skazano na zesłanie: mógł się poświęcić filozofii” — Skowroda. Cholera z tą Terechówką. Szaleństwo głowy się chwyta. Włączył radio, nadawali gimnastykę dla pracujących. Raz-dwa-trzy... Raz-dwa-trzy... Przez cały rok, dzień w dzień, kto wie, ile lat... Raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy... Co jedno, to lepsze: tam Terechówka, tu gimnastyka. Raz-dwa... Z trzaskiem przekręcił gałkę.

Wszedł do zecerni. Maszynistka sortowała pocztę. Obojętnie, jakby nigdy nic, stanął przy stoliku. Wszyscy już przywykli, że sekretarz nie dostaje żadnych listów, a jeśli nawet, to tylko na poste restante, ale teraz z całej sztywno wyprostowanej sylwetki biło rozpaczliwe nieme błaganie: „No powiedz, że jest list do mnie, powiedz...” Maszynistka milczała. W zecerni można było usłyszeć przelatującą muchę. Nic tylko praca, żadnych pytań: czysto wykreślone makiety, zdolny sekretarz, dobry administrator; słonecznik w oknie, słońce, słoneczko, nasłonecznienie, prowincjonalna dziura, powiesić się można. Powlókł się z powrotem. Maszynistka dalej rozkładała korespondencję, inni zaglądali jej przez ramię, ale nikt nie zaszczycił go ani słówkiem. Może na poczcie coś jest, zadzwoniliby, zawsze dzwonią, gdy coś przychodzi, zresztą rzadko się to zdarza. Na podwórzu oparty o morwę stał motocykl, obok przykucnął usmarowany oliwą Huźwa z kluczem w ręku.

— Hej, Mykoła! Pamiętasz? Kiedyś ci mówiłem, że nie umrę własną śmiercią? Chcesz się założyć?

— Ja człowiek niewierzący, Iwanie Kyryłowyczu, ale tak czy owak taki zakład to grzech. A jakby tak naprawdę... Tfu, na psa urok... Z kim bym wtedy ten koniak pił? Przecież nie zmartwychwstalibyście na ten jubel.

— Golniesz sobie za moje zdrowie z towarzyszem Memłakiem — odparł Iwan. Nie mógł się doczekać, żeby ktoś bąknął chociaż słówko o Memłaku, ale nikt nawet się nie zająknął na temat niedawnej awantury. — Zrobicie zrzutkę na wieniec, rubel na głowę, rada zakładowa dołoży resztę, Pędziwiatr palnię mówkę, lubi sobie pogadać, potem jeszcze po rubelku i na kielicha — za spokój duszy. Towarzysz Memłak wygłosi orację, jak to śmierć kładzie kres sporom i godzi zwaśnionych. „Wszystko powoli przemija na świecie, i to, co cieszy, i to, co

uwiera, marność, proch, plewa, co ją wicher miecie” — pouczał stary Skoworoda. (Proszę wybaczyć, ale to kolejny jaskrawy przykład nieuczciwego cytowania. Odzukałem ten fragment. Faktycznie, jest coś takiego. Już byłem gotów oskarżyć wielkiego filozofa o pesymizm. Lecz oto zakończenie tej sentencji, które świadomie opuścił towarzysz Zahatny: „I tylko sercem człowiek nie umiera”. Pojmują państwo? Czyli Skoworoda głosi postępową i dla nas zupełnie do przyjęcia ideę: człowiek zyskuje nieśmiertelność przez swoje dzieło. Jeszcze raz przepraszam. M. H.) Cha! Cha! Cha! Na grobie rabatka, cementowy postument z gustownym epitafium, najlepiej brąz imitujący stare złoto, ot, choćby coś w tym rodzaju:

*Tu leży Iwan Zet
Psubrat był
Zdechł jak żył...*

Iwan lubił i umiał rozprawiać na temat własnej śmierci, zwłaszcza jak miał humor.

Huźwa wlaź pod motocykl i mocował się z jakąś nakrętką. Istna gąbka, w którą wszystko wsiąka bez śladu: nawet się nie uśmiechnął; żart Iwana zawisł w nieruchomym powietrzu. Słońce stało nad wypalonym podwórzem jak tysiącwatowy reflektor w atelier fotograficznym; żar skręcał na klombach płatki nasturcji. Zahatny jeszcze raz przeszedł obok maszynistki: list mógł się zawieruszyć między gazetami, ale dziewczyna już rozłożyła pocztę i teraz leniwie uzupełniała rocznik gazety. W pokoju upał zdawał się jeszcze bardziej dokuczliwy. Iwan usiadł za stołem i oparł głowę na rękach — balonik, z którego wypuszczono powietrze.

Przez cały wieczór aktor żyje tylko dla widza. I oto spektakl się kończy, publika się rozchodzi, sala pustoszeje — wszystkie gierki tracą sens, czas wreszcie być sobą. Czy każdy aktor potrafi od razu przedzierzgnąć się w zwykłego człowieka? Jeszcze przed chwilą stał w światłach rampy, obrzucany kwiatami, podziwiany, oklaskiwany. Grał, wcielał się w kogoś, kim w istocie nie był, udawał uczucia, których nie żywił. Nie każdy jest zdolny do natychmiastowej metamorfozy. Większość

aktorów musi odczuwać jakąś wewnętrzną pustkę. Sądzę po sobie; wspomniałem już, że swego czasu występowałem w szkolnym kółku dramatycznym. Może owa pustka to skutek nadmiernego napięcia nerwowego, które raptem opada jak wracające do pionu wahadło — czytali państwo ósmy numer „Wiedzy i Życia”?

Posłużyłem się przykładem aktora, bo to poniekąd wyjaśnia ową wewnętrzną pustkę, jaką od czasu do czasu odczuwał Iwan. Było to zjawisko cykliczne, pominięcie go sprawiłoby, iż obraz mego bohatera byłby niepełny. Jednak to porównanie też nie tłumaczy wszystkiego. Każdy medal ma dwie strony, jak mawiał Iwan. Gdy wyczuwał zbliżanie się takiej pustki, depresji, przeklinał w żywy kamień Terechówkę, przez którą w końcu wyląduje w domu wariatów. Czy rzeczywiście zawiniła tu Terechówka? I tak, i nie. Powolny, jesienny rytm życia prowincjonalnej dziury nie korespondował z aktywnym, niemal euforycznym biorytmem Iwana. Stąd szereg nieporozumień i drobnych konfliktów. Ale nie to jest najważniejsze. Przecież tętno redakcji jest wyraźnie szybsze niż innych instytucji, choćby dlatego, że gazeta musi ukazywać się codziennie i o ściśle określonej porze. Nikt mu nie bronił bez reszty poświęcić się pracy.

Coś za bardzo naukowo to wyszło — depresje, euforie, biorytmy. Naczytałem się technicznej literatury. Ostatnio po prostu nie trawię beletrystyki, wszędzie wyczuwam jakiś fałsz. Bohater z mandoliną pod balkonem stoi, a ja myślę: „Ciekawe, czybyś tak wyśpiewywał, braciszku, gdybyś wiedział, że za trzy tygodnie orła wywiniesz i robaki cię będą toczyć?” Czytam sobie stare roczniki czasopism technicznych, tam przynajmniej piszą o konkretach, to uspokaja.

Jak już o naukowości mowa, mógłbym jeszcze lepiej zasunąć: nieważkość kosmonauty i nieważkość Zahatnego, pustka kosmosu i pustka Terechówki, i takie kawałki. Ale nie mam czasu. Kto wie, może to ostatnia strona mojej genialnej powieści... Biedna ludzkość! Nawet nie wie, co straci! Nagle ogarnął mnie jakiś wisielczy humor. Jutro jadę do miasta, do szpitala. Bez skierowania nie przyjmują, ale odczekam do końca przyjęć, kiedy już nie będzie kolejki, powiem, że nagle mnie to chwyciło, i jakoś ich ubłagam, żeby mi zajrzeli do gardła. I tak nic nie powiedzą, jeśli to rak, ale po oczach po-

znam. Z ręką na kłamce zapytam: „Tylko bez picu, ile mi jeszcze zostało? Muszę skończyć ważną pracę i chcę wiedzieć, na co mogę liczyć, nie jesteśmy dziećmi...” Lekarz powie: miesiąc, może trzy tygodnie. Tydzień trzeba skreślić, w ostatnich dniach człowiek już ledwie na nogach się trzyma, cóż dopiero mówić o pisaniu, zostaje mi piętnaście, dwadzieścia dni, zrobię dokładny plan, ile scen trzeba jeszcze dorobić, już mniej o sobie, więcej o bohaterach, i mimo wszystko skończę powieść. Boję się tylko, żeby na siłę nie wpakowali do szpitala albo nie zawiadomili rodziny. Bo wtedy zaczną się jęki, krzyki, szloch i płacze, już teraz żona patrzy na mnie podejrzliwie: coś jakbyś schudł, powiada...

Ale trzeba być optymistą! Próbowałem dziś basem mówić, jak Zahatny, gdy mu coś nie wychodzi, ale jeszcze gorsze dno. Choć i tak już od spodu nic nie puka...

Do zobaczenia na tamtym świecie. Auf Wiedersehen!

Nie wiem, jak jest po niemiecku „na tamtym świecie”, mimo że dwanaście lat słówka wkuwałem. Zechcą państwo wybaczyć... Cha! Cha!...

!!!!!!! O stanie mego zdrowia można wnioskować z tych wykrzykników. Zajęły chyba pół linijki. Przed chwilą wysiadłem z autobusu. Bez nerwów, tylko spokój może nas uratować. I tak odtańczyłem swoje na szpitalnym dziedzińcu. Czyste wariactwo, tyle że z radości. Zdarza się. Cały Huźwa to teraz tylko dwa słowa: będę żył! Będę żył! Będę żył! Będę żył! Symfonia. Polonez. Beethoven. Strauss. Gluck, a może Glug. Nieważne. Był taki kompozytor. Pluję teraz na wszystkich kompozytorów. Będę żył! Reszta jutro. Szczegóły w liście. Niech żyje poczta. Wyglądam listonosza jak kania dżdżu. Szczegóły jutro. Teraz spać. Spać. Będę żył!

Czy ktoś z państwa urodził się kiedyś na nowo?

Proszę spróbować...

Dochodziła druga. Za oknami redakcji ciągnął szparko tłum urzędników: zaafierowane miny, poważny, rzeczowy wygląd, znikali w terechowskich uliczkach i zaułkach, jak wessani pod słomiane strzechy i blaszane dachy, żywa ilustracja oklepanego hasła o sojuszu miasta ze wsią. Iwan nigdy nie mógł się doczekać, kiedy po godzinie tłum zacznie pełznąć z powrotem: otępiały z przeżarcia, z brzuchami wzdętymi od sytnych wiejskich potraw, będzie włókł się leniwie, wznosząc ku słońcu życzliwie zmrużone oczka. Powtarzało się to codziennie, z regularnością zegarka.

Stał w oknie i skrzyżowawszy ręce na piersi uśmiechał się ironicznie. Redakcja opustoszała, nieliczni, na których w domu nie czekały żony z obiadem, grali pod morwą w szachy. Wzdrygnął się na myśl, że on też mógłby być częścią tego wygłodniałego stada, patrzącego tylko, jak dopaść stołówki i sennie brnącego z powrotem przez lepki upał. Nie pójdzie teraz jeść. Może później. Przydałoby się wypić coś zimnego. Poza tym nie ma apetytu. Na nic. Pełna martwota. Duchowy sztil. Oklapnięte żagle. Pustka. Trupi zaduch. Kanikuła zawsze podjeżdża trupem. Żeby jakaś odmiana. Choćby burza: można by wybiec na dwór i tańczyć w siekącym deszczu, w gradzie piorunów. Duchota.

Przez podwórze toczy się Paraska Pantelejmoniwna, bibliotekarka z komitetu; ależ babsko tłuste, sadło aż się trzęsie, na terechowskim chlebie wszyscy tacy spasieni od urodzenia i od urodzenia zastraszeni, ona też: co chwila nowa rewelacja, rejon będą reorganizować, ona uwielbia te miejscowe plotki, magazyn nowości, składnica przesądów zaopatrująca wszystkie instytucje,

centralizacja, mechanizacja, technika na usługach człowieka, dziś burzy nie będzie, do wieczora będzie tak przypiekać, nienawidzi tej omdlewającej w upale mieszciny, w zębach piasek, stukanie do drzwi.

— Proszę...

Paraska Pantelejmoniwna od progów rozpląnęła się w uśmiechu, którego starczyłoby na obdzielenie radością i szczęściem całego świata.

— Dzień dobry, Iwanie Kyryłowyczu! Co słyhać?

To był rytuał, nieodzowny wstęp do pogawędki. Z przesadną obojętnością, spuszczać oczy, odparł:

— Dzień dobry. Nic specjalnego...

Bibliotekarka zaniepokoiła się:

— A naprawdę?

Iwan przesunął papiery na biurku, otworzył szufladę i uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Jakbyście nie wiedzieli...

— Oj, Iwanie Kyryłowyczu, pojęcia nie mam, niech mnie grom spali — cała była jednym błaganiem — Iwanie Kyryłowyczu, słowo daję, nic poza ten pokój nie wyjdzie, a tę książkę, coście prosili, odłożyłam...

— Naprawdę nie wiecie, co ma być jutro? — spytał z powagą.

— Co? — Strach zaokrąglił jej oczy. Pewnie z tą reorganizacją to prawda, a oni z mężem dopiero co pobudowali się w Terechówce. — Czyżby re...?

— Ale nikomu...? — Zahatny podejrzliwie spojrział w stronę okien.

— Coście wy... — w głosie Paraski brzmiała głęboka uraza. Wiadomo było, że ani przez chwilę nie potrafiła utrzymać języka za zębami. — Chyba mnie znacie, Iwanie Kyryłowyczu...

— Drzwi zamknięte? — rzucił Iwan. Rozkoszował się tą chwilą, ale wolał teraz nie patrzeć na siebie z boku. To zwalniało z oceny.

Bibliotekarka na palcach podeszła do drzwi. Obfite kształty trzęsły się jak galareta z cielecych nówek. Drzwi były zamknięte na siedem spustów.

— Naprawdę nie wiecie, co będzie jutro? — Nagle poczuł nieprzewartą chęć na kielicha: och, napić się, zapić, pić.

— Co? — głucho i uroczyście tchnęła Paraska.

Odczekał chwilę, elektryzując ciszę, wciągnął głowę

w ramiona i świdrując wzrokiem pobladłą twarz bibliotekarki, bezgłośnie ułożył wargi w jedno tylko słowo:

— Środa...

— A niech was! — po dłuższej chwili zawołała Paraska Pantalejmoniwna. Ściągnięte straszonym przecuciem rysy nie mogły odzyskać normalnego wyglądu, jakby ich właścicielka jeszcze ciągle stała oko w oko z jakąś okropną, ale upragnioną tajemnicą. W końcu uświadomiła sobie, że z niej zakpiono. Uśmiechnęła się blado i chyłkiem wysliznęła na dwór, zapominając, po co przysła.

Iwan pokładał się ze śmiechu. Suchy bezradosny rechet wywracał bebechy, męczył. Iwan znajdował w nim jakąś dziwną rozkosz, pragnął go, przywoływał, bojąc się, że w ciszy, która potem zapadnie, będzie musiał zajrzeć we własną duszę. Ostatkiem sił wyduszał z piersi sztuczne chichoty, zeszywniałe palce coraz wolniej przesuwaly leżące na biurku papiery. Nie było nikogo, kto by go poratował, uwolnił od niego samego i poprowadził, gdzie oczy poniosą, niechby nawet w zdradliwy odmęt jeszcze jednej iluzji, byle tylko odwlec bezlitosny moment otrzeźwienia.

Wychylił się z okna i wrzasnął na całe podwórze:

— A może by tak coś wypić, chłopaki?

Otumanieni upałem gracie nawet się nie zdziwili nieoczekiwaną propozycją z tak wysokiego szczebla, zerwali się znad szachownicy i zaczęli wywracać kieszenie. Iwan niedbałym ruchem wyciągnął z portmonetki nowiuteńki papierek i podał Huźwie:

— Zorganizujcie, co trzeba, tylko nie za mocne...

Przeszedł się po pustych pokojach. Cała pociecha w tym, że zaraz będzie się można urżnąć. Skrzypnęły drzwi. Kochane chłopaki, teraz już nie jest sam, nie ma czasu na żadne intelektualne analizy. Nakryto stół gazetą. Huźwa wyciągnął z kieszeni dwie flaszki portwajnu, cienko pokrojony ser, puszkę skumbrii w tomacie i pęto kielbasy. W bagażniku motocykla znalazła się piętka czerstwego chleba — pozostałość z wczorajszej wyprawy szefa na ryby. Butelkę otwarli miarką typograficzną, puszkę — szydłem, którym maszynistka przekłuwiała zszywki. Skumbrię nakładali na gładkie ołowiane sztegi. W redakcji była tylko jedna musztardówka, którą z wieku i urzędu otrzymał Iwan. Reszta po-

ciągała z plastikowych korytek na ołówki. Zahatnego formalnie ponosiło. Wszystko było takie kławe i nareszcie konkretne. Miotał się niczym Zosia-Samosia: łamał chleb, otwierał butelki, płukał korytka nad wiadrem. Co chwilę wybuchał urywanym śmiechem, który miał ukryć wzruszenie, po czym znów długimi krokami przemierzał pokój. Wreszcie wznosił napełnioną po brzegi musztardówkę:

— Wypijmy, towarzysze! Żebyśmy się czuli wolni od siebie samych...

Nikt nie pojął, o co mu chodzi, ale wszystkich wzruszył uroczysty ton. Przymknąwszy oczy powoli sączył wino, z lubością smakując każdą kropelkę, niosącą lekkość i zapomnienie. W miarę jak musztardówka się opróżniała, niedawne problemy okazywały się coraz mniej poważne; brak treningu i upał robiły swoje. Jakby nadrabiając dietetyczne śniadanie, z apetytem przeżuwał kielbasę i żółty ser, zlizywał z płytki skumbrię w tomacie. Czuł się lekko i nie wiedzieć czemu radośnie, świat zniknął za błękitną przezroczystą zasłoną: znikło gdzieś trzydzieści bezpłodnych lat, znikło duchowe znużenie, znikł także ów drugi Zahatny bezwolnie snujący się po ulicach Terechówki. Przed sobą widział kołyszające się oblicza kumpli: jacyż oni swojscy, jacy mili! Szkoda, że nie ma towarzysza Memłaka, zaraz by sobie chlapnęli, poklepalili się po ramionach i wszystko byłoby cacy, przebaczyłyby mu nawet swoją wczorajszą klęskę, zresztą wybaczają wszystkim, niech i oni mu darują. Nieważne, że człowiek jest samotną wyspą, jest przecież coś, co łączy, co istnieje poza materią, czasem, przestrzenią. Myśli wiły się kapryśnie, przedmioty rozmazywały się w papierosowej mgle.

— Kola, daj papierosa...

Po raz pierwszy zwrócił się do Huźwy po imieniu. Miły chłopak. Papieros — symbol pojednania. Do diabła ze słowami. Raz się żyje. Jutro koniec świata. Jutro... Zecer o złotych zębach, eks-marynarz, przyniósł gitarę, usiadł na brzegu stołu i wystudiowanym niedbałym ruchem uderzył w struny. Gitara odpowiedziała melodyjnie, smętnie. Iwan znał słowa z wojska: prosta, trochę sentymentalna piosenka. Problemy to specjalność neurastenicznych inteligentów, takich jak on, naprawdę to wszystko drobiazg, życie jest prostsze, niżby się zdawało.

*Wychylmy toast
Za nasze zdrowie,
Niech młode wino
Zaszumi w głowie...*

Zahatny poczuł, że te ckiwe rymy, migotliwe, rozkołysane fale lada chwila wykończą go, padnie na pierś Dziadźki albo Huźwy, albo zecera o złotych zębach i rozplacze się jak dziecko. Wstał i zagłębił się w półmrok redakcyjnych pokoi. Korytarz kończył się oślepiająco białym prostokątem prowadzących na podwórze drzwi. Ochłonał, chciał się cofnąć, uciec z powrotem w zbawczy mrok, ale już było za późno: świetlisty prostokąt czarował, kusił. Słońce stało w zenicie, skąpiąc spalonej ziemi nawet odrobiny cienia. Bezwstydną, naga jasność nie uznawała kompromisów, nie pozostawiała złudzeń. Wyleniałe podwórze tonęło w rozżarzonej białości: biała ściana garażu, biała ławka, biały parkan, nawet motocykl pod morwą jakoś zbiełał, wyblakł. Po podwórzu snuły się białe krowy-przybłądy. Znów baby z łańcuchów pospuszczały — pomyślał z nagłą złością. — Mało im ulicy. Wyobrażają sobie, że redakcja to gminne pastwisko albo diabli wiedzą co...

Stał w milczeniu, czując wzbierającą złość. Nawet nie starał się pohamować, mierzył wzrokiem nieruchome bydła, jakby śledził zaciętych wrogów. Nareszcie było dokąd uciec przed tym przeklętym blaskiem: wybawienie przyszło w samą porę! Podbiegł do motocykla, wsunął zapalnik w reflektor, kopnął starter. Motor kaszlnął, zawarczał. Iwan dodał gazu i runął ku bramie. Koło płotu ostro zakręcił i rąbnął krowę przednim kołem. Krasula odskoczyła, pochyliła rogi i podkuliwszy ogon, wśliznęła się w zbawcze wrota. Skierował motocykl prosto na nastawione krowie rogi, zobaczył spłoszone ślepia, ociężałe cielsko przez moment przypadło na kolana, zerwało się i tylko szary ogon kurzu zamiótł senną ulicę. Iwan zataczał koło za kołem, nielitościwie dodając gazu, wypierając ostatni dech z przegrzanego silnika. Motocykl ryczał jak oszalały, pluł kłębami dymu, przerażone krowy, obłąkane od upału; warkotu i spalin, miały się po podwórzu, kalecząc się o sztachety i kolczaste akacje, w górze kołysała się rozpalona kula, w dole falowała spękana ziemia, z dala dobiegały stłumione porykiwania wiszących na parapecie podpitych kumpli.

Mógą sobie państwo wyobrazić, jak mnie korci, żeby wreszcie opowiedzieć, co mnie spotkało w mieście. Bo gdzież, jak nie tutaj mogę się z tego zwierzyć? Dopiero by były plotki. Owego dnia wieczorem żona naskoczyła na mnie: „A ty z jakiej okazji pałę zalałeś?” Państwo też pewnie zauważyli, że byłem na bańce. „E tam, mówię, znajomych w bibliotece zbiorczej spotkałem”. A w głowie jakby mi coś hopaka na bębnie wybijało.

Krótko mówiąc, bez numerka przebiłem się do lekarza. Musiałem wyglądać tak, że nikt nie odważył się zaprotestować. Wchodzę, siadam przy stoliku, na którym leżą jakieś błyszczące szpeja, zamiast serca trzycylindrowy motorek w piersiach chodzi: tuk-tuk-tuk, tuk-tuk-tuk... Nie spuszczam oczu z lekarki: nawet jak nie będzie chciała powiedzieć — myślę — na pewno od razu zauważę. W głowie pustka jak przed egzekucją. Rozdziawiam gębę, w oczy mi świeci laryngologiczne lustro, w ustach — chłodny smak metalu, w uszach — stukot jej zegarka, jakby ostatnie gwoździe do mojej trumny...

Aha, jeszcze słówko. Nie muszę chyba dodawać, jak się czułem tego dnia. Zanim trafiłem do przychodni, łąziłem trochę po mieście. Świeży śnieżek, dzieciarnia z saneczkami, przed teatrem zielone choinki, na wystawach pierwsze noworoczne zabawki, a dla mnie wszystko ma tylko jeden kolor, szarobury, żegnam się ze światem, dusza płacze i tak mi siebie żal, tak żal. Przykładam, niby wystawy oglądam, a w gardle łyzy...

Zdawało mi się, że ledwie zdążyłem otworzyć usta, lekarka już się do stołu odwraca i zaczyna pisać.

— No i co, pani doktor? — pytam niemal szeptem.

— Nic tam nie widzę. Pójdzie pan do swojej przychodni, dwa razy popędzują i po krzyku. Zimnej wody musiał pan wypić... — mówi obojętnie jakby nigdy nic.

— Bardzo proszę, niech pani popatrzy uważniej. Od trzech tygodni nie mogę przelykać, o, tu naokoło wszystko drętwe — szepczę błagalnie, gotów rzucić się przed nią na kolana.

Wzruszyła ramionami, zapaliła żaróweczkę i znów zaczęła obmacywać i oglądać moje gardło. Ale i teraz na jej zmęczonej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

— Takie objawy występują czasem po usunięciu migdałków. Niepotrzebnie się pan denerwuje i wymyśla sobie chorobę...

Zdecydowałem się odkryć karty.

— Prawdę mówiąc, podejrzewam, że mam raka. Proszę o jasną odpowiedź, nie jestem dzieckiem...

Nawet się nie roześmiała; wtedy mógłbym jeszcze przypuszczać, że robi dobrą minę do złej gry. Uniosła brwi.

— Ile pan ma lat?

— Dwadzieścia osiem. A bo co?

— Pierwszy raz spotykam się z rakofobią w tym wieku. Przeważnie występuje to po czterdziestce...

Usiadła na krześle. Wciąż jeszcze nie mogłem uwierzyć, rozpalona wyobraźnia wietrzyła jakąś wszechświatową znowę przeciwko Mykole Huźwie. Zobaczyłem, że drżą mi ręce. Schowałem je do kieszeni. Czułem, że mam dreszcze.

— Może pani po prostu nie ma odwagi mi powiedzieć? Niech pani zrozumie, mam jeszcze coś ważnego do zrobienia, chciałbym skończyć i muszę wiedzieć, ile dni mi zostało...

— Ale z pana dziwak... Sądzi pan, że wypuściłabym stąd pana z jakimś świstkiem, gdyby tam rzeczywiście coś było?

No tak, to prawda. Nie mogłaby wypuścić. Odpowiada za mnie. W tym momencie mój umysł łaknął takich właśnie dowodów. Nie mogłaby. To znaczy, że będę żył. Będę żył! Od tej chwili miałem wyśpiewywać te słowa przez cały dzień.

— A ja, głupi, zamartwiałem się, szykowałem się umierać — wybełkotałem, czując, jak ogromny ciężar spada mi z serca. Poprawiłem się na krześle. — Taki

cmentarny nastrój. Muszę dokończyć ważną pracę, a tu w nocy się budzę — coś mnie dławi, siadam do stołu — chleb w gardle staje, w dodatku tych rozmów o raku się człowiek nasłucha, bardzo pani dziękuję, przepraszam, już myślałem...

— Nie trzeba sobie chorób wmawiać. Do widzenia — przerwała lekarka. Nie było to zbyt gościnne, ale w tej chwili wszystko bym jej wybaczył.

Wybiegłem z gabinetu, ściskając w spoczonej dłoni skierowanie i receptę, porwałem z szatni palto, omal nie zapomniałem siatki, musiałem się z ulicy wracać. Rozsadzała mnie energia, czułem się, jakby mi dziesięć lat ubyło. Puszysty śnieżek skrzypiał pod nogami, zieleniły się choinki, w parku dzieciarnia lepiała bałwana z oczami z marmolady, na chodnikach roił się tłum kobiet w kolorowych płaszczach, witryny lśniły od choinkowych świecidełek — świat błyszczał, mienił się wszystkimi kolorami tęczy, żył... I ja żyłem także.

Nagle opanowała mnie niewiarygodna chęć życia. Nakupiłem cacek na choinkę, choć zeszlorocznych było w domu dość, nabyłem dwie płyty jazzowe, choć dotychczas nie trawiłem tej muzyki — nagle zachciało mi się czegoś mocnego, burzliwego. Kupiłem córce sukieneczkę, żonie — chustkę, wszystko jaskrawe, niemal wyzywające — w domu nie mogli się nadziwić. Po trzech tygodniach życia w mroku poczułem taką tęsknotę za czymś jaskrawym, odświeżającym, że bez namysłu przepuściłbym całą pensję na kolorowe błyskotki, zupełnie jak dzikus. W końcu doszedłem do wniosku, że taniej wyjdzie wstąpić do baru, uspokoić się trochę, opić ponowne urodziny. Tak i zrobiłem.

Najciekawsze, że jak tylko wybiegłem z przychodni, gardło od razu przestało boleć. Wczoraj przed pójściem spać zrobiłem sobie gorącej herbaty, teraz w ogóle nie wiem, że mam gardło.

Dziś przeczytałem ludowe przysłowie: tchórzliwy trzykroć umiera. Święta prawda. Ale niech państwo zbyt pochopnie nie wysmiewają się z tchórza. Bo taki i rodzi się trzy razy! I na nowo odkrywa świat. A to cudowne uczucie. Dla czegoś takiego warto umierać, słowo daję.

Przyłapuję się na tym, że delikatnie biorę do ręki

rozmaite przedmioty albo przynajmniej staram się ich dotknąć. Ot, choćby ten kałamarz. Co za wspaniała rzecz. Ale tu nie o kałamarz chodzi; dotykam go, czuję jego ciężar, widzę kolor — a więc żyję! Czasem ni stąd, ni zowąd jakiś najzwyklejszy drobiazg: gwiazdka śniegu na rękawie płaszczka potrafi człowieka rozczulić do łez. Żyję...

W nocy śniegiem sypnęło. Rano wyszedłem w samym swetrze, chwyciłem łopatę i do dzieła. Porobiłem ścieżki na podwórzu, do piwnicy, do furtki, a potem jeszcze na ulicy ze dwieście metrów przeleciałem. Prawdziwy trotuar. Szkoda że zaraz trzeba było iść do pracy. Mrozik w policzki szczypie, mięśnie chodzą jak dobrze naoliwiona maszyna, suchy śnieżek tryska spod łopaty, oddycha się lekko, wrona jak oszroniony kłębek na jablońi kracze, przechodnie witają się, żartują. Żyję...

Tego już nie da się wymazać z pamięci, jak wczorajszego dnia. Jakiś idiotyczny koszmar: żaloszny uśmiech Paraski Pantelejmoniwiny, neurasteniczny napad śmiechu, popijawa, krowy, wyblakłe od słońca podwórze... Jak na bohatera eposu ciut jakby przymało. Chłopaki omal przez okna nie powypadały, jak się okazało, że król jest nagi! Toż ten Iwan taki sam, jak my! Bóstwo już ukrzyżowane, krew sika, zlatują się kruki, wrony. „Aha, on też z krwi i kości, także śmiertelny, a udawał bóstwo!”, rozlegają się triumfalne wrzaski. Obrzydliwość. I znów się przepalił. Jakby tak zebrać te wszystkie obietnice i przysięgi... Dobrymi chęciami piekło wybrukowane. Może rzeczywiście zbyt pochopnie osądza bliźnich? Może oni wszystko rozumieją, a tylko z samym sobą jeszcze nikt nie wygrał? Głupie problemy. „Nie bądźcie jako ten kret, który ukochał ziemię”. Skowroda. Jego, Iwana Zahatnego, nie interesują „prości i maluczcy”. Jego trzeba mierzyć i n n ą m i a r k ą. Aha, to jest to. Nie zapomnieć: inną miarką. Wady człowieka, który jak wieża góruje nad pospółstwem, tylko podkreślają jego wielkość. Wielkie indywidualności mają wielkie wady. Znakomita formuła. Warto mieć na uwadze, kiedy się siebie ocenia. Nie ma sensu rozdzierać śnieżnobiałych szat z powodu byle plamki.

Prawdziwa indywidualność zawsze jest rozdarta po-

między dwoma biegunami. Szamoce się, walczy. „Podziel siebie, by poznać swoje wnętrze”. Genialny starzec. „Życie człowieka to nieustanna walka”. Problem celowości tej walki. Ciekawe, jak mały człowieczek postrzega olbrzymia. Spojrzenie miernoty na ukrzyżowane bóstwo: patrzcie, przecież ono ma krzywe nogi! Radość miernoty: ja też mam krzywe, a więc jestem stworzony na obraz i podobieństwo bóstwa. Pospółstwo lubi się dowiadywać, że wielcy też mają swoje wady. To duża frajda. Pospółstwo mierzy wielkich własną miarą, osądza według własnego kodeksu. Ale historia wszystkiemu przywraca jego miejsce. Historia też ma swoje prawa. Prawa olbrzymów. Oszaleć można. Spokój! Trzeba jasno sformułować tę myśl. „Istnieje podwójna moralność: moralność maluczkich i moralność wielkich, rolą wielkich jest przewodzić maluczkiem. Nie osądzać jednostki wybitnej według kodeksu moralnego dla mas. Moralność historii to moralność silnych indywidualności...”

— Iwanie Kyryłowyczu!

— Chwileczkę... „...Rozwinąć tę myśl. 12 VII”.

— Iwanie Kyryłowyczu! Materiał z centralnej agencji informacyjnej. Musi wejść do tego numeru. Czteryście wierszy...

— Wiedziałem, że tak się skończy. Cała robota na nic. Niech grom spali tę zapyziałą Terechówkę! Przyńście makiety...

(Muszę zmartwić dociekliwego czytelnika, który pewnie już zaciera rączki: „Przyłapali babcię w lasku! Skąd taki Huźwa wie, o czym myślał Zahatny siedem lat temu o dwunastej zero siedem czasu letniego? Z brudnego palucha wyssał, jak wszystkie te pismaki...” Nie bądźcie państwo tacy zrywni! A właśnie, że wiem! Byłem świadkiem wielu monologów Iwana, niezliczonych wieczornych zwierzeń. Poza tym mam przed sobą strzęp gazety, na której Zahatny własnoręcznie zanotował główny zarys swoich ówczesnych przemyśleń. Przytoczyłem je powyżej. Sądzę, że na tej podstawie można wystarczająco dokładnie odtworzyć tok jego rozumowania. No co, dobry ze mnie detektyw?

Chcą państwo wiedzieć, skąd mam tę notatkę? Żadna tajemnica. Wspominałem już, że w owych czasach nie przymierzałem się jeszcze do powieści, lecz Iwan już wtedy mnie interesował. Może miałem przecucie.

Szczerze mówiąc, kombinowałem tak: a jeśli raptem Zahatny awansuje na jaką szyszkę? Taki facet jest do wszystkiego zdolny. Wtedy emerytowany kierownik Huźwa będzie miał na starość zajęcie: zacznie pisać wspomnienia i przed stosownym jubileuszem rozsyłać do różnych czasopism, sławy i szacunku u inteligentnych ludzi zazna, jeszcze i parę groszy kapnie na lekarstwa.

Gdy wreszcie rozpędzili nasz rejon, mnie przypadło redakcyjne archiwa palić. We wszystkich redakcjach przechowuje się stopy szpaltówek, makiet, rękopisów — każdy numer osobno. Iwan miał zwyczaj notować myśli na pierwszym lepszym świstku, aby później przepisać do dziennika. Przewertowałem te szpargały. Zdobycz była nielicha. To, co tam znalazłem, pomogło mi lepiej zrozumieć Zahatnego i stworzyć choćby przybliżony obraz tej nieprzeciętnej indywidualności.

Aha, co do dzienników. Nie mam wątpliwości, że istnieją. Taki już jest ten Iwan, że z własną duszą rozmawia chętniej i bardziej szczerze niż z ludźmi, nawet jeśli są mu bliscy duchowo (jak na przykład ja). Nie muszę chyba mówić, ile bym dał, żeby móc zajrzeć do tych dzienników! Ale to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Iwan to nie Luda. Wtedy, jakeśmy rozmawiali w restauracji, nawet nie ośmieliłem się o tym napomknąć. Po prawdzie i bez tego już dwa grube bruliony zasmarowałem. Ostatnio taki ze mnie pracuś. Choćby i teraz. Miała być krótka wzmianka o wzmiance, a wyszły dwie strony. Po prostu sraczka myślowa, przepraszam za wyrażenie. Ale wracajmy do Iwana...)

Ula przyniosła makiety. Oczywiście, trzy kolumny trzeba będzie robić na nowo. Wścieklizna. A jeszcze nie wiadomo, co dojdzie jutro, jak zacznie się łamać. Ale w głębi duszy był zadowolony, że ma o co ręce zaczepić. Wyścig z czasem podniecał, kazał zapomnieć o zmęczeniu, depresji. W południe wahadło nastroju wychyliło się daleko w lewo, potem poleciało w prawo — był taki moment, kiedy nawet żyć się nie chciało — teraz powoli wraca do równowagi. Czerwony ołówek, miarka typograficzna, linijki migotały w jego cienkich palcach, korektorzy nie mogli nadążyć ze sczytywaniem, maszynistka pośpiesznie wystukiwała nowy plan numeru. Pracował, był w swoim żywiole. Przerwa obiadowa dawno się skończyła, po redakcji snuły się jakieś postacie —

dla niego nie istniało nic oprócz makiety i wskazówek zegarka. Tak, czas był teraz największym wrogiem. Płynął bardzo wolno, mimo iż Iwan bez reszty pogrążył się w pracy. Ze wszystkich marzeń pozostała mu jedna myśl: niedługo usłyszy pięć uderzeń, oni wszyscy rozejdą się do domów, a on zostanie sam w cichej, rozświetnionej redakcji (chłodne wieczorne słońce zajrzy w okna) i zanurzy się w słodki świat, który zacznie wyrastać pod jego piórem.

Udowodni, że ma prawo do własnej moralności, że nie jest miernotą, masą, jest inny niż oni. Wtedy przestaną wrzeszczeć, że sam wymyślił własną genialność. Wiek to żaden dowód. Dowżenko był już po trzydziestce, kiedy przyszedł do filmu, a mimo to zrobił w nim rewolucję. Skoworoda najważniejsze utwory napisał po pięćdziesiątce. Może te trzydzieści lat to było oczekiwanie na tę chwilę. Czas wiary. Czas przygotowania. To wcale niełatwo — wierzyć. Niechby tak oni spróbowali wierzyć, że ich godzina nadejdzie — niechby spróbowali choć przez jeden dzień...

— Gdzie materiał na czwartą kolumnę? Przecież prosiłem, żebyście przynieśli wszystkie odbitki...

Z tydzień nie otwierałem tego zeszytu. Nazbierało się trochę nowych przemyśleń. Wczoraj przejrzałem to swoje wiekopomne dzieło. Rzeczywiście, słowna sraczka, zwłaszcza jak zaczynam mówić o sobie. Ale nie to jest najgorsze. Historia, jak mawiał Iwan, wszystkiemu przyzna należne miejsce. O wiele smutniejsza jest historia z chorobą, którą sobie wymyśliłem, i morał, jaki z tego wynika. To już jakieś zwichnięcie proporcji, nie da się ukryć. Oto, powiedzmy, potępiam (nie ma rady: „dzieło” zbliża się, chwała Allahowi, do końca. Jasne, że potępiam!) egoizm Zahatnego. Dobrze mu tak, takiemu synowi, kochaj bliźniego jak siebie samego, więcej niż siebie samego — które to przykazanie? Ale niech cię tylko, bratku, trochę przyciśnie, od razu myślisz, jak by tu własną skórę ratować, cała ludzkość, ci wszyscy bliźni idą w kąt. Nieśmiertelność mi zapachniała. Pięknie. Każdy umiera w samotności. Wspaniale. Żegnajcie więc, społeczne i rodzinne przystanie, do widzenia, dziateczki: wy nas nie unieśmiertelnicie, myśmy za bardzo skomplikowani, by przetrwać w waszych sercach. Płynmy na morza i oceany, niech zostaną po nas przynajmniej bąbelki na falach, maczkim liter pośpiesznie obsiewajmy zeszyty, na szczęście papier teraz tani...

Słowo honoru, przez pierwsze dni po „wyzdrowieniu” wstydziłem się wziąć córkę na ręce. Miałem wrażenie, że dopuściłem się wobec niej zdrady. O żonie szkoda nawet mówić. Nie popisałem się, to fakt. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: sunie na nas lawina, ja nogi za pas i chodu, z daleka odwracam się jeszcze i krzyczę: „Ratuj się, kto może. Każdy umiera w samotności. Ja chcę być nieśmiertelny!” albo coś w tym guście.

Obrzydliwość. Wracam z pracy, biorę małą i idziemy mamie naprzeciw, jeśli akurat ma drugą zmianę. Błękitny wieczór, śnieżek, tamto, siamto — pełna liryka. Wracamy do domu, gadamy, śmiejemy się, a ja cały czas mam wrażenie, że żona wszystkiego się domyśla. Jak ja mogłem wymyślić coś takiego! Przehandlować ich, i to za co! Za tę grafomańską pisaninę, za złudzenie nieśmiertelności. (Mój Boże, taka to i nieśmiertelność: kilka wydań „wiekopomnego dzieła”, trochę artykułków w prasie, każdy lubi sobie parę groszy zarobić — i po krzyku.) Egoizm ma setki masek i przez to właśnie jest straszny. Za drzwi go wykopiesz, to oknem wróci, byle szparką się wśliźnie. W tygodniu, bywa, wyciągnę czasem zeszyt i od razu przypomina mi się stare przysłowie: Lekarzu, lecz się sam... Łyso mi się robi, wypycham zeszyt do szuflady i przez kilka dni nawet nie patrzę w tę stronę...

Ale dokończyć trzeba. Szkoda zmarnować tyle pracy. Teraz już naprawdę będę się skracać, żeby do Nowego Roku mieć tę historię z głowy. Zwłaszcza że mam mnóstwo nowych planów. Od stycznia mają w Terechówce uruchomić kursy na amatorskie prawo jazdy. Już się zapisałem. Do tego, powiedzą państwo, jeszcze auto potrzebne. Tu właśnie powieść może być, jak znalazł... Na wiosnę sprzedam motor, dołożę autorskie honorarium i Zaporozec gotowy. Warto trochę świata zobaczyć. Kiedy się okazało, że mi nic nie jest, dostałem nagle takiego zrywu do życia... Jeździć, zwiedzać, podziwiać — jak długo w końcu można wokół obojętności chodzić, ogrodzenia misterne dziergać jak nie przymierzając pająk?

Drugie, co wymyśliłem, to motorówkę nabyć. Bardzo lubię wodę. Do rzeki od nas dziesięć kilometrów. Na motorze czy autem w parę minut się jest na miejscu. A potem płynąć sobie, gdzie dusza zamarzy. Słońce, woda, ciepło — sama radość! Piękne by to było życie, miłe, przyjemne. Ale do tego jeszcze kawałek. Z gołą pensją daleko się nie zajedzie. Gdzie indziej przynajmniej jaką chałturkę człowiek podłapie, a ja co, najwyżej stare książki teściowej mogę na makulaturę oddać. Wszystko na tej książczyni zawisło. No i proszę — przydało się to dłubanie. Do grona nieśmiertelnych nie wejde, ale samochód będę miał. Potwierdza się ludowa mądrość: lepszy wróbel w garści...

Ale po co dzielić skórę na niedźwiedziu. Jeszcze powieść w lesie, a ja już forszę liczę. Założmy nawet, że książka się ukaże, wiadomo to, jak te hieny, recenzenci, ją przyjmą? We wszystkich gazetach nagonka się zaczęła, a szczucie, a wyśmiewanie, że tylko wiać, gdzie oczy poniosą, a niech jeszcze naczałstwo w okręgowym wydziale kultury krzywo na to spojrzy... to i ze stanowiskiem można się pożegnać. Takie u nas wszystko tchórzem podszyte. Za gwiazdką goniąc, grunt pod nogami stracisz. Dwóch srok za ogon nie utrzymasz. Ale taki już mój los: w żadnej epoce nie było łatwo w literaturze robić.

Zaraz po trzeciej pod oknem zachłysnął się własnym rykiem motocykl. Pędziwiatr przeleciał bez powitania przez sekretariat i trzasnął drzwiami od gabinetu. Po chwili pojawił się w nich znowu i nie znoszącym sprzeciwu tonem zawołał:

— Uła! Wszystkie makiety i materiały do mnie!

Zawsze, kiedy miał na pieńku z Iwanem, udawał, że go to wszystko szalenie obchodzi i że naprawdę redaguje gazetę.

— I proszę zwołać kolegium. W moim gabinecie — zerknął na zegarek — na piętnastą pięćdziesiąt pięć...

Iwan uśmiechnął się ostentacyjnie. Na piętnastą pięćdziesiąt pięć... Pędziwiatr zauważył ironiczny uśmieszek i z jeszcze większą złością trzasnął drzwiami. Chłopa-czek w roli surowego wujaszka — pomyślał Iwan — zero, które chce pokazać, jakie ono zdolne i operatywne. Pół zebrania zejdzie na opowiadaniu kawałów. Od razu poczuł się w lepszym humorze, choć wiedział, że na kolegium stanie jego sprawa: błąd w artykule wstępnym. Obecność Pędziwiatra zawsze poprawiała mu samopoczucie. Kolory zależą od tła. Chcesz być z siebie zadowolony — umiejętnie dobierz tło. Umiejętnie dobierz tło. Bzdura. Pędziwiatr nie odważy się nic zmienić w makiecie. A jeśli, to plunę na wszystko i niech łamie sam...

Wstał, zatarł ręce, szybkim krokiem przeszedł się po pokoju. Pod drzwiami zderzył się z Memłakiem. Aż go odrzuciło. W tym całym młynie prawie zapomniał — sztukę zapominania opanował do perfekcji — o wczoraj-

szej kłęsce i porannej awanturze, i teraz zrobiło mu się głupio. W bladej, poważnej twarzy Andrija niepokojąco błyszcząły małe oczki. Bez słowa wyminął Iwana i zastukał do gabinetu naczelnego. Dopiero później Zahatny uświadomił sobie, że w wyglądzie Memłaka uderzyła go jakaś smutna rezygnacja, tylko oczy lśniły fanatycznym zdecydowaniem. (Z tym fanatyzmem to już naprawdę przesada: Iwan wymyślił to sobie, kiedy spotkaliśmy się następnego dnia. Widać było, że za wszelką cenę usiłuje zapomnieć o wrażeniu, jakie na nim wywarł postępek Memłaka. Ja tam żadnego fanatyzmu w oczach Andrija nie zauważyłem; malowało się w nich tylko głębokie przekonanie o słuszności tego, co robi. Ale o tym potem...)

— Nie widzicie, że jestem zajęty? — burknął Pędziwiatr.

— Przepraszam, ja na minutkę — grzecznie, ale stanowczo oznajmił Memłak, przekraczając próg. — Chciałem tylko powiedzieć...

Zaraz wygarnie kawę na ławę — pomyślał Iwan. — Chory facet. Całkiem mu odbiło. Niespodziewanie przyłapał się na bezsensownej nadziei, że Memłak utwierdzi szefa w przekonaniu o niesłychanej rasowości parszywego szczeniaka.

— Chciałem tylko powiedzieć, że waszej psinie daleko do rasowości. Proszę mi wierzyć, to zwykły kundel. Znam się na tym, w wojsku przez trzy lata psami się zajmowałem...

Cisza, jaka zapanowała w gabinecie, była niemal dotykalna. Iwanowi zrobiło się żal naczelnego. Nie ma jak litość nad bliźnim, człowiek choć przez chwilę może zapomnieć o sobie.

— Dobra, dobra. Na razie jestem zajęty, jasne? — piskliwie wrzasnął Pędziwiatr i z trzaskiem przestawił na biurku marmurowy kałamarz. — Nie widzicie, że mam robotę!?

— Moim obowiązkiem było powiedzieć wam o tym — nie podnosząc głosu powtórzył Memłak i zamknął drzwi za sobą. Przeszedł koło Zahatnego, jakby ten był powietrzem.

W końcu guzik mnie to obchodzi: rasowy czy nie rasowy. Parszywy kundel. Każdemu wolno robić z siebie idiotę. Zasady... Spróbuj być zasadniczy tam, gdzie na-

prawdę o coś chodzi. Psi rzeczoznawca z zasadami. Koń by się uśmieł. Będzie o czym w Kijowie opowiadać. Pokażcie mi człowieka, który w naszej rzeczywistości może sobie pozwolić na posiadanie zasad. Zwłaszcza na co dzień. Owszem, na historycznych zakrętach, skrzyżowaniach, szczytach. Warto zanotować. Przyda się w jakimś opowiadaniu. Sumując: „Obrona zasad w życiu codziennym to utopia, chimera. Co innego, gdy idzie o sprawy wielkie. Drobiazgowa, przyziemna zasadniczość miernoty. Memłak. 12 VII”. Zresztą Memłak nie ma tu nic do rzeczy. Skreślić. Niesmak po tej historii z pieskiem. Drobiazg. Przyciąć papier. Lubi pisać na ładnym papierze. Dojmujące poczucie estetyki.

Odnalazł magazyniera, wybrał ze stosu ryżę grubej, lśniącej kredy, nastawił gilotynkę i pociął papier na niewielkie arkusiki, jak do zabawy. Lubił, aby każdy nowy akapit był na osobnej kartce. Niebieskim ołówkiem wyznaczył marginesy — na poprawki. Jeden arkusik zostawił czysty — na tytuł. To prawdziwa rozkosz wypisywać swoje nazwisko, a pod nim tytuł genialnego dzieła. Pochłonięty pracą zapomniał o bożym świecie: Memłak, Pędziwiatr, Luda i cały ten nieudany dzień przeszły dla niego istnieć; teraz ważna była tytułówka przyszłej powieści.

W górze, bliżej prawego brzegu, wypisał kursywą: Iwan K. Zahatny. Na samym dole, mniejszymi literkami: Terechówka. Pozostawało już tylko wpisać ozdobną antykwą tytuł. Sęk w tym, że tytułu nie było. Jakoś dotychczas nie pomyślał o tym. Zadumał się głęboko. Potem podszedł do okna i założywszy ręce na piersi utkwiał wzrok w szary jak zgrzebne płótno dziedziniec. Dochodziła czwarta. Do gabinetu naczelnego zastukał kierownik propagandy komitetu rejonowego. Przechodząc przez pokój rzucił krótkie „Dzień dobry, towarzyszu”. Zatopiony w myślach Iwan nawet się nie odwrócił. A może tylko udawał, że nie słyszy...

Już widzę rozczarowane miny szanownych czytelników. Ale się facet nagadał o tym raku. I po co? Nie szkoda papieru? Według wszelkich przykazań współczesnej literatury bohater powinien być przeżyć wielki wewnętrzny przełom, z terechowskiego mieszcza

przeobrazić się w aktywnego, kipiącego radością życia obywatela — a ten, jakby znów na tę samą nutę zaczyna. Nie całkiem na tę samą, kochani. Ale o tym za chwilę. Na razie wysłuchajcie, proszę, kilku moich myśli o wychowaniu. Kogo to nie interesuje, niech opuści kilka akapitów. Co prawda, dalej też nic specjalnie interesującego się nie dzieje. Opowieść kończy się zwyczajnie, tak jak się zaczęła. Więcej rozmyślań, dialogów niż akcji; jaka Terechówka, taka i opowieść. Skąd by się u nas miały brać wielkie namiętności? Jeśli już się zdarzają, to zbyt drobne, by trafić do wielkiej literatury. Można wprawdzie konstruować misterne intrygi w rodzaju: raz piesek wpadł do kuchni i porwał mięsa ćwierć... ale kucharz miał córkę i ta córka razem z pieskiem uciekła do kołchozowego agronoma... ale to zupełnie nie w moim stylu. Niech się tym zajmują zasłużeni, uznani powieściopisarze. Ja nie stoję o nie swoje...

Przepraszam, ale czasem coś mnie „nachodzi”, zupełnie jak, nie przymierzając, Iwaną. Zaczynam się pindrzyć, jak powiatowy aktorzyzna na stołecznej scenie. Aha, mówiliśmy o tym, czy człowiek może całkowicie zmienić się pod wpływem środowiska. Trudna sprawa, proszę państwa. Weźmy takiego Iwana. Żelazna wola, ale i on codziennie postanawiał, że będzie inny. Kiedy raz się w człowieku bies zagnieździ, święty Boże nie pomoże, zawsze się kiedyś odezwie, w dodatku zawsze nie w porę.

Jedno, czego się nauczyłem podczas choroby: cenić każdą mijającą chwilę. Nie wiem, jak to jaśniej wytłumaczyć. Dawniej także lubiłem zaciszne, dostatnie życie. Ale byłem bardzo pewny siebie, tkwiło we mnie niezachwiane poczucie wieczności: istniałem, odkładając na potem przyjemności, które niesie życie, przede mną wszak nięskończony łańcuch dni, po co się śpieszyć? Dzisiaj wiem, że wieczność nie istnieje, w każdym razie dla żywej materii. W każdej chwili łańcuch może się urwać. I każda chwila może być ostatnia. To właśnie odczucie stanowi coś nowego, o co jestem bogatszy dzięki chorobie. Bo jeśli każda chwila może być ostatnia, człowiek chce się nią rozkoszować, wypić do dna, zmusza się do nieustannego napięcia, pragnie uchwycić każdą, nawet najdrobniejszą informację, jak to się teraz uczenie nazywa. Wyjaśnię to na przykładzie. Idę do

pracy. Mroźnik, słońce, świeży śnieżek — liryka... Stą-
pam ostrożnie, jakbym się obawiał uronić choć kroplę
z przepelniającej mnie radości. Sikorki na płotach, wró-
belki na strzechach. Uliczka tonie w powodzi niebiesko-
czerwonych iskier: słońce lśni w zmrożonych drobinkach
śniegu. Jakby ktoś garścią szmaragdów i diamentów
sypnął. Od razu Bażow* mi się przypomina, pamiętacie
państwo tę bajkę o koziołku i drogich kamieniach?
Iskierki migocą. Żywe, przepiękne. Piję to piękno, krop-
la po kropli, wchłaniam je w siebie i delektuję się nim
jak kiper szlachetnym winem. O, to jest trafne porówna-
nie. Ale ten kiper pracuje nie na zlecenie, ale dla siebie.
Bo już może nie dostać następnego kielicha, ta chwila
może być ostatnia, może się już nigdy nie powtórzyć.

No, dosyć tego. Opowiadanie gotowe przerodzić się
w monolog terechowiaka Mykoły Hużwy. Mam wraże-
nie, że w tych wszystkich degustacjach i słowolejstwie
zagubiłem samego siebie. Zaczynam tracić rozeznanie,
gdzie żyję naprawdę, a gdzie tylko udaję i odgrywam
przed państwem jakąś sztukę.

Chcę tylko jeszcze wspomnieć o koledze Memłaku.
Sprawa ze szczeniakiem wymaga bowiem wyjaśnienia.
Skąd ten człowiek znalazł w sobie tyle determinacji, by
powiedzieć naczelnemu prawdę? Z początku nie mogłem
tego pojąć. Ale w przeddzień wyjazdu Andrij zaprosił
mnie do baru. Wyobraźcie sobie: mnie, najmłodszego
w redakcyjnym zespole. Pewnie dlatego, że zawsze trak-
towałem go na równi z innymi i nigdy nie zaczepia-
łem. Usiedliśmy przy stoliku pod fikusem, zamówiliśmy
wermut, sałatkę i bitki (w Terechówce robią najlepsze
bitki na świecie). Wypiliśmy, zakąsili. Rozmowa była
ożywiona, już nie pamiętam o czym. Z tego spotkania
zrobiłem tylko jeden zapis, bo, jak państwo pamiętają,
w zasadzie notowałem tylko to, co miało jakiś związek
z Iwanem. Po pierwszej szklaneczce wina Memłak zrobił
się czerwony, gadał coraz szybciej, wymachiwał rękami
— od razu poznać, że nienawykły do picia. Ale kie-
dy rozmowa zesła na Zahatnego, spochmurniał, zasepił

* Paweł Bażow (1879—1950) — prozaik, który w swoich utwo-
rach wykorzystywał poetyckie motywy uralskich opowiadań i ga-
węd ludowych. W Polsce znana jest przede wszystkim „Szkatułka
z malachitu” i nakręcony na motywach jego opowiadań film „Ka-
mienny kwiat” (przyp. tłum.).

się, widać zadra w duszy była bardzo głęboka. Dopiero przy drugiej butelce powiedział:

— To zdolny chłop. Lotny w myśleniu i w ogóle... A mnie chyba nic nie wychodzi. Wszystko, co mam, to swoją godność i honor. Jak to przehandluję, co mi zostanie? Nie stać mnie było na tę luksusową transakcję nawet w takim drobiazgu. Marta to rozumie. Po scysji z Zahatnym poszedłem prosto do domu i razem przemyśleliśmy to wszystko jeszcze raz. Są rzeczy droższe niż spokój, bezpieczeństwo, nawet życie. Oboje pojęliśmy to wtedy...

Wszystko pójdzie w niepamięć, rozwieje się jak zły sen. Byle nie zważać na drobiazgi, stanąć ponad przeciętnością. Nawet teraz, pół godziny po kolegium, pamięta tylko lękliwy, natrętny głos Pędziwiatra: „O wpół do piątej muszę zameldować w komitecie, jakie środki zostały użyte. Pierwszy wyraźnie powiedział: reakcja na błąd powinna być natychmiastowa”. No i zaczęło się, zupełnie jak w cyrku: komiczne w swej powadze twarze, poruszające się usta, jedno, drugie, trzecie, wszystkie żują, przeżuwają jakieś słowa, on ponad ich głowami patrzy w okno, coraz dłuższe przedwieczorne cienie, uśmiecha się do siebie, oni są przekonani, że to kpina z ich przeżutych słów, zaczynają mówić wszyscy naraz, zapalają się, gestykulują, nic do niego nie dociera, jest gdzieś daleko, *suchotniczy park rejonowej stolicy, ślepa, ceglana ściana, tyły klubu, kilka cherlawych akacji, pod akacjami tłum, duszny krąg, zwijający się w coraz ciśniejszą pętlę, w środku samotnik, postawny, skronie przyprószone siwizną, oczy przewiązane chustką, krąży w kółko z rozłożonymi rękami utraciwszy poczucie kierunku, tłum ryczy ze śmiechu, triumfuje, nędzny, obrzydliwy triumf miernoty, wreszcie samotnik natyka się na ludzki mur, zrywa chustkę z oczu, sznurek, na którym wiszą nagrody, daleko, zupełnie nie w tej stronie, rechot się wzmaga, rozdziawione gęby, podniecone twarze, błyszczące zadowoleniem oczy, puste, bezbarwne jak kolumny gazet, samotnik każe znów zawiązać sobie chustkę, znów zaczyna iść, z wyciągniętymi przed siebie rękami, migoczą nożyczki, którymi trzeba przeciąć upragniony sznurek, znów triumfalny rechot tłumy,*

samotnik idzie zupełnie nie tam, gdzie trzeba, nożyce ze szczękiem przecinają powietrze, sznurek wisi nietknięty, wszystko zaczyna się od początku, uparta, beznadziejna walka giganta z baranami, tragiczny turniej, teraz już nie skrada się chytrze wzdłuż muru ciał, nie oblicza żadnego kroku, prawie biegnie, nerwowo, niecierpliwie, wymachuje rękami jak wiatrak, wszystko przypomina jakiś szalony taniec... „Ale nagana nic nie załatwia. Sprawa ma głębszy charakter. Sytuacja towarzysza...” Tytuł. Trzeba wymyślić tytuł, teraz, żeby potem nie tracić drogiego czasu. Nic sensownego nie przychodzi do głowy. „On i oni” — niezrozumiałe. „Samotność” — banalne. „W słońcu” — dobre, ale mało konkretne. „Towarzysz Zahatny to zdolny dziennikarz, będą z niego ludzie, musi się tylko zastanowić, w imię czego pracuje...” „Odejdźcie w mrok” — trochę śmieszne, trąci kiepskim kryminałem. Poza tym nie wydrukują. „Ja” — nie, to nie to. „Ja i świat”. Na razie obleci. Może się przydać. Ale też pretensjonalne i w wydawnictwie będą się czepiać.

Tytuł symbol. Pisać jak spowiedź. W każdym słowie — cząstka siebie. To jest to. O kim bym pisał swoje genialne utwory, jakby mnie nie było na świecie? Ja i świat. Ja i świat. Po co oni żują te nudne wypowiedzi? Potem rozpełzną się do swoich dusznych nor, a on wciągnie na maszt różowe żagle i odplynie w wieczność. Nawet nie skinie ręką na pożegnanie. Będą się kokosić w betach, obłapiać tłuste małżonki, on będzie już po tamtej stronie wieczności. Nieosiągalny. Najważniejsze — raz przepłynąć, spenetrować drogę. Po pierwszej powieści przyjdą dziesiątki innych, jeszcze piękniejszych. Z każdą następną on będzie coraz dalej od tego tłumu. Długo czekał, trzydziestka na karku, ale wierzył, był przekonany, że taki dzień jak dziś musi nastąpić. Tylko miernota nie wierzy w siebie. Aha, oni czekają, żebym się pokajał, proszę bardzo, już się robi: przybieramy pokorny wyraz twarzy, wstajemy pełni poczucia winy, palce niespokojnie biegają po stole, wargi drżą, głos się łamie: „Dziękuję, towarzysze, że zechcieliście poświęcić tyle uwagi mojej skromnej osobie...”

Jeszcze mam w oczach jego zimny, sceptyczny uśmiešek. Tak triumfuje indywidualność nad pospółstwem.

Moja opowieść o dawnej Terechówce dobiega końca. Podkreślam — dawnej, bo teraz ona zupełnie odmieniona, chociaż jeszcze nie awansowała do rangi rejonowego centrum. W ostatnich latach zbudowano w rynku nowy pawilon delikatesów, nad rzeką stała łaźnia, wyremontowano odcinek drogi łączący się z trasą na Kijów. Tylko w ubiegłym roku ludzie pracy nabyli siedemnaście telewizorów, dziewięć pralek, dwadzieścia sześć rowerów, trzynaście motocykli, jeden samobieżny wózek inwalidzki. Rozkwita sławna Terechówka! Powyższe dane wydobylem z gminnej rady narodowej, ot, na wszelki wypadek, żeby nikt mnie nie oskarżył o tendencyjne przemilczanie naszych sukcesów. A sukcesy są. I to duże. Ale proszę wziąć pod uwagę, że w opowiadaniu przedstawiam obraz Terechówki z końca lat pięćdziesiątych, kiedy jeszcze postęp nie nabral takiego rozmachu i jakby mniej rzucał się w oczy.

Z epepei jestem raczej zadowolony. Tyle że sylwetka Zahatnego jakoś nie za bardzo wyrazista. A przecież nie da się ukryć, że tylko ze względu na niego podjąłem się tej żmudnej pracy. Przerzucam kartki i doznaję dziwnego wrażenia: wyglądam jak jakiś liliput, ogromna postać Zahatnego wznosi się hen, w górze, dookoła ciemność, próbuję oświetlić go latarką, ruchomy snop światła wyławia z mroku to rękę, to nogę, to znów część twarzy, tylko cała sylwetka gdzieś niknie. W rzeczywistości Iwan był bardziej skomplikowany, niż się tu rysuje. Naprawdę gość z charakterem. Chcąc go opisać, trzeba by postawić się na jego miejscu. A my zbyt różniemy się od siebie. Jeszcze raz podkreślam: zbyt się różniemy. Chwilami lęk mnie ogarnia: można pomyśleć, że go usprawiedliwiam. Nie, po tyśiąckroć nie! Ja, człowiek spokojny, zrównoważony, rodzinny, lubię ludzi, pracę i nigdy nie starałem się wywyższać nad innych. Co innym — to i mnie.

Uprowadzając niedorzeczne zarzuty i fałszywe domysły, powiem od razu, jakie znaczenie ma każdy obraz. Wyjaśnię morał opowieści. Po co mi ktoś ma oko podbić. A więc w postaci Zahatnego starałem się w artystycznej formie ukazać i potępić inteligenta, który oderwał się od ludu — trafiają się jeszcze tacy abstrakcjonisci. Rysując wizerunek towarzysza Memłaka twierdzą, że nie talent i zdolności, ale skromność jest największą ozdobą

człowieka, i że „miernota”, jak mawiał Iwan, może być bardziej uświadomiona niż „niepowtarzalna indywidualność”. Pędziwiatr pomaga mi opisać faceta, który wybrał błędną drogę życiową. Tacy jak on powinni kierować jakimś sklepem z konfekcją, a nie redakcją gazety. Dziadźko to krytyka lizusów, jakich często opisuje „Perec”, oczywiście bez nazwisk. To chyba komplet. Widzą państwo, że nic nowego nie wymyśliłem, o wszystkim nieraz pisało się i nadal pisze w gazetach, proszę więc na mnie nie zważać.

Nie da się ukryć, że w obawie przed krytykami przemilczałem niektóre cechy charakteru Iwana. Te mądrale tu wykroją słówko, ówdzie cytacik i taki z tego potrafią uszykować pasztet, że człowiekowi w gardle stanie. Biję się w piersi: golizna na tym obrazie prześwieca. Spróbuję więc choć trochę podłatać. W pierwszej części powieści jest opis dyskusji Zahatnego z Wasylem Mołochwą. Te kłótnie (bo trudno to nazwać dyskusją, Iwan nie wdaje się w żadne polemiki; chyba nawet nie słucha, co przeciwnik ma do powiedzenia, ale szybko i bezpardonowo wbija ćwieki do jego trumny), otóż takie scysje wybuchały z błahych powodów kilka razy na dzień. Kiedy go poniosło, Iwan potrafił coś takiego zasunąć, że uszy wędły. Człowiek rzeczywiście dochodził do wniosku, że nie pozostaje mu nic innego, jak okryć się prześcieradłem i pełznąć prosto na cmentarz. Spróbuję uogólnić te maksymy w jednym zdaniu. Można powiedzieć, że Iwan nie wierzył (a może tylko udawał, że nie wierzy) ani w przeszłość, ani w przyszłość ludzkości. Zannotowałem sobie kilka takich wypowiedzi. Chwileczkę, muszę jeszcze raz otworzyć notes:

Do redakcji wkracza prezes miejscowego kółka myśliwskiego. Podniecony udanym polowaniem, proponuje notatkę: „Drapieżniki wycięte w pień”. W rzeczywistości upolowano dwie sztuki. Iwan oblewa gościa kubłem zimnej wody: „Ho, ho, ale wyczyn. Dwudziestu urzędasów uzbrojonych w nowoczesne strzelby zabiło z nudów dwoje bezbronnych zwierząt...” „Jest uchwała o tępieniu drapieżników”. „Największym drapieżcą jest człowiek. Może nie?” „Człowiek to król przyrody! My uszlachetniamy przyrodę!” — zapala się towarzysz z kierownictwa. „Któż nas osadził na tym królewskim tronie? Przecież już tak spaskudziliśmy przyrodę, że można tyl-

ko podziwiać jej cierpliwość. Czasami mam wrażenie, że podświadoma skłonność ludzkości do totalnej wojny, do samounicestwienia, to okrutny, lecz sprawiedliwy odwet przyrody. Wyobrażam sobie, jaki śmiech ogarnie planetę i to, co jeszcze pozostanie przy życiu, na widok naszych cuchnących trupów i gruzów naszej sławetnej cywilizacji..." Zahatny śmieje się jakoś zimno, okrutnie. Przybysz podnosi się: „Wiedziecie, z takimi poglądami to lepiej od razu pętlę na szyję". Iwan milczy ponuro. Wygląda, jakby wybuch śmiechu wypruł z niego wszystkie siły.

Jeszcze jeden zapis. Krótki, tylko monolog Iwana. Już nie pamiętam, od czego zaczęła się rozmowa.

„Historia ludzkości jest podporządkowana jednej zasadzie: kto najwięcej krwi przelał, ten bóg, ten bohater, do którego wszyscy się modlą. Przykłady? Proszę, do wyboru, do koloru. Napoleona dotychczas uważa się za wielkiego człowieka. Ludzie! Zastanówcie się, co to oznacza: wiel-ki czło-wiek... Nie wiadomo, śmiać się czy płakać”.

Nie było siły, żeby go przekonać. Jego sądy były kategoryczne. Najważniejsze zaś, że od tych wyroków wiało ponurą beznadziejnością. Może dlatego wszyscy stornili od dyskusji z Zahatnym. Nawet ja, choć z czasem przywykłem do jego sceptycyzmu, z trudem wytrzymałem ten totalny brak wiary. Zwłaszcza gdy rozmowa schodziła na wojnę atomową. Teraz także nie lubię o tym rozprawiać, nie ma sensu na zapas się martwić, będzie to będzie, tak czy owak kiedyś pomrzemy, chciałoby się, co prawda, żeby i dzieci mogły sobie pożyć, ale to nie od nas zależy, taka wojna to jak klęska żywiołowa: niby wszyscy się z nią liczą, ale naprawdę nikt o niej nie myśli, słońce też kiedyś zgaśnie, ale to nie powód, żeby sobie włosy z głowy rwać. Są faceci, którzy mają obowiązek o to się troszczyć, forszę, i to nie byle jaką, za to biorą. Zahatny z lubością rozprawał o niedalekim końcu świata. Można by rzec, iż nurtowało go to nieustannie, paliło jak żywym ogniem, nawet w towarzystwie nie mógł o tym zapomnieć. Z tego, co mówił, wynikało, że przyszła wojna potrwa najwyżej kilka godzin, potem zaś nie będzie na naszej planecie nawet śladu rozumnego życia. Po wielu tysiącletniach narodzą się może jakieś nowe istoty, lecz do pojawienia

się istot rozumnych przyroda już nigdy nie dopuści: wcześniej czy później rozum znów doszedłby do samo-unicestwienia i obrócił w popiół wszystko, co go otacza, dla przyrody zaś operacja taka jest zupełnie irracjonalna i nieopłacalna.

Może coś tu poplątałem, w filozofii nie jestem za dobry, no i nie mam ochoty wypełniać całej książki teoriami Iwana, mnie samemu od nich markotnie się robi i dostaję gęsiej skórki. Czasem zdawało mi się, że w słowach Iwana dźwięczy zimny triumf, jakby ta ogólna niemożność sprawiała mu zadowolenie. Zupełnie nie mogłem się w tym połapać. Zresztą może to przywidzenia. Niech państwo nie przyjmują wszystkiego tak bezkrytycznie, u mnie też dużo od nastroju zależy. W dodatku mogą państwo dojść do mylnego wniosku, że Zhatny nienawidził ludzi itd. Przyznaję, że niezbyt dobrze go rozumiem, ale jednego jestem absolutnie pewien: ostrzej niż każdy z nas odczuwał tragizm pułapki, w jakiej znalazła się nasza cywilizacja — i traktował to jako swoją osobistą tragedię. Innymi słowy, chciał wierzyć, a może i wierzył w człowieka. Tylko tak można rozumieć słowa, które wymknęły mu się podczas jednej z jego wieczornych spowiedzi: „Każdy ma nadzieję, że jakoś przeżyje przyszły kataklizm: a nuż będzie miał więcej szczęścia niż sąsiad. Ja chciałbym zginąć w pierwszej sekundzie. Jeśli rzeczywiście przyjdzie do tego zbiorowego samobójstwa, nie warto dalej żyć...”

Zapamiętałem także inną jego wypowiedź, której nawet zacytować nie mam odwagi. Pewnego jesiennego wieczoru, kiedy zostaliśmy sami w redakcji, rzekł, patrząc mi prosto w oczy: „Wyobraźcie sobie taką sytuację. Siedzę za kierownicą ogromnego samochodu. Przez jezdnię przechodzi genialny artysta. Naprzeciw — gromada zwykłych szarych ludzi. Nie jestem w stanie zahamować: albo rozkwaszę setkę miernot, albo jednego tytana. I wtedy w imię ludzkości, w imię humanizmu — tak, nie cofam tego słowa — w imię humanizmu kieruję samochód w tłum. Możecie zaproponować lepsze rozwiązanie?”

Wchodził w ciszę jak do pałacu z bajki, na palcach, by nie rozwiać wymarzonego snu. Jeszcze skrzypnęły za kimś drzwi, jeszcze zawarczał motocykl naczelnego: Pędziwiatr jak zwykle wyskakiwał na ryby. Za oknem przepłynął długi cień Memłaka. Ukośne promienie słońca kładły się złotem na szybach.

Zamknął na klucz drzwi wejściowe, sekretariat i gabinet naczelnego. Przysunął fotel do biurka, wreszcie za trzema zamkami człowiek czuje się pewny samotności. Słoneczna ulewa rozpryskiwała się na szklanej tafli biurka, rozpraszała, drażniła. Jednym szarpnięciem zaciągnął firankę. Na stole białał równo przycięty stos białych kartek, z boku — wieczne pióro. Ulicą snuli się terechowanie, śmieszni i nędzni w swojej krzątaninie. Przymknął oczy — *brudnawa, prowincjonalna szarość spowijająca drzewa, trawę, twarze, podniecona darmowym widowiskiem gawieź, tytan ducha, który na chwilę próbował być miernotą, obłąkany taniec z nożycami, ostrza dotykają sznurka, zgrzyt, wygrana — opasty pakunek — pada na ziemię, samotny tytan triumfalnie zrywa z oczu przepaskę, przed nim suchotniczy park, zachłystujące się śmiechem paszcze widzów (wzbudzić w sobie owo dojmujące poczucie wyższości, wiecznej niepokory i nienawiści do ludzkiej zgrai...) — pod przymkniętymi powiekami uparcie przepływały soczyste, drażniące obrazy: bosa stopy, plusk Dniepru, obciążone różowym kostiumem dziewczęce piersi, różowy od słońca brzeg... Oparł się o stół, obiema rękami ścisnął głowę nie odrywając wzroku od lśniącego arkusza papieru. Na próżno. Może się zmęczył w oczekiwaniu na wieczór i ciszę. Zmusić się do pracy, zgwałcić nieposłuszny mózg... opasty pa-*

kunek pada na ziemię, samotnik łapie go i pośpiesznie rozwija, milczący tłum czeka w napięciu: spod pierwszej warstwy papieru wylania się następna, jeszcze jedna, i jeszcze, przekłety, papierowy wróg! trzeba go zniszczyć, w tłumie zrywa się rechot, papierom nie ma końca, spod każdej warstwy wylania się następna, paczka robi się coraz chudsza, rechot potężnieje, zwycięski rechot tłuszczy, jeszcze jeden papier, stopy toną w pogniecionych strzępach, w ręku papierowy kłębek, nareszcie ostatni arkusz i — pustka, w dłoniach zostaje powietrze, nic nie wygrał, przegrał turniej z gawiedzią, oszukano go nędznie, podle, tłum zdycha ze śmiechu, tłum...

Co z tym tłumem?

Obejrzał się, a potem zaczął gorączkowo robić porządek na biurku: papiery szefa do szuflady, komplet biurowy na regał, nawet kalendarz zniknął spod szkła... Nie wolno się rozpraszać. Twórczość potrzebuje przestrzeni. ...*tłum śmieje się, zdycha ze śmiechu...* To już było, znów albo ten śmiech, albo rechot, tutaj potrzebne są świeże wrażenia, nowe słowa. Tylko bez paniki. Przecież to ona, ta chwila, której przeczuciem żyje już drugą dobę. Od wczoraj wieczór. A może od urodzenia. To jego nadzieja i usprawiedliwienie niedorzecznego turnieju z terechowską gawiedzią. Nie tędy droga. W żaden sposób nie zbierze myśli, zanim nie będzie miał tytułu. Tytuł ukierunkuje powieść, dobry tytuł — połowa pracy. Może lepiej ołówkiem? „Ja i świat” — bardzo pretensjonalnie i nieprecyzyjnie. „On” — lakoniczne, zwarte i z podtekstem. Nie każdy redaktor się połapie! Tak, tak, właśnie „On”. Pośpiesznie wykaligrafował na pierwszym arkusiku wielkimi literami: ON. Teraz wreszcie narodzi się jego najlepsza powieść. O święta chwilo natchnienia! Więcej patosu i uogólnień. Jak w przypowieści, tyle że współczesnej. Idiotyczne szeptki za ścianą. ...*zwracając się ku nędznemu tłumowi, rzekł z gniewem...* Tak, to wyraźnie za ścianą, w drukarni. Bydlaki! Nie wyłączyli głośnika. ...*rzekł z gniewem...* Nie. Nie napisze ani jednej literki, póki nie zatka tego głośnika. Oto czemu nie mógł zebrać myśli. Nic dziwnego. Szarpnął drzwi do sekretariatu, drżącymi palcami, łamiąc paznokcie, wymacywał na szafie klucz od drukarni. Wyrwał wtyczkę z gniazda i otarł zroszone zimnym potem czoło.

Nareszcie cisza!

Mówi się, że z biegiem czasu człowiek formuje się, wychowuje. To prawda. Ale rdzeń, podstawa charakteru przez długie lata pozostają niemal takie same. Doszedłem do tego zastanawiając się nad życiem Iwana. W poprzednich rozdziałach starałem się nieco naświetlić jego młodość. Niestety o dzieciństwie Zahatnego wiem bardzo mało, właściwie nic, z wyjątkiem dwóch relacji w dzienniku Ludy. Wprawdzie nie mam zbyt wysokiego mniemania o jej skrupulatności, ale niech państwa nie dziwi otwartość Iwana. Powtarzam, jeśli miał odpowiedni nastrój, lubił babrać się we własnej duszy, zwłaszcza jeśli rozmówca wzbudzał jego sympatię:

„Mówią, że zwierzęcia, które raz skosztowało ludzkiego mięsa, nie można trzymać na wolności. Prędzej czy później znów się na kogoś rzuci. Z władzą to samo. Zwłaszcza jeśli ktoś wcześniej poznał jej smak...”

Okupacja, potem w jesieni zachorował, do trzeciej klasy (dwie skończył przed wojną) poszedł jako wyrosnięty chłopak. Natura też nie poskąpiła mu siły. Siedział w ostatniej ławce, „na kamczatce”, przed nim ostrzyżone łepetyny maluchów. Z początku wstydził się przewagi, jaką dawały mu wiek i siła, potem się przyzwyczaił. Wkrótce rej wodził w klasie. W następnym roku nauczyciel zrobił go starostą — taki, rozumiecie, będzie sprawnie rządził i potrafi zmitygować urwipółciów. Odtąd dzierżył także oficjalną władzę. Patrząc na dzisiejszy wizerunek Iwana, myślę: mały Zahatny chyba też nie nadużywał swego stanowiska. Jedyne, czego wymagał od kolegów, to uznania swojej absolutnej władzy i czasem — dowodu pokory. Opieram się na tym, co sam mówił i co zanotowała Luda:

„Z natury jestem dobry. W klasie wymagałem pełnej pokory, ale dla pokornych byłem łaskawy...”

Znów pozamykał drzwi, szczelnie zasunął na okna bielmo firanek. Gdy przechodził koło odbiornika, pomyślał, że najchętniej posłuchałby teraz Wagnera. Dla nastroju. Ale przemógł się. Poszperał w szufladach szefa, zapalił papierosa — łatwiej będzie się skupić. Już wie, jaki popełnił błąd: nie przemyślał powieści do końca, dzieło nie dojrzało w nim jak jabłko, które wystarczy tylko zerwać.

Na czym to się zatrzymał? Aha. ...nożyce obcinają papier, w środku nic, ot, terechowski kawał, ten poziom intelektualny, motłoch rechocze, nędzników zawsze raduje klęska tytana, z dumnie wzniesioną głową odchodzi, tłum rozstępuje się, jak morze przed Mojżeszem, przez chwilę ludzkie stado odczuwa jego siłę i gotowe jest paść przed nim na kolana, lecz on nie pragnie uznania ze strony miernoty, opuszcza park, przecież ma ją, już wpół do siódmej, ona czeka na niego w domu towarowym, wielkooka, ze wspaniałymi warkoczami, w całej Terechówce (wymyślić inną nazwę) tylko ona jest zdolna go zrozumieć, delektuje się tą chwilą: stanie na progu, a ona uśmiechnie się do niego, jej oczy przemówią: „To ty. Tak długo na ciebie czekam. Całe moje życie to jedno oczekiwanie...” a on nie powie ani słowa, podejdzie bliżej, wyciągnie dłoń, a potem wezmą się za ręce i pójdą... wchodzi do domu towarowego, zachodzące słońce szciodrze różowi szare, pokryte patyną terechowskiego kurzu witryny, idzie przez różowawe, puste wnętrze, jej ciągle nie ma, przed nim już tylko ostatni dział konfekcji gotowej, i wtedy w samym kącie dostrzega ją: stoi tuż przy oknie wystawowym, wielkooka (oczy jak chabry), warkocze schowane pod futrzany kołnierz zimowego płaszcza niedbale narzuconego na ramiona, smukłe żółtoróżowe dłonie z cieniutkimi paluszkami, jaskrawoczerwone wargi, kształtne nogi, zbyt kształtne jak na manekin, czoło bez jednej zmarszczki, malarz był zbyt leniwy, by nakreślić bodaj dwie-trzy kreseczki, wtedy zdawałaby się jeszcze prawdziwsza, można by się w niej zakochać, zanim nie pokryłby jej terechowski kurz, w jej oczach było coś, nie tylko pustka, ta okropna terechowska pustka, jeszcze jeden terechowski kawał — teraz przypomina sobie, jak Huźwie latały nozdrza, gdy opowiadał o tej nowej z domu towarowego, ale on tak bardzo chciał wierzyć, stęsknił się za ludźmi, co za podłość, wzrokiem zaszczonego zwierzęcia omiata salę, słońce stacza się za dom kultury, on wychodzi na ulicę i zaczyna iść przed siebie, ostatnie domy Terechówki zostają z tyłu, teraz widzi słońce zupełnie blisko, duże i krwawe, przez chwilę cała Terechówka stanęła w ogniu, ale on odwraca się, nie pragnie zemsty, za bardzo pogardza, by się mścić, słońce zapada za horyzont, nadchodzi zmierzch, niemal biegnie

przez pola, przemyśleć, dokąd chce uciec od ludzkiego stada, światła na horyzoncie, nie, tylko nie robić sobie złudzeń, światła, to znowu ludzie, znów takie samo stado, masa, trzeba wymyślić coś bardziej monumentalnego, dokądże ucieka? do kogo? w tym cały sens powieści, trzeba rozpatrzyć wszystkie warianty, najważniejsze: nie padnie przed nimi na kolana, nie potrzebuje uznania ze strony miernoty, przeciętność nie jest zdolna go ocenić...

Więcej szczegółów. Trzeci papieros się kończy. Tak nie można. Spokojnie. Bez paniki. Zbyt wielkie nadzieje ulokował w tej powieści, nie podda się tak łatwo. A więc, światła na horyzoncie, słodkie złudzenie i tyle, gdziekolwiek pójdzie, pozostanie samotny, samotny wśród ludzi, bo wszędzie będzie się czuł tytanem na tle tłumu, Guliwerem pośród Liliputów, a może rzeczywiście jemu nikt nie jest potrzebny, pozostanie sam pośród stepu, nowy Robinson, tylko jak to zakończyć, może symbolicznie? opuszcza Terechówkę i idzie w step, na spotkanie słońca, które zachodzi, a może wschodzi? co za różnica, ale to zbyt banalne, i tak czy owak problem pozostaje nie rozwiązany, w każdym wydawnictwie każą dopisać zakończenie, może nocne niebo nad stepem, w dali konające światła Terechówki, unosi ramiona, z ramion wyrastają skrzydła, szerokie, potężne skrzydła, szybuje ku gwiazdom, wolny i niedosiężny dla tych, którzy go nie zrozumieli, którzy nie są w stanie go zrozumieć, przed nim niebo, przed nim wieczność... Mistyka. Nie-realistyczne. A powieść realistyczna. Chociaż przypomina trochę biblijny apokryf. Lecz przecież nie puszcza. Już słyszy te bezsensowne pytania: co on, anioł? Nie będzie przecież każdemu wyjaśniać, że Bóg. I nie każdy pojmie. Większość nie zrozumie. Bo czytać będą masy. Tragiczne w swej istocie słowa. ...dokąd idzie? step, dalekie światła, które wabią, może to nowa Terechówka, nie! nie tak, tego nie unikniesz — nowa Terechówka, cholera, skończyły się papierosy, w radiu też nic, co podniosłoby człowieka na duchu, samo rzępolenie, pokoje pełne dymu, nie ma czym oddychać, duszny wieczór, w nocy pewnie będzie burza, trzeba natychmiast dokądś jechać, ostry świst wiatru, zbawienne poczucie ruchu, nie wie dokąd, lecz bezwzględnie musi jechać. I to już. ...rozpościera skrzydła nad uśpioną ziemią... Do

diabła z tymi skrzydłami, musi jechać, musi, to wcale nie ucieczka, to tylko taktyczny manewr opóźniający, cholerna Terechówka, takie nadzieje wiązał z dzisiejszym wieczorem, i gdyby nie ten konieczny, niemal wymuszony wyjazd...

Mogą państwo mówić, co chcą, ale dla Iwana była to prawdziwa katastrofa. Niemal dwie doby żyć wizją arcydzieła, które miało go wynieść ponad przeciętność, i nagle odkryć gorzką prawdę, że nie potrafi się tego arcydzieła stworzyć — nie, nie darmo wybrałem dla swej opowieści właśnie ten dzień. Nazajutrz Iwan zapomniał o gimnastyce, spóźnił się do pracy, nawet tomik Hegla gdzieś się zawieruszył. Odtąd jawnie ómił papierosy, nawet do kolegów zaczął odnosić się jakby bardziej miękko. Nie miałem wątpliwości — coś musiało się w nim nadłamać. Wprawdzie pod jesień ożył nieco: zewsząd dochodziły natrętne plotki o likwidacji rejonu. Z jaką nadzieją oczekiwał całkowitej zagłady tego siedliska urzędasów! Nawet się z tym nie krył. Upajały go świeże powiewy zwiastujące burzę, nasłuchiwał, kiedy uderzy piorun. Miał fart: pierwszy przeczytał w gazecie tę gorzką dla naszego sławnego miasta wiadomość. Mogą sobie państwo wyobrazić jego złośliwą radość. Przez całą długą jesień poprzedzającą ów fatalny dzień, słyszałem tylko żalosne: „Wyssała mnie Terechówka. Zabiła we mnie artystę...”

Niby się zgadzałem, niby potakiwałem, ale już wtedy myślałem inaczej. Czas już jednak przepisać dla państwa z brudnopisów Iwana bodaj zarys powieści, którą chciał stworzyć. Zachowało się kilka wariantów, lecz wszystkie miały wspólny lejtmotyw.

„Jakieś zmyślane miasto, siedziba administracji centralnej, symbol omalże całego wszechświata. Jakby Terechówka, tylko nazwa inna, zupełnie niepodobna. Genialna indywidualność. Dzięki intelektowi i twórczym możliwościom wyrasta ponad tłum i dlatego tłumem pogardza. Duszny letni dzień. Wszystko przysypane szarym pyłem, przymglone rozpalone niebo. Pragnienie, którego nie da się ugasić, woda ciepła i stęchła. Wielokrotnie powracający smak trucizny i trupi odór.

Jakaś administracyjna instytucja, chyba redakcja

miejscowej gazety. Nigdzie żywego ducha, niedziela. Samotnik błąka się po pustych pokojach, męczy go pragnienie, fizyczne i duchowe. Bardzo źle znosi samotność. Prawie odchodzi od zmysłów. Nagle przypomina sobie, że kumpel mówił coś o nowej dziewczynie, którą przyjęli do domu towarowego. W Terechówce każda nowa twarz to wydarzenie. Tym bardziej dla geniusza, który wśród ludzi umiera z braku ludzi. Bucha wulkan pomysłów, marzeń, planów. Jednak samotnik świadomie odwleka spotkanie, boi się rozczarowania, chce się nacieszyć swoim nowym uczuciem... Idąc w stronę domu towarowego próbuje ugasić pragnienie lemoniadą miejscowej produkcji, pociąga łyk, spluwa, lemoniada też przypomina truciznę, woda ciepła, stęchła. Przechodząc przez szary, wypłowiwały, jakby suchotniczy park, znów myśli o dziewczynie. W parku kulturalnie wypoczywają masy pracujące: jakieś gry, loterie, atrakcje. Samotnik (a właściwie Iwan Zahatny, powieść miała być autobiograficzna, kiedyś w Terechówce Iwanowi zdarzyło się coś takiego — M. H.) postanawia nie kapitulować przed tłumem, chce pokazać, jak łatwo być miernotą, bierze udział w zabawie, lecz gra okazuje się o wiele trudniejsza, niż się mogło wydawać. Tłum wyśmiewa się z nieudanych usiłowań... Wreszcie Zahatny zdobywa nagrodę: spory pakunek, zaczyna się gorączkowe rozpakowywanie, papierzyskom nie ma końca, wreszcie ostatni strzęp — i koniec, pustka. Wygrał kłęb starych gazet, tłum turla się ze śmiechu, Zahatny idzie do domu towarowego, ale i tam czeka go rozczarowanie, zrobiono go w konia: dziewczyna, o której myślał i marzył — to zwykły manekin. Zahatny decyduje się opuścić Terechówkę, widać, jak idzie przez pola prosto w zachodzące słońce...”

Na tym urywają się wszystkie warianty noweli-przypowieści. Poza ten obraz Iwan nie umiał wyjść. No bo dokąd teraz? Cokolwiek by wymyślił, samotny geniusz zawsze musi dokądś wrócić, nie do tej Terechówki, to do innej, różnica tylko w nazwie. Znów będzie zależny od ludzkiego stada, od motłochu. I znów, chce czy nie chce, musi szukać swego odbicia w oczach miernoty. Prawda, można było zrobić z bohatera jakiegoś nadczołowieka, uskrzydłone bóstwo, które szybuje ku gwiazdom i stamtąd lekceważąco zerka na daleką, nędzną Tere-

chówkę. Pierwotnie tak właśnie miało to wyglądać. Ale, faktycznie, jaki wydawca w naszej ateistycznej epoce puści taką beznadziejną bzdurę? Wszystkie zaś rachuby Iwana opierały się na tym, że powieść bezwzględnie musi się ukazać. W przeciwnym razie, co i komu w Terechówce mógłby udowodnić?

Zawszeć, myślę sobie, można było dorobić jakieś zakończenie. I to bardzo proste. Już któryś z klasyków powiedział, że genialność polega na prostocie. Zahatny, a raczej jego bohater, mógł rzucić się w wir miejscowego życia, zbliżyć się do ludzi — i po kłopotcie. Jak ci się coś w Terechówce nie podoba, zwróć się do instancji, pomóż ulepszyć, a nie zajmuj się tylko jałowym krytykanctwem, bo ani miasteczku, ani tobie to na dobre nie wyjdzie. Nie mam racji? A przyłożyć się możesz na tysiąc sposobów: pomóc instancjom kierowniczym, włączyć się do pracy rozmaitych społecznych komisji organizatorskich lub kontrolnych, wystąpić na zebraniu, wypowiedzieć się, zaproponować coś wartościowego, w końcu jesteś dziennikarzem, masz w ręku skuteczną broń. Niezmierzone pole dla inicjatywy. Wystarczy tylko chcieć!

Tak więc świat nie został uszczęśliwiony genialną powieścią. Ale to nie Terechówka jest winna. Winien jest Zahatny.

Iwan przeleciał z warkotem krętymi ulicami miasteczka i wydostał się na szosę. Asfalt ciągle jeszcze dyssał żarem upalnego dnia, ale pierś jadącego owiewał chłodny, pachnący lubinem wiatr od pól, gdzie drzymały sterty zżętego zboża. Stojące wzdłuż drogi chaty coraz szybciej umykały w tył. Ta jazda bez celu była prawdziwą esencją ruchu. Szosa była pusta. Odbił ku środkowi i wrzucił czwórkę. Przydrożne wierzby zaczęły uciekać w tył, najpierw leniwie, potem coraz zwawiej, jak spłoszone szare cienie. Z ciemniejącego nieba spadały puszyste, gęste zwoje wiatru i z chrapliwym świstem umierały pod kołami. Wciąż dodawał gazu, ruch upajał go, chciał mknąć jeszcze prędzej, dogonić coś, co nie istnieje, zapomnieć.

I zapomnienie spływało na niego: strzałka na świetlistym krążku szybkościomierza wychyliła się poza set-

kę; już nie było ani wieczoru, ani asfaltu, była tylko szumiąca przepaść zmierzchu, w którą spadał Iwan Zabatny.

Stawiam się na piedestale. Rozpisuję się nad katastrofą Iwana, a sam co? Stoję nad przepaścią. I nie wiem, dokąd iść, co ze sobą zrobić? Póki nie wsiąknę w tę głupią pisaninę, żyłem jak inni, spokojnie, cicho, skromnie i nawet w głowie mi nie powstało, że coś tu jest nie tak. A teraz...

No i macie waszą katastrofę, towarzyszu Huźwa!

Upojony pędem Iwan zwolnił, podniósł głowę i zapatrzył się na migające po bokach wierzby, chcąc jeszcze głębiej, bardziej dojmująco odczuć swój ruch w przestrzeni. Po obu stronach drogi powoli obracała się szachownica pól upstrzona guzami stogów i ciemnobrązowymi łatami hreczki, tam właśnie gęstniał tajemniczy i nęcący zmierzch. Wyjechawszy na pagórek Iwan wzdrygnął się, tak dziwny, niemal fantastyczny widok ukazał się jego oczom. Schodzące w dół ściernisko kończyło się małym jeziorkiem. Pośrodku na długich nogach tkwiły olśniewająco białe ptaki, nieruchome, uroczyste, jak gdyby wyciosane z drogiego kamienia. Iwan miał wrażenie, że na chwilę otwarł się przed nim inny świat, niedostępny dla zniecieriekowanych terechowian, istniejący gdzieś ponad szarą codziennością, świat, który potrafią dostrzec tylko wybrani. A może mi się to wszystko przyśniło: ta szalona jazda, to jezioro i te białe ptaki? — pomyślał. Przyhamował ostro i zawrócił.

Zostawił motor na poboczu, pod wierzby. Ostrożnie, wstrzymując oddech, poszedł w pola. Okryta błękitnawym cieniem ziemia zdawała się drzemać. Po drugiej stronie pagórka, pod rozgwieżdżonym niebem błękitniało lustro wody. Stado białych ptaków stało w milczeniu. Nie posiadając się ze szczęścia zaczął biec ku jeziorku, gotów paść na kolana i modlić się w słodkiej ekstazie zapomnienia do pól, ciszy, gwiazdnych wysokości i do tych ptaków, do każdej żywej istoty i do każdego ziarenka piasku na ziemi. Strwożone boćki pośpiesznie wy dobywały spod skrzydła drugą nogę, rozpędzały się i wzno-

siły w malachitowe niebo; różowe cienie przepływały tuż nad jego głową, niemal muskając go potężnymi skrzydłami.

Nagle chłodna i ostra jak nóż myśl przeniknęła świętą chwilę: Mimo wszystko JA jestem szczęśliwszy niż tamci, tylko JA tak głęboko odczuwam świat. Żaden z nich nigdy tego nie odczuje...

Padł na ściernisko. Pod powiekami poczuł piekące łyzy żalu nad sobą.

Tylko raz w życiu Iwan płakał z żalu nad sobą. Było to pod jesień, chodził wtedy do czwartej klasy. On i z zadziwiającą jednomyślnością zbuntowali się i postanowili, że po lekcjach dadzą mu wycisk. Dopadli go u stóp stromej góry, wszyscy, ta sama klasa, którą dotychczas władał niepodzielnie. Na czele biegli ci najpokorniejsi! Wrzeszczeli, podskakiwali i nie mogąc sięgnąć mu do piersi, bębniłi gdzie popadło małymi piąstkami, okładali płóciennymi torbami, łapali za nogi, usiłując powalić na ziemię. Mścili się za wszystkie ponizenia, za własną pokorę — zupełnie maluchy, o połowę mniejsze od niego, jedną ręką mógłby ich rozpędzić.

Ale on bezwolnie przyjmował grad ciosów i chowając głowę w ramiona połykał łyzy.

Bo oni wszyscy byli przeciwko niemu, a on był sam.

Okładkę projektował Piotr Łopalewski. Redaktor Krystyna Zaleska. Redaktor techniczny Bożena Korbut. Printed in Poland. Wydawnictwo Literackie. Kraków-Wrocław 1984. Wyd. I. Nakład 10 000+283 egz. Ark. wyd. 8,9. Ark. druk. 11,25. Papier druk. mat. kl. V, 82×104 cm, 70 g. Oddano do składania 9 V 1983. Podpisano do druku 29 XI 1983. Druk ukończono w styczniu 1984. Zam. nr 320/83. T-13-186. Cena zł 60.— Drukarnia Narodowa, Z-1, Kraków ul. Manifestu Lipcowego 19.

Współczesny pisarz ukraiński Wołodymyr Drozd znany jest polskim czytelnikom z tomu opowiadań *Oliwki*. Jego powieść *Katastrofa*, utwór na wskroś „nowoczesny”, nawiązuje w pewnej mierze do tradycyjnych kanonów prozy ukraińskiej. Akcja rozgrywa się w prowincjonalnym miasteczku, którego pogodna, choć senna atmosfera stanowi kontrastowe tło dla głębszych rozważań natury filozoficznej: jednostka a zbiorowość ludzka, wybiecie się ponad intelektualną przeciętność a konieczność zrozumienia rodzimego środowiska i jego podłoża kulturalnego.